
„To nie była Ameryka”.

**Z Michaelem Charlesem Steinlaufem rozmawia Elżbieta Janicka
(Warszawa – Nowy Jork – Warszawa, 2014–2015)**

Abstrakt: Urodzony w 1947 roku w Paryżu, Michael Charles Steinlauf opowiada o dzieciństwie spędzonym w Nowym Jorku, na południowym Brooklynie (Brighton Beach), w środowisku ocalałych z Zagłady polskich Żydów. Istotna część jego późniejszych doświadczeń związana była z amerykańską kontrkulturą, Nową Lewicą, studenckim ruchem antywojennym i antyrasistowskim lat sześćdziesiątych (Students for a Democratic Society, SDS) oraz podziemiem antykapitalistycznym lat siedemdziesiątych („Sunfighter”, „No Separate Peace”). W latach osiemdziesiątych, w związku z podjęciem studiów judaistycznych na Brandeis University, Steinlauf przyjechał do Polski, gdzie stał się częścią środowiska opozycji demokratycznej, skupionego wokół Żydowskiego Uniwersytetu Latającego (ŻUL). W III RP miał swój udział w tworzeniu Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie.

Zainteresowania badawcze Michaela C. Steinlaufa ogniskują się wokół twórczości Marka Arnsztejna (Andrzeja Marka), Jicchoka Lejbusza Pereca, teatru jidysz oraz polskich narracji o Zagładzie, którym poświęcił monografię *Pamięć nieprzyswojona. Polska pamięć Zagłady* (2001, pierwodruk angielski 1997 jako *Bondage to the dead: Poland and the memory of the Holocaust*). Ważną część rozmowy stanowi spór dotyczący kategorii opisu Zagłady, w tym koncepcji polskiego doświadczenia Zagłady jako traumy zbiorowej. Kontrowersja nie omija zjawisk współczesnych, konceptualizowanych potocznie jako „odrodzenie kultury żydowskiej w Polsce” oraz „dialog polsko-żydowski”.

Bohaterem rozmowy jest także Michał Sztajnlauf (1940–1942), przyrodni brat Michaela C. Steinlaufa. Historia braci weszła do kanonu kultury polskiej za sprawą opowiadania Hanny Krall *Dybuk* (1995) oraz teatralnej inscenizacji Krzysztofa Warlikowskiego pod tym samym tytułem (2003). Abstrahując od konwencji przekazu artystycznego, rozmówcy próbują dowiedzieć się czegoś więcej o samym Michale. Czytelniczki i czytelnicy po raz pierwszy mają możliwość zobaczyć jego fotografie pochodzące z getta warszawskiego.

Rozmowa jest bogato ilustrowana niepublikowanymi dotąd archiwaliami sprzed drugiej wojny światowej i z okresu powojennego, a także z czasów okupacji hitlerowskiej w Polsce.

Wyrażenia kluczowe: dybuk; Nowa Lewica; amerykańskie podziemie antykapitalistyczne lat siedemdziesiątych XX wieku; getto warszawskie; narracje o Zagładzie; polski antysemityzm; polska opozycja demokratyczna lat osiemdziesiątych XX wieku; Żydowski Uniwersytet Latający (ŻUL); dialog polsko-żydowski (rewizja kategorii); Okopowa (cmentarz żydowski w Warszawie)

Warszawa, 8 i 10 lipca 2014 roku

Polska – lata osiemdziesiąte

Elżbieta Janicka: Kiedy przyjechałeś do Polski po raz pierwszy i co to był wtedy za kraj?

Michael C. Steinlauf: To było pod koniec stanu wojennego. Na wiosnę 1983 roku, może trochę później. Już nie było widać czołgów, ale po ulicach chodziły jeszcze trzyosobowe patrole w pełnym uzbrojeniu. Spędziłem tu wtedy ponad osiem miesięcy. W roku 1990 wróciłem jeszcze na cztery miesiące, co łącznie daje rok. Za pierwszym razem miałem stypendium Fulbrighta na badania nad polskimi kontekstami twórczości Jicchoka Lejbusza Pereca. Wszystko jednak potoczyło się inaczej, bo zaraz zaprzyjaźniłem się z podziemiem, a w tym podziemiu z ludźmi, którzy odkrywali dla siebie żydostwo. To było

coś zaskakującego, bo w Ameryce nikt nie dbał specjalnie o przeszłość. I tak zacząłem się uczyć żydowskich spraw razem z Pawłem Śpiewakiem, Heleną Datner, Moniką i Staszkiem Krajewskimi. Ogromnie ważna była Ninel Kameraz-Kos, która umarła nie tak dawno. Bardzo mi jej brak. Siedzieliśmy wokół jej samowaru – prawdziwy ten samowar – i piliśmy wódkę. Gadało się do rana. Żadnych terminów, alarmów. Ninel przepięknie śpiewała, po rosyjsku, w jidysz. To była prawdziwa cyganeria, taka sprzed epoki kontrkultury. O każdej porze dnia i nocy było się tam mile widzianym gościem, więc dom był zawsze pełen ludzi. I było to miejsce na ziemi całkowicie naznaczone żydowskimi sprawami, całkowicie im oddane. Znasz historię Ninel?

EJ: Wiem tylko, że była malarką. Pracowała też w Żydowskim Instytucie Historycznym.

MCS: Urodziła się w latach trzydziestych w Moskwie. Rodzice jidyszyści¹. Komuniści też. Ojca aresztowano w dniu jej narodzin. Wrócił po dziesięciu latach. Po pięćdziesiątym szóstym roku, gdy stało się to możliwe, cała rodzina zdecydowała się na wyjazd do Polski. Potocznie mówiło się na to „repatriacja”. Jej mąż Bohdan nie był Żydem. Zajmował się mistyką żydowską. Prowadził wykłady na temat kabały. Ninel mieszkała na Pradze, w rozpadającym się dawnym domu kahalnym.

EJ: Na jej grobie na Okopowej leży kamień nagrobny tego domu, a właściwie tego mieszkania, tego miejsca: Jagiellońska 28 m. 1.



Grób Ninel Kameraz-Kos. Napis hebrajski oznacza: „Dusza Jej niechaj zostanie związana w węzeł życia” – Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej w Warszawie, 2 sierpnia 2015 (fot. Elżbieta Janicka)

1 Jidyszizm – nurt językowo-kulturowy powstały na przelocie XIX i XX wieku w obrębie cywilizacji Żydów wschodnioeuropejskich. Politycznie najczęściej bliski socjalizmowi Bundu oraz autonomizmowi Jidisze Fokłspartaj in Pojln, które uznawały Żydów za naród żyjący w diasporze i postulowały żydowską autonomię kulturową ufundowaną na świeckiej kulturze języka jidysz.



Na tyłach synagogi w Tykocinie (od lewej): Ninel Kameraz-Kos, Mateusz Kos, Michael C. Steinlauf, Łukasz Kos. Ninel poprawia Mateuszowi kamizelkę *tales kutn* (jid.; hebr. *talit katan* – krótki *tales*) z frędzlami *cicit* (hebr.; jid. *cycys*) – lato 1983 (© Copyright by Łukasz Kos)

MCS: Nie wiedziałem. [Cisza]. To Ninel była tym domem. Stwarzała poczucie bezpieczeństwa. Roztaczała ciepło. Była dla mnie trochę jak starsza koleżanka, a trochę jak *jidysze mame*. Pamiętam naszą letnią wycieczkę do Tykocina. Na doszczętnie obrabowanym i zarośniętym cmentarzu żydowskim Ninel znalazła macewę z motywem konika i ten motyw szkicowała. Poza tym faktycznie malowała. Trochę jak Grandma Moses. Wszędzie na ścianach wisały jej surrealistyczne żydowskie obrazy w stylu prymitywistów. Jej młodszy syn Mateusz był pierwszym chłopcem, który miał wówczas *bar micwę*. Teraz jest rabinem w Manchesterze. Starszy, Łukasz, zaczytywał się w Schulzu i Kafce, a później został reżyserem teatralnym. Różni Żydzi tam wpadali. Z Ameryki i nie z Ameryki. Głównie jednak z Polski. Ja tam odkryłem żydowską społeczność, takie małe społeczeństwo żydowskie².

EJ: To było dla ciebie zaskoczeniem?

MCS: Przyjeżdżając, nie miałem żadnych oczekiwań, niczego sobie nie wyobrażałem. Mnie tu się ogromnie podobało. Luz, bezpośredniość, serdeczność. Ludzie uważni względem siebie, spędzający dużo czasu razem. Wielkie miasto i ani jednej reklamy. Przeczucowałem, że kiedyś zrodzi się nostalgia za tym czasem. Polacy mówili, że zwariowałem. Nikt nie myślał, że to się w ogóle kiedykolwiek zmieni. Związek Radziecki

² Było to środowisko tworzące Żydowski Uniwersytet Latający (ŻUL).

wydawał się wieczny. Alina Cała jeszcze w 1987 roku była przekonana, że imperium radzieckie przetrwa co najmniej dwieście lat, a w każdym razie na pewno nikt z nas nie zobaczy jego końca. Dominowało poczucie bezwyjściowości, izolacji od świata, a jednocześnie panowała wielka bliskość między ludźmi. Do tego miałem tysiąc dolarów stypendium. Wiesz, co to wtedy było?

EJ: Majątek!

MCS: Niesamowity majątek! Nosilem te dolary w specjalnym pasie. Byłem królem Warszawy. Mogłem swobodnie zaprosić czworo przyjaciół na wykwinną kolację do Bazyliuszka. Dla wielu ludzi byłem przybyszem z innej planety: człowiekiem, który ma dolary i amerykański paszport.

Atmosfera w Polsce była zupełnie niezwykła. Odbывały się antypaństwowe demonstracje, na które chodziłem skrupulatnie. W Przemyślu, gdzie znalazłem się z Gayle Wimmer³ akurat pierwszego maja, zostałem na cztery-pięć godzin zatrzymany przez milicję. Przesłuchiwał mnie facet przypominający Wielkiego Inkwizytora. Naprawdę czułem się na tym komisariacie jak w *Braciach Karamazow*. Próbował nawiązać ze mną porozumienie, mówiąc, że w każdym kraju – także w Ameryce – potrzebni są ludzie tacy jak on. Ale najważniejsza dla mnie demonstracja miała miejsce w przeddzień czy dwa dni przed czterdziestą rocznicą powstania w getcie. Wiadomo było, że władza będzie obchodziła 19 kwietnia bardzo hucznie, w związku z czym Solidarność zorganizowała kontrmanifestację. Przyszło nie tak wiele, może ze trzysta osób. Kostek Gebert odmówił kadysz. To było nieco w oddaleniu od pomnika⁴, bo sam pomnik był otoczony przez ZOMO. Starłem się trzymać w bezpiecznej odległości, obawiając się aresztowania i wydalenia z Polski.

Człowiekiem, od którego być może najwięcej się nauczyłem, był starszy pan Wróblewski. Andrzej. Pan Wróblewski pochodził z Wilna, w czasie wojny był w Polskiej Partii Socjalistycznej i generalnie nie miał nic wspólnego z żydowskimi sprawami. Przetrwał ten czas po aryjskiej stronie⁵. Swoją autobiografię, która wyszła później, w latach dziewięćdziesiątych, zatytułował *Być Żydem...* (Wróblewski, 1992). Mieszkał na Żoliborzu. Przychodziłem do niego, paliliśmy papierosy. Mocne takie. Nie wiem, czy znasz...

EJ: Ekstra mocne.

MCS: Ekstra mocne. Świetne, bardzo smaczne. Paliliśmy te ekstra mocne i piliśmy szatana – chyba pięć łyżeczek kawy na szklanekę. Kilka takich kaw w ciągu jednego

3 Gayle Wimmer (1943-2013) – artystka w dziedzinie tkaniny unikatowej. We wczesnych latach osiemdziesiątych przebywała w Polsce w ramach stypendium Fulbrighta, doskonaląc swój warsztat między innymi u Magdaleny Abakanowicz.

4 Chodzi o pomnik Bojowników i Męczenników Getta (1948) projektu Natana Rapoporty i Leona Marka Suzina.

5 Z wyrazu „aryjski” – podobnie jak z wyrażen „aryjska strona” i „aryjskie papiery” – zdejmuję cudzysłów w ślad za praktyką badaczek i badaczy z Centrum Badań nad Zagładą Żydów, w tym także rocznika naukowego „Zagłada Żydów”. „Nawet jeżeli te wyrazy zostały zaszczerpione na gruncie polskim przez propagandę hitlerowską, to w ciągu następnych lat weszły w powszechny obieg, czego najlepszym dowodem są pisane na gorąco wspomnienia, dzienniki lub też prasa podziemna” (Grabowski, 2004, s. 22). W kulturze polskiej rzeczywistość opisywana przez te kategorie była faktem, zanim się one pojawiły (por. Datner, 2007). Stan ten do dzisiaj nie uległ zmianie.

posiedzenia i nic do jedzenia. A pan Wróblewski miał już wtedy siedemdziesiąt kilka lat. Siedzieliśmy, gadaliśmy, omawialiśmy to wszystko i praktycznie za każdym razem następowały takie momenty, że nie potrafiłbym ich opisać nawet po angielsku. Nagle coś stało się jasne. Objawiały się nam sploty wydarzeń i znaczeń. Doznawaliśmy olśnienia. Wróblewski to była wielka inteligencja. Niedaleko mieszkał Salomon Belis-Legis. Też na Żoliborzu. Też z Wilna. Krytyk literacki. Współzałożyciel i członek Jung Wilne⁶. Chodziliśmy do niego. Miał żonę Rosjanę, która się nim opiekowała. Podawała nam kawę. Belis-Legis przyjechał do Polski jakoś chyba w latach sześćdziesiątych.

EJ: Po pięćdziesiątym szóstym na zaproszenie „Folks Sztyme”.

MCS: Siedział w sanacyjnym więzieniu przed wojną, w czasie wojny walczył jako ochotnik w Armii Czerwonej, do której zaciągnął się w Samarkandzie. Burzliwa biografia. Nigdy nie nauczył się polskiego. Jego językami były jidysz i rosyjski, a pan Wróblewski znał świetnie niemiecki. Wróblewski mówił do Belisa-Legisa po niemiecku, a ten odpowiadał mu po żydowsku. I tak rozmawiali. To były dla mnie niezapomniane chwile. Dwóch starców, obaj z Wilna, ale każdy z innego świata. Bo te światy nie miały ze sobą nic wspólnego. Miłosz tak to opisuje zresztą, wspominając Wilno.

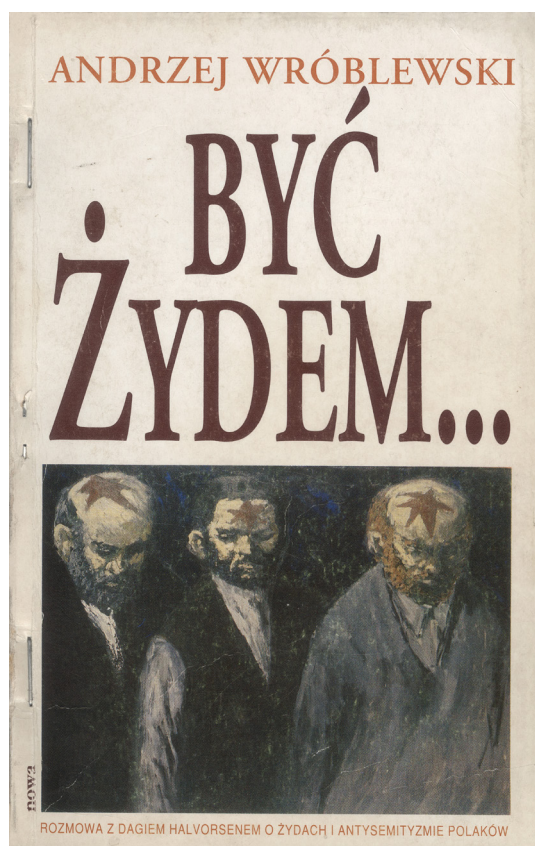
EJ: Mam to tutaj. *Rodzinna Europa. Rozdział Narodowości*. Mowa jest o międzywojennej edukacji publicznej podporządkowanej priorytetom etniczno-religijnego szowinizmu grupy dominującej: „Taka szkoła, wypierająca się wielokulturowego dziedzictwa, rzutu- ca wstecz skrojone według nowej mody poglądy na narodowość, musiała też podbudo- wywać antysemityzm swoich pupilów. Religijna literatura żydowska, jaka powstawała w tej części Europy, przetłumaczona na wiele języków, zyskała uznanie na całym świecie i wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą antologię myśli religijnej, żeby natrafić na przypowieści chasydzkie, pomyśleć z szacunkiem o mędrkach z zapadłych miasteczek [...]. Nie gdzie indziej też narodziła się później laicka proza i poezja w jidysz; i tragiczna, i pełna niepowtarzalnego humoru. O tym wszystkim tutaj, w mieście, gdzie się te książki dla międzynarodowych rynków drukowały, nie wiedzieliśmy dosłownie nic. Niektóre z nich dane mi było poznać po bardzo wielu latach, kiedy kupowałem je w New Yorku, czyli należało nauczyć się angielskiego, żeby dotknąć spraw bliskich na odległość ręki” (Miłosz, 2008, ss. 94–95).

MCS: Właśnie tak.

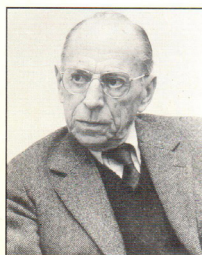
EJ: Czego dotyczyły dyskusje Wróblewskiego z Belisem-Legisem?

MCS: Nie potrafię tego dokładnie odtworzyć. Mówili o Wilnie, o wojnie, o sprawach literackich. Żałuję, że nie robiłem wtedy notatek. Z panem Wróblewskim wyprawiliśmy się też do Wrocławia, gdzie mieszkał Jakub Rotbaum, wielki reżyser żydowskiego teatru. Jego siostra Lea Rotbaum tańczyła w Rosji w latach trzydziestych, potem była tam choreografką i reżyserką operową. Odwiedziliśmy go w wielkim, starym mieszkaniu.

6 Jung Wilne (Młode Wilno) – awangardowa grupa artystyczna skupiająca literatów i artystów wizualnych niechętnych syjonizmowi, wiernych idei jidyszizmu. Ugrupowanie działało w latach 1927–1943 (por. Lisek, 2005).

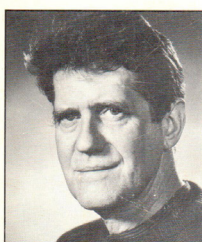


Andrzej Wróblewski (ur. 1909), dziennikarz, krytyk teatralny. Debiutował przed wojną w prasie i radiu wileńskim. Po wojnie opublikował szkic pt. *Gra w „Twórczość”* nr 3/1945; następnie pracował w prasie Polskiej Partii Socjalistycznej - „Robotniku” i „Tygodniku Robotnika”. Po połączeniu PPS



z PPR usunięty z pracy, publikuje artykuły i szkice w „Nowej Kulturze”, „Kulturze”, „Przeglądzie Kulturalnym”, „Teatrze” i „Przekroju”; współpracuje również z Polskim Radiem. W roku 1955 ukazuje się w „Czytelniku” jego tom szkiców *Fragetowe łyżeczki*. W latach siedemdziesiątych redaguje „Małą encyklopedię wielkiego dramatu” w programie III Polskiego Radia.

Dag Halvorsen (ur. 1934), studiował socjologię i historię literatury w Oslo i w Krakowie, gdzie napisał pracę o realizmie socjalistycznym w literaturze polskiej.



W 1965 roku akredytowany jako korespondent prasy i radia norweskiego i duńskiego zamieszkał w Warszawie. Po 1968 roku został zmuszony do opuszczenia Polski, by wrócić piętnaście lat później; odtąd stałe przebywa w naszym kraju. Wydał: *Europa wschodnia, idea i rzeczywistość* (1979) oraz *Dialogi polskie* (1980) wraz z Andrzejem Wróblewskim.

Pierwsza i czwarta strona okładki książki: Andrzej Wróblewski, *Być Żydem... Rozmowa z Dagiem Halvorsenem o Żydach i antysemityzmie Polaków*, Niezależna Oficyna Wydawnicza 1992. Na pierwszej stronie okładki obraz *Napiętnowani* Marka Oberländera z 1955 roku ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, sfotografowany przez Marka Woźniaka (fot. Elżbieta Janicka)

Rotbaum siedział przy takim ogromnym stole. Wróblewski przeprowadził z nim wywiad. Nie wiem, gdzie podziały się te taśmy. Jakub i Lea umarli w tym samym roku, w połowie lat dziewięćdziesiątych. Krótko mówiąc: Wróblewski, który z Żydami nie miał nigdy nic wspólnego, wprowadzał mnie w żydostwo. On rozumiał, że tu młody Żyd przyjechał i szuka czegoś. Czegoś. Chodzi na Okopową, snuje się między nagrobkami. On to rozumiał. Po raz ostatni widziałem go w latach dziewięćdziesiątych. Miał już wtedy raka, ale mówił, że z taką twardą sztuką jak on sprawa może potrwać. I faktycznie dożył osiemdziesięciu pięciu lat.

EJ: Wróblewski nie miał nigdy nic wspólnego z żydowskimi sprawami poza tym, że był poddany antysemickiej przemocy. Z obawy o swoje bezpieczeństwo nie wrócił do przedwojennego nazwiska, co dzisiaj jest publicznie wypominane jego wnukowi. Książka *Być Żydem...* nosi dedykację „Annie – mojej aryjskiej żonie”. Została wydana w 1992 roku przez Niezależną Oficynę Wydawniczą z reprodukcją *Napiętnowanych* Marka Oberländera na okładce i spotkała się z nad wyraz ciepłym przyjęciem ze strony polskiej skrajnej prawicy. Chwalił ją na przykład Jerzy Robert Nowak. Jak to rozumiesz? Bo ja tę książkę czytałam jako opowieść o cenie za asymilację – czy akulturację – do kultury antysemickiej.

MCS: Poddany antysemitycznej przemocy? To trochę za ostro powiedziane. Podczas okupacji Wróblewski działał w podziemiu i przeżył. Udało mu się funkcjonować jako Polak, bo identyfikował się jako Polak, więc nie uczestniczył w tym, co Grynberg nazwał żydowską wojną.

EJ: Chcieć to móc.

MCS: W jego przypadku to akurat zadziałało. Nie mogę mu robić wyrzutów z tego powodu. W książce, co prawda, chyba nie rozumie antysemityzmu, ustanawia jakąś symetrię między Żydami a Polakami, w kontekście relacji polsko-żydowskich zaleca ewangeliczną postawę „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. Rozumiem, że stąd się biorą zachwyty skrajnej prawicy⁷. Niemniej jednak to właśnie ten człowiek szukał potem żydostwa i pomógł mi się odnaleźć w Polsce w roku 1983.

EJ: Ważny dla ciebie był jeszcze Sandauer.

MCS: O, tak. Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Warszawy, mieszkałem w Grand Hotelu przy Kruczej, dzisiaj Mercure. Wtedy to był typowo stalinowski moloch. Nigdy nie zapomnę, jak siedziałem w pokoju hotelowym i czytałem książeczkę Artura Sandauera *O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku. Rzecz, którą nie ja powinienem był napisać...* Świetny tekst. Wydany tuż przed moim przyjazdem, bo w 1982 roku, w państwowym wydawnictwie Czytelnik. Byłem zafascynowany. Otwierał się przede mną nowy świat. Dowiadywałem się o nieznanym wcześniej pisarzach i ich zmaganiach z własną tożsamością. To była pierwsza polska lektura w moim życiu. Mózg odcyfrowywałem, a potem składałem litery, sylabizowałem. Żeby zrozumieć, musiałem czytać na głos. Polski znałem przecież jedynie w mowie. Nie widziałem wcześniej polskiego alfabetu, tych wszystkich znaków diakrytycznych. Nie miałem pojęcia o interpunkcji, ortografii. Co chwila sprawdzałem w słowniku jakieś słowo, którego nie pamiętałem z domu. Wielkie przeżycie. Kiedy powiedziałem o tym moim nowym żydowskim przyjacielom, odparli, że Sandauer to kolaborant. Po prostu. Bez słowa komentarza. W odróżnieniu od nich Sandauer nie bojkotował rządu. Nie rozumiałem, dlaczego mam osądzać książkę na podstawie politycznych wyborów autora. Ale może stosowałem do tej sytuacji standardy z moich lat marksistowskich, kiedy to wielu artystom i pisarzom – jak Saul Bellow na przykład – nie wypominało się poglądów.

EJ: Chodziło o to, że po wprowadzeniu stanu wojennego Sandauer wszedł w skład Narodowej Rady Kultury, która udzieliła poparcia Jaruzelskiemu. I nie uczynił tego z konformizmu. Do PZPR nigdy nie należał. Pod koniec lat czterdziestych, kiedy odwaga nie była tania, z otwartą przyłbicą zwalczał socrealizm. Został za to ukarany zakazem dru-

⁷ Nie narzekają również publiczność liberalno-postępowa. Jeden z listów do Andrzeja Wróblewskiego zawiera charakterystyczną próbkę inteligentnego dyskursu: „Drogi i szanowny Panie Andrzeju! Tekstów na tematy polsko-żydowskie, autobiograficznych czy pół-autobiograficznych, czy eseistycznych, czytałem, jak się Pan domyśla, bardzo dużo; otóż z czystym sumieniem powiadam, że Pana jest najlepszy i najciekawszy z nich. Tekst krytyczny, jasny, niczego nie ukrywający, ale też w żadnym momencie nie kierowany uprzedzeniami czy zacietrzewieniem – do prawdy świetny tekst. Mam nadzieję, że uda się go Panu wydać w Polsce legalnie – w obecnych warunkach jest chyba cenzuralny. Tak się złożyło, że jako młody chłopiec w latach okupacji miałem stałe do czynienia ze sprawami żydowskimi, obracając się wśród ludzi, którzy ratowali Żydów i pomagali im. Tych czasów zapomnieć niepodobna. [...] Najserdeczniej pozdrawiam i raz jeszcze dziękuję za tę książkę, Leszek Kołakowski” (*facsimile* rękopisu w: Wróblewski, 1992, s. 6).

ku. Był pierwszym autorem, który mieszkając w Polsce, odważył się publikować w paryskiej „Kulturze”. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych walczył o uznanie dla Gombrowicza. W 1964 roku podpisał list 34 intelektualistów do Prezesa Rady Ministrów przeciwko zaostreniu cenzury. Solidarność postrzegał jako zapowiedź tego, co dzisiaj nazywa się restytucją polskości, a co zagrażało jego poczuciu bezpieczeństwa i wartościom, które wyznawał. Ciekawe, że za kolaboranta uważali go ludzie, sami gotowi kolaborować z siłą – jak widać dzisiaj – potężniejszą niż jeden czy drugi generał lub ustrój. W eseju, o którym mówimy, Sandauer obnażał przemoc kultury dominującej wobec Żydów, pisał o tożsamości mniejszościowej pod skrajną presją większości. Jeździł walcem po Ficowskim⁸. Jeździł walcem po Słonimskim⁹, który był bliski i drogi Adamowi Michnikowi. Wszystko to były ikony opozycji. Na inteligencji polskiej – jeśli chodzi o jej stosunek do Żydów – nie pozostawiał suchej nitki. Taki kawałek na przykład: „Owo niewyraźne poczucie, że Żydzi są w dobrym i złym tego słowa znaczeniu – czymś wyjątkowym, zaczyna – zwłaszcza wśród czułej na mody inteligencji – ewoluować. Rzadkość Żyda, jego egzotyzm staje się wabikiem – nieomal erotycznym. Większość powojennych wypowiedzi na ten temat nacechowana jest czułościową egzaltacją; takie też bywają krytyczne oceny pisanych o nich utworów” (Sandauer, 1982, s. 71-72). Albo: „Modny zwłaszcza wśród inteligencji, filosemityzm [...] jest jednak hodowany nadal – jak zobaczymy – na pożywe wyobrażeń albo- czy zgoła antysemitycznych” (Sandauer, 1982, s. 84). Niezależnie od tego, co sądzimy o politycznej opcji Sandauera po 1980 roku, rujnował on swoim namysłem całą misterną świadomościowo-tożsamościową akrobację „nowych Żydów”.

MCS: Na pokornego faktycznie nie wyglądał. Później dowiedziałem się, że jeszcze w latach pięćdziesiątych – jako jeden z pierwszych – pisał o Brunonie Schulzu. Ale w latach osiemdziesiątych w środowisku opozycyjnym wolno było czytać tylko koszerne Ficowskiego, a nie trefnego Sandauera.

EJ: Spodziewałeś się, że Związek Radziecki upadnie?

MCS: Nie. Czasem o tym myślałem, ale chyba ani wewnątrz systemu, ani na zewnątrz nikt zdawał sobie sprawy, jaki on jest lichy.

8 Na przykład komentarz Sandauera do tego, co Jerzy Ficowski pisał o śmierci Brunona Schulza w drohobyckim getcie, brzmiał: „Biografowi dała ta śmierć okazję do pocieszającej historyjki o tym, jak to już-już miał przybyć wystannik podziemia, by go odstawić w bezpieczne miejsce, ale, niestety, w ostatniej chwili... Jeszcze jedno z pocieszeń, którymi zwykło się u nas karmić swe sumienia” (Sandauer, 1982, s. 37). Por. komentowany fragment: Ficowski 1975, ss. 242–243.

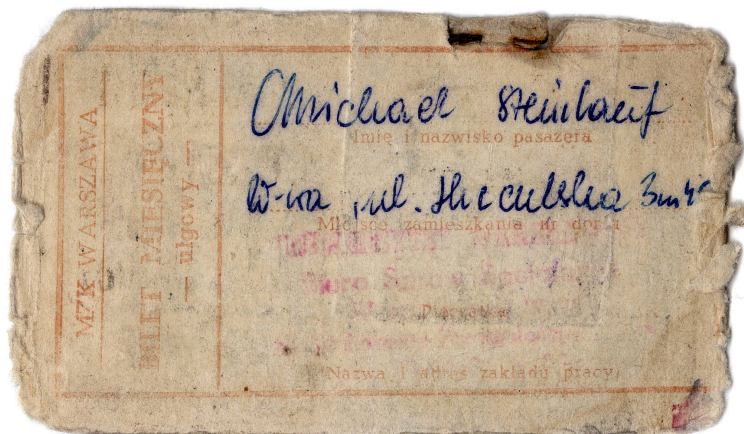
9 „Całe życie marzył o tym, by imponować, aby być duchowym wodzem polskiej inteligencji: stał się nim rzeczywiście w okresie popaździernikowym. Był to wszelako jeden z tych wodzów, którzy zostają w odwodzie; jeden z tych prowodyrów, którzy gonią za popularnością u podwładnych; z tych bezkompromisowców, którzy w czasach szczególnie groźnych zostawiają za sobą furtki – otwarte; dowodem jego nader ugodowe zachowanie w okresie, gdy panował kierunek, przeciw któremu wypowiedział się był – w tomie reportaży – jeszcze ćwierć wieku temu.

Jeśli o pochodzenie chodzi: nie zapierał się go bynajmniej. Eksponował je raczej, eksponował jednak w postępowo-polsko-patriotycznej wersji: to opowiada o dziadku Zeligu Słonimskim, redaktorze postępowej gazety hebrajskiej; to wspomina o pradziadku, Abrahamie Sternie, który z motywów patriotycznych odrzucił zaproszenie Akademii Berlińskiej; to podróżując w latach dwudziestych po Palestynie, zauważa tam jedynie starego Żyda, który marzy o tym, by wrócić do Warszawy. [...]

W 1947 r. wreszcie pisze Słonimski wiersz *Elegia miasteczek żydowskich*, gdzie mówiąc o tym jedynym w dziejach wydarzeniu, jakim była zagłada, daje wyraz nadziei, że kiedyś «się zbliżą bratersko i złączą od nowa – Dwa narody, karmione stuleci cierpieniem». Nadzieja ta wynika – jak zwykle w poezji Słonimskiego – ze skłonności do humanitarno-szlachetnej frazeologii: jednego z tych narodów na tej ziemi po prostu – nie ma” (Sandauer, 1982, ss. 32–33).



Bilet miesięczny Miejskich Zakładów Komunikacyjnych w Warszawie z fotografią Michaela C. Steinlaufa z 1983 roku (© Copyright by Michael C. Steinlauf)



EJ: Bo chyba ciągle pamiętano wojnę i nawet Afganistan nie był w stanie zachwiać opowieścią o niezwyciężonej Armii Czerwonej. Zresztą cały ten rozkład mógł równie dobrze przekształcić się w stan chroniczny i trwać w najlepsze jeszcze bardzo długo, z rozlewem krwi i innymi paroksyzmami. Ale ciekawi mnie, co myślałeś o Solidarności.

MCS: Powiem krótko. Przyjeżdżając do Polski, byłem wielkim lewakiem. Wracam do Ameryki i mówię do kolegów: „Słuchajcie, w Polsce jest zupełnie jak wśród nas, tyle że największymi bohaterami są dla nich papież i Reagan”. Możesz sobie wyobrazić, jacy byli przerażeni. Natychmiast wszyscy ode mnie puciekali.

Dziwnie się to wszystko splata, bo kiedy w 1988 roku byli w Nowym Jorku Krajewscy, zabrałem ich na obchody dwudziestolecia *sit-in* na Columbii. W 1968 roku zajęliśmy uniwersytet, były walki z policją, coś w rodzaju powstania. I Staszek mówi, że przecież my byliśmy zwolennikami wszystkiego, co on i jego przyjaciele zwalczali w 1968 roku. Że nikt z nas nie solidaryzował się otwarcie z Czechosłowacją. A potem ten sam Staszek dodaje: „Dlaczego ja się tak dobrze czuję wśród tych zwolenników komunizmu?”. Bo rzeczywiście czuł się wtedy na Columbii jak u siebie w domu. Takie same twarze, takie same dzinsy, takie same stosunki między ludźmi.

EJ: Bolało go, że nikt z was nie solidaryzował się z Czechosłowacją, ale nie bolało, że nie solidaryzowaliście się z prześladowanymi Żydami.

MCS: Nie było cię przy tym. 1968 rok to był moment międzynarodowej solidarności młodzieży. Młodzież panowała poza i ponad polityką, i wiedziała, że panuje. Ale prędko wszystko wróciło do „dorosłych” stosunków. A odpowiadając na twoje pytanie o Solidarność: nie ogarniałem, rzecz jasna, wszystkiego, nie znałem robotników, ale inteligencja solidarnościowa była mi bardzo bliska. Columbia i Solidarność były w jakimś sensie podobne.

EJ: Rozumiem, że częścią wspólną między Columbią a Solidarnością – czy w ogóle między latami sześćdziesiątymi w Ameryce a Solidarnością – miałyby być walka o emancypację. Co w takim razie z Reaganem i papieżem?

MCS: Solidarność została stworzona przez ludzi, którzy przeszli przez sześćdziesiąty ósmy rok.

EJ: W sensie, który masz na myśli, nie tyle Solidarność, ile KOR. I to był sześćdziesiąty ósmy rok w Polsce z całą jego narodowo-konserwatywną rewindykacją. „Syjoniści do Syjamu” z jednej strony, z drugiej *Dziady* i „Niepodległość bez cenzury”. Walka o prawomocność i o rząd dusz w obrębie wspólnego paradygmatu.

MCS: Czyżby?

EJ: W odniesieniu do lat sześćdziesiątych opisał to Grzegorz Niziołek w monografii *Polski teatr Zagłady*. Obecna w kulturze wysokiej, szydercza rewizja mitów romantycznych nie ustanawiała alternatywnego porządku, lecz zasilala „ukształtowany przez romantyzm model kultury ofiar – silnie pobudzony przez doświadczenia wojenne. [...] Powstał zamknięty, samonapędzający się obieg (korzystny dla obronnych impulsów zbiorowego libido) [...]. [...] Obiektem najgłębszego wyparcia nie były przecież mity narodowe, bez których nie mógł się obejść nawet socrealizm, lecz właśnie [...] doświadczenie, jakie stało się udziałem polskiego społeczeństwa w niedawnej przeszłości” (por. Niziołek, 2013, ss. 62–63). Niziołkowi chodzi o polskie doświadczenie Zagłady, a więc i antysemityzm. O jakiej i czyjej my w ogóle mówimy emancypacji, skoro w 1968 roku tradycyjnie walnęło w Żydów i nikt nie powiedział w tej sprawie ani słowa¹⁰?

MCS: Jednak nie zgadzam się, że sześćdziesiąty ósmy był formacyjny tylko dla KOR-u. I mówię to na podstawie własnego doświadczenia, a nie na podstawie tego, czego się dowiedziałem z książek. Ważne jest, co się przeżywa, a nie tylko, co się przeczyta.

¹⁰ Sprawa powróciła przy okazji wystawy głównej Muzeum Historii Żydów Polskich. Polskie władze państwowe wystąpiły z pretensją do autorów galerii powojennej, Heleny Datner i Stanisława Krajewskiego: „Mieliśmy dyskusję, że pokazujemy za mało ulotek, w których studenci potępiają antysemityzm. A ja nie pamiętam, żeby było takich wiele. Zwykle potępia się w nich i antysemityzm, i syjonizm; prosta kalka marcowej propagandy. Może była jedna czy dwie, m.in. z mojego Wydziału Filozoficznego, gdzie się potępia tylko antysemityzm. Obrona żydowskich kolegów to nie było coś, czym ruch studencki był wtedy zaprzęgnięty. To była walka o wolność słowa, taka polityczna kontrkultura. Nie był to ruch antysemitki, jak część Solidarności potem, ale był skoncentrowany na czymś innym; problemu żydowskiego nie zauważał” (Szaniawska & Datner, 2015).

Wszyscy, których poznałem i z którymi stowarzyszyłem się w latach osiemdziesiątych, byli działaczami podziemia, przeważnie Żydami, i wszyscy byli przedtem aktywni w sześćdziesiątym ósmym roku. Tak zresztą jak sam Michnik. Dla mnie i dla innych młodych w wydarzeniach sześćdziesiątego ósmego roku na całym świecie było coś, co przekraczało politykę lokalną. Kiedyś, lata później powiedziałem, że w tym momencie poczuliśmy powiew sukni Mesjasza. Ot, przeszedł obok, dał znać, lekkim muśnięciem przypomniał o sobie, no i koniec, nie wrócił. Walter Benjamin w ostatnich swoich pismach wspominał o czymś takim¹¹.

EJ: Wróćmy do Reagana i papieża. Przecież, nawet pomijając personalia, zasada autorytetu wyklucza się z zasadą emancypacji.

MCS: Nie zawsze. Che Guevara na przykład... Kiedy Reagan mówił o Związku Radzieckim jako imperium zła, to naprawdę przemawiało do wyobraźni. Przyjeżdżając do Polski, byłem zwolennikiem tezy, że istnieją dwa imperia zła: Związek Radziecki i Stany Zjednoczone. Jednak po pobytach w Polsce doszedłem do wniosku, że nie można ich porównywać.

EJ: I to po zniszczeniu przez Stany Zjednoczone światowego ładu monetarnego, który te same Stany Zjednoczone ustanowiły w 1944 roku w Bretton Woods, przyjmując zasadę wymienialności dolara na złoto? To był początek światowego chaosu na rynkach finansowych. 1971 rok. Realna gospodarka zaczęła coraz bardziej zawadzać w wirtualnych operacjach finansowych. W konsekwencji otrzymaliśmy katastrofę 2008 roku i ciąg dalszy, w którym żyjemy, a którego nikt nie potrafi opanować. Może intelektualista nie powinien przyjmować za swoją wizji świata rodem z filmów akcji intelektualnie czarno-białych, jak para Lord Vader i Luke Skywalker z *Gwiezdnych wojen*? Dominacja radziecka w Polsce była straszliwsza niż dominacja amerykańska w Ameryce Południowej, jak rozumieć? Czy też chodzi o ideę lewicową w ogóle?

MCS: Kultura popularna ma nam wiele do zaoferowania. I to jest coś, czego polscy intelektualiści mogą się nauczyć od Amerykanów. U nas poważne studia nad kulturą popularną są prowadzone już od dawna. Co do katastrofy 2008 roku, przypominam, że Stany Zjednoczone już odżyły. W odróżnieniu od Europy. A z ideą lewicową nie wyszło.

EJ: Za to świetnie wyszło z akumulacją kapitału, który zupełnie nie musi przejmować się liberalną demokracją czy innymi bredniami w rodzaju na przykład sprawiedliwości społecznej.

11 Por. Benjamin 1996. Może chodzić o fragment: „Przeszłość niesie w sobie tajemny wskaźnik, który kieruje jej uwagę na zbawienie. Czy nie czujemy muśnięć powietrza, które otaczało ludzi wcześniej żyjących? [...] Jeśli jest właśnie tak, to istnieje tajemne sprzysiężenie między pokoleniami minionymi i pokoleniem naszym. To my byliśmy oczekiwani na ziemi. To nam dana jest – jak każdemu pokoleniu przed nami – słaba siła mesjaniczna. I to o nią przeszłość zgłasza roszczenia. [...] Prawdziwy obraz przeszłości umyka obok. Przeszłość można uchwycić tylko jako obraz, który w chwili swej rozpoznawalności właśnie rozbłyśka na wieczne pożegnanie. [...] Jest to bowiem obraz bezpowrotnej przeszłości, któremu groźbę zniknięcia niesie każda teraźniejszość, która nie rozpoznała się w nim jako ta, o którą mu chodziło” (Benjamin, 1996, ss. 414–415). Jest też jednak u Benjamina zadaniowe ujęcie pierwiastka mesjanicznego: „W każdej epoce trzeba od nowa podejmować próby odebrania tradycji konformizmowi, który chciałby nad nią zapanować. Mesjasz przychodzi przecież nie tylko jako zbawca; przybywa także jako ten, kto zwalczy antychrysta” (Benjamin, 1996, s. 416). Być może w pierwszym z tych zdań streszcza się istota sporu między stronami niniejszej rozmowy.

MCS: Zgoda. Byłem i nadal jestem za lewicą. Ale nie wiem, czy taka zmiana stosunków, o jakiej Marks pisze np. w *Rękopisach ekonomiczno-filozoficznych z 1844 roku*, jest możliwa. Widziałem te sprzeczności. Papież był wtedy w Polsce wielką figurą. Wiedziałem, że ten sam człowiek w Ameryce Południowej podważa ruchy ludowe, a jego słowa legitymizują opresję. Ale tutaj w Polsce wspaniałe było to, że odebrał komunistom ich własne hasła. Jak to się mówi? Godność pracy?

EJ: Tak. *Dignity of labour*.

MCS: To było niesamowite.

EJ: Ale to było wrogie przejęcie. Godzące w ideę emancypacji, blokujące samą jej możliwość. Wszyscy czy prawie wszyscy podniecali się tym, że jedna władza przyłożyła drugiej władzy, jedna hierarchia drugiej, tak zwani nasi tak zwanym Ruskim. Natomiast mało kto – jeśli w ogóle ktokolwiek – zauważał w przestaniu Wojtyły nacjonalizm oraz ładunek reakcyjny. Także w sensie genderowym. Mam na myśli te wszystkie skrzydlate słowa o godności kobiety, o jej powołaniu do dziewictwa i macierzyństwa. W powojennej przestrzeni publicznej rzecz nie miała precedensu, ale tego nikt nie dostrzegał, a jeśli nawet dostrzegał, wołał siedzieć cicho. Wraz z książką Michnika to nie Kościół się zmieniał, tylko lewica przystępowała do samolikwidacji.

MCS: Wówczas to było dla mnie, i nie tylko dla mnie, mało widoczne. Wtedy najważniejsza była walka z władzą. Po lekturze książki Michnika *Kościół, lewica, dialog* wydawało się zresztą, że Kościół się zmienia, że wątek narodowo-konserwatywny staje się w nim mniej ważny.

EJ: Mniej ważny pod skrzydłami papieża, który unicestwił teologię wyzwolenia? Wojtyła z Chile i Wojtyła z Polski to był ten sam Wojtyła. Nie było między nimi konfliktu.

MCS: Zauważ, że Kościół nie lansował wówczas w Polsce hasel jawnie konfrontacyjnych, wymierzonych w projekt rzeczywistości, w której byłoby miejsce dla każdego. Można było wierzyć czy łudzić się, że to jest już inna instytucja. Chociaż... Trzynastego każdego miesiąca we wszystkich kościołach odbywały się msze w intencji internowanych. Rzadko którą opuszczałem. Kościół był przecież sojusznikiem opozycji, i to w najcięższych chwilach. Chodziłem zazwyczaj do kościoła św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. W trakcie mszy zrzucano tam z galerii opozycyjne ulotki. Wszyscy te ulotki zbierali. Ja też. Poza tym stałem jak inni i jak inni klękałem. Żeby oddać hołd. Wybierałem miejsce trochę dalej, z tyłu, niedaleko drzwi. Kiedyś klękam i klękając, widzę przed sobą tablicę upamiętniającą Romana Dmowskiego, i czuję – dosłownie, fizycznie czuję – jak w tym momencie na Okopowej moi dziadowie, pradziadowie i reszta rodziny przewracają się w grobach. Zerwałem się na równe nogi jak oparzony. Nigdy tego nie zapomnę. Więc miałem momenty zwątpienia. Całkiem sporo tych momentów. Jakoś chyba rozumiałem, że jak przyjdzie co do czego, to Kościół będzie na powrót tamtym starym Kościołem. I dokładnie tak się stało. Ale ogólnie rzecz biorąc, to były wspaniałe, wielkie czasy.

EJ: W 1990 roku nadal było tak wspaniale?

MCS: Wróciłem wtedy na cztery miesiące. W tym celu udałem się najpierw do Waszyngtonu, gdzie tworzono właśnie United States Holocaust Memorial Museum, i stamtąd zostałem oddelegowany do Polski jako człowiek, który ma rozpoznać sytuację polskich archiwów i archiwaliów. I to już była inna Polska. Przyjeżdżam, patrzę, stoi samochód dostawczy, *pickup truck*. Z tyłem otwieranym na płasko. Nyska, żuk, coś w tym stylu. I tam są różne rzeczy wyłożone. Handel wprost z samochodu. Po jednej stronie leży mięso – bez opakowania, surowe – a po drugiej stronie *Protokoły mędrców Syjonu*. Artykuły pierwszej potrzeby, rozumiesz.

EJ: Co wtedy pomyślałeś?

MCS: Pomyślałem, że kraj znajduje się w procesie wielkiej przemiany i wszystko, co było dawniej ukryte, wydostaje się na światło dzienne.

EJ: Postrzegąłeś to w kategoriach przemiany czy odtworzenia, restytucji?

MCS: Pierwszoplanowy był dla mnie zawsze wątek żydowski. Jak w 1983 roku. To, że ktoś znajdował jakiś *sidur* i mi pokazywał. Albo odkrywał gdzieś zapuszczony cmentarz żydowski czy synagogę i mnie tam prowadził. To, co robili Krajewscy. To było dla mnie podstawowe i najważniejsze. Historia jako coś świętego.

EJ: I jak ta świętość miała się lokować w kontekście Reagana, papieża i *Protokołów mędrców Syjonu*? Czy myślałeś, jak się do niej odniesie kultura większościowa, wobec której nie byłeś przecież bezkrytyczny?

MCS: Myślałem. Efekt był taki, że zrezygnowałem tymczasowo z badań nad Perecem i postanowiłem opowiedzieć o tym, co tu się dzieje – z pozycji widza, zewnętrznego obserwatora. A w samej Polsce czułem się wtedy, w 1990 roku, niezbyt dobrze. Być Żydem w tej sytuacji było jakoś nie tak... Ulice wyglądały trochę dziwnie. Panował raczej nieprzyjemny, dość nieprzyjemny, a właściwie bardzo nieprzyjemny nastrój.

EJ: A konkretnie?

MCS: Antysemityzm. Jawnie. Wszędzie. Rozmowy w miejscach publicznych, napisy „Żydzki do gazu!” i tak dalej. Mieszkałem na Mokotowie w bloku, gdzie kiedyś mieszkali żydowscy komuniści. Takie napisy były tam przy windzie. To napierało ze wszystkich stron¹². Także w sferze zawodowej. W archiwach rozmawiałem z takimi potworami rodem jeszcze ze starego ustroju. Nazwisk nie pamiętam.

EJ: Czego dotyczyły te rozmowy?

MCS: Spraw zawodowych, zawartości archiwów, możliwości dostępu, takich zwykłych rzeczy. Zrozumiałem, że nic nie wskóram i że tę robotę musi robić Polak, ktoś stąd w każdym razie. A miałem bliskiego kolegę, pierwszego człowieka, którego tutaj spotkałem, bo wtedy w 1983 roku wyjechał po mnie na lotnisko. To był Jerzy Halbersztadt.

12 „[T]e gwiazdy Dawida na szubienicach, te napisy «Żydzki do gazu» [...] I to na nas naciera po epoce sakralnej Solidarności” (list Heleny Eilstein do Leszka Kotakowskiego z 1991 roku – cyt. za: Grochowska, 2015, s. 34).

On był zawsze trochę inny, trochę z boku. Miał inne spojrzenie na Solidarność. To nie było dla niego takie proste.

EJ: Widział to krytycznie?

MCS: W każdym razie nie był bezkrytycznym wielbicielem Solidarności i dlatego inni moi przyjaciele, jak Krajewscy, nie chcieli mieć z nim zbyt wiele wspólnego. Zaproponowałem Jurka na stałego współpracownika Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie i to był strzał w dziesiątkę. Jurek nie tylko poradził sobie z archiwami, ale też stał się *go-to person* dla ludzi stamtąd. Później poznał się na nim Szajke Weinberg, który stworzył Muzeum Diaspory w Tel Awiwie, następnie zaś Holocaust Museum w Waszyngtonie – innymi słowy, żydowskie muzea historyczne, narracyjne. W tej dziedzinie Weinberg był pierwszy. Urodził się w Warszawie, wychował w Niemczech, skąd po dojściu Hitlera do władzy przedostał się do Palestyny, gdzie służył w Haganie. On też przekonał Jerzego, że należy stworzyć coś takiego w Polsce: nie muzeum Holokaustu, lecz muzeum historii Żydów. I Jurek został dyrektorem Muzeum Historii Żydów Polskich [MHŻP – przyp. red.]. Szajke umarł w roku dwutysięcznym. Do końca bardzo się przejmował sprawami MHŻP.

EJ: Pisał o tym „New York Times”. Irvin Molotsky konkretnie: „At his death, even while slowed by vascular illness, Mr. Weinberg was working on the design of Jewish museums in Warsaw and Berlin” (Molotsky, 2000). To ciekawe, bo obecna ekipa MHŻP nie lubi przyznawać się do Weinberga, podobnie zresztą jak do Halbersztadta.

MCS: Z Jurkiem byliśmy w tych latach bardzo zaprzyjaźnieni. Sam mówił, że przeze mnie dotarł do żydostwa, bo wcześniej był od tych spraw daleko, mało na ten temat wiedział, możesz sobie wyobrazić, rodzice komuniści.

EJ: W latach osiemdziesiątych w Polsce nie byłoby komu docierać do żydostwa, gdyby nie rodzice komuniści, więc nie ma co tego podkreślać akurat przy okazji Jerzego Halbersztadta. W Polsce to nie jest konstatacja, lecz denuncjacja.

MCS: W dalszym ciągu? Mówisz serio? Przecież to jest antysemitki!

EJ: Oczywiście, że jest, ale za takie nie uchodzi.

MCS: W każdym razie z Jurkiem mnóstwo rozmawialiśmy o tym muzeum. Jurek uważał, że nie ma wystarczających kompetencji, by robić wystawę stałą. Wówczas poleciłem osobę kompetentną zarówno w zakresie kultury jidysz, jak i muzealnictwa, czyli Barbarę Kirshenblatt-Gimblett. I tak już zostało. Barbara jako główna kuratorka wystawy stałej pracuje w MHŻP do dzisiaj. A w związku z samym Jurkiem chciałem jeszcze dodać, że ogromnie pomagał mi przy pisaniu książki, dosyłając co kilka miesięcy pokaźne porcje wycinków z polskiej prasy.

Columbia – lata sześćdziesiąte

EJ: Uniwersytet Columbia, lata sześćdziesiąte. Co się wtedy dzieje w Ameryce? Co się dzieje na świecie?

MCS: Co się dzieje? Panuje insurekcyjna atmosfera. Ziemia drży. Nam się wydawało, że kończy się stary, a zaczyna nowy świat. I że w naszej mocy jest ten nowy świat ustanowić. Że po nas całkowicie zmienią się stosunki społeczne. Że kapitalizm skończy się raz na zawsze. Naprawdę tak myślałem.

EJ: Jakie idee wam przyświecały?

MCS: Czerpaliśmy z Marksa. Chodziło nam o zjednoczenie młodzieży amerykańskiej i Trzeciego Świata, o wyzwolenie nasze i wasze. Kierowało nami poczucie braterstwa i wspólnoty, sprzeciw wobec nierówności, wykluczenia, wyzysku, kapitalizmu, rasizmu. Szło nam o sprawy uniwersalne, a nie wąsko rozumiany interes własnej grupy. Doświadczałem wówczas uczucia jedności, zespolenia, czułem się częścią wielkiej całości.

EJ: Co to było za środowisko? Jacy ludzie?

MCS: Całości protestów przewodziło środowisko, które nazywało się SDS – Students for a Democratic Society (por. Adelson, 1972; Gitlin, 1987), ale wystąpienia miały charakter masowy. W którymś momencie zajęliśmy uniwersytet, z głównym budynkiem należącym do administracji włącznie. Zamknęliśmy uczelnię i rozpoczęliśmy okupację. Chodziło o dwie sprawy. Po pierwsze, żądaliśmy zniesienia jakiegokolwiek zależności uniwersytetu od władzy, która prowadziła wtedy wojnę w Wietnamie, całkowicie nie do przyjęcia. Po drugie, protestowaliśmy przeciwko planom zbudowania obok kampusu gimnazjum z bocznym wejściem dla ludzi z Harlemu. Nie chcieliśmy rasizmu. Nie chcieliśmy rasistowskiej architektury. Tak wyglądały nasze postulaty.

Parę lat wcześniej, w 1964 czy 1965 roku, zanim jeszcze wybuchły masowe protesty na Columbii, byłem członkiem CORE: Congress of Racial Equality. Organizowaliśmy różne akcje, żeby zwrócić uwagę na ważne dla nas sprawy. Akurat ochraniałem głodujących przeciwko rasizmowi, gdy na kampusie pojawiło się dwoje starych ludzi o wyglądzie inteligentów z Europy Wschodniej. Niewysocy, staroświecko ubrani. I ci przybysze z innej planety szukają Steinlaufa. Rozumiesz, mnie szukają. Patrzą, a to moi rodzice. Jak na starców byli zresztą całkiem młodzi. Mieli wtedy niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Chcieli mnie ratować. Ojciec całe życie stronił od polityki. Był stanowczo przeciwny mojemu zaangażowaniu. Powtarzał, że w Stanach Zjednoczonych po raz pierwszy w życiu poczuł się pełnoprawnym obywatelem i w ogóle człowiekiem. Uważał, że temu krajowi należy się lojalność, a nie rewolucja. Nasze stosunki były straszne. Dostłownie wszystko było powodem nieustających konfliktów między nami. Dzisiaj, gdy mam napięte relacje z własnym siedemnastoletnim synem, Deborah, moja dziewczyna, powtarza mi: „Co dałeś ojcu, teraz dostajesz z powrotem”. Tak więc stosunki z ojcem mieliśmy bardzo złe,

a matka... Oboje przeżyli nie takie rzeczy, ale tu chodziło o dziecko, o mnie, więc możesz sobie wyobrazić. Nie bardzo to wtedy rozumiałem.

W czasie strajku okupacyjnego natomiast zjawił się na Columbii Tom Hayden w stroju karateki. Nie był już wówczas studentem, lecz znanym działaczem SDS. I przyszedł akurat do nas, do budynku matematyki, w którym ulokowała się lewica lewicy – *rouge du rouge* – i ja byłem w tej właśnie grupie. Nie byłem liderem, ale z całą pewnością należałem do największych radykałów. Władze uniwersytetu nade wszystko bały się, żeby na kampus nie weszli tak zwani ludzie z zewnątrz. Obawę władz podzielała część studentów. Chodziło o ludzi z Harlemu, choć nie tylko. Wśród nas zjawiła się bowiem sześćoosobowa może grupka w skórzanych kurtkach, cała na czarno. Jeden z nich nosił czarny skórzany kapelusz w fasonie kowbojskim. Nazywali się Motherfuckers of the Lower East Side.

EJ: „Wall Street is War Street”. „All you need is dynamite”.

MCS: Tak, to ci. „A street gang with analysis”. Mieli przy sobie noże.

EJ: Anarchiści?

MCS: Jak najbardziej. Coś w rodzaju formacji samoobrony, ale zasadniczo grupa – powiedziałbym – akcjonistów, powołana do życia przez artystów wizualnych i poetów czerpiących z dziedzictwa dadaizmu.

EJ: Jeszcze słowo o nazwie, której pełne brzmienie to Up Against the Wall Motherfuckers – cytuję w wierszu Amiriego Baraki *Black People!* Do spotkania z wami w kwietniu 1968 roku nazywali się Black Mask. W maju zeszli do podziemia, a zmiana nazwy na niecenzuralną wynikała także stąd, że nie chcieli dać się skonsumować. Wiersz Baraki przyświecał jakoś waszemu protestowi, skoro najpierw pojawił się w formie *graffiti* na gmachu matematyki, a potem lider całego *sit-in* Mark Rudd zacytował go w konkluzji listu do prezydenta Columbii.

MCS: Niezwykle lubię twórczość Baraki. Niestety, nie brakowało w niej wątków antysemitycznych. Potrafił nawoływać do ataków na sklepy żydowskie, których w czarnym getcie było całkiem sporo. Potrafił też rzucić wezwanie: „Żydzie, oddawaj swoje złoto!”. Jednocześnie był ważny, bo łączył nas z jednej strony z Beat Generation, a z drugiej – z ruchem Black Power. Motherfuckers też byli ważnym elementem tego wszystkiego. Bez ich energii i pomysłów to nie byłoby to samo.

EJ: Ginsberg mówił, że nie było żadnej Beat Generation, tylko paru facetów szukających wydawcy.

MCS: I wszystko się zgadza, bo Baraka ich drukował. Mniej więcej po tygodniu strajku okupacyjnego na kampus wtargnęła policja i w jedną noc aresztowała tysiąc osób. Siedzieliśmy w gmachu matematyki z Paulem Austerem. Przyjaźniliśmy się wówczas. Były z nami dwie koleżanki. Zamknęliśmy się w jednym z pomieszczeń i czekaliśmy. Czuliśmy, że wejda. Siedzieliśmy na podłodze, trzymając się pod rękę. Policja była niesłychanie

brutalna i wściekła na nas, bo wybudowaliśmy ogromne barykady, cały system fortyfikacji. Dodatkowo rozlaliśmy mydliny na schodach, więc tracili równowagę i się przewracali. A potem nie chcieliśmy wstać. Dostałem kijem w łeb. W szpitalu założyli mi później cztery szwy. Tymczasem jednak dostaję kijem w łeb, bijemy się zażarcie, po jakimś czasie zostajemy pokonani i wychodzimy. Ja zalany krwią, strasznie dumny. Na zewnątrz panuje coś w rodzaju obłędu. Jest tysiąc aresztowanych. W międzyczasie na Columbię ściągnęli ludzie z całego miasta, nasi zwolennicy. I oni stoją, i skandują: „The whole world is watching”. Policjanci wpychają nas do wozów policyjnych. Ludzie próbują nas odbić. Toczy się walka. Nie jesteśmy sami. Niesamowite uczucie, niezapomniany moment. Spędziłem noc w areszcie. Potem nas wypuścili. Solidarność była dla mnie jakby kontynuacją tamtego buntu.

EJ: Tak? Ale Solidarności nie obchodził los prześladowanych w Ameryce Łacińskiej czy gdzie indziej. Nawet w czasach, niechętnie potem przypominanych, gdy wysuwała hasło „Socjalizm tak, wypaczenia nie”.

MCS: Zgoda. Jeśli chodzi o ewolucję ideologii i praktyki społecznej, to trudno mówić o podobieństwie. Ale to był podobny rodzaj doświadczenia zbiorowego, charakterystyczny dla momentu, w którym dzieją się rzeczy historyczne. Gdy lata sześćdziesiąte dobiegły końca, w Ameryce takie sytuacje już się nie zdarzały, więc czułem się szczęśliwy, że mogłem być blisko takiego doświadczenia w Polsce. Coś podobnego przeżyłem jeszcze w 1967 roku podczas Marszu na Waszyngton. Wziąłem w nim udział właściwie przez przypadek, bo akurat natknąłem się na policję, która zabraniała iść w tamtym kierunku, a skoro zabraniała, to poszedłem. I widziałem ludzi, którzy wkładali żołnierzom kwiaty do luf karabinów. Potężne przeżycie. Ogromną rolę w tym wydarzeniu odegrała również książka Normana Mailera *The steps of the Pentagon*. Mało który tekst w historii miał taką moc sprawczą.

EJ: Staram się zrozumieć. Ważny jest dla ciebie typ doświadczenia. A idea czy ideologia, deklarowane cele, punkt dojścia?

MCS: Przecież chodziło o wolność, o zniesienie systemu niewoli. A inne sprawy? Dla mnie w każdym razie wówczas w Polsce nie liczyły się może aż tak bardzo. Punkt dojścia natomiast to jest trudne pytanie. Bo co się stało w Polsce ostatecznie? Ale czy w Ameryce poszło lepiej? Też wyszedł z tego Ronald Reagan, rozumiesz? Ronald Reagan, który był potworem, rozumiesz to?

EJ: Ale to nie *sit-in* na Columbi wniósł do władzy Ronalda Reagana. Nie mieliście w programie neoliberalnej rewolucji, ani jej nie poparliście. Myśl krytyczna na Columbi nadal istnieje. Dzięki niej nie żyjemy w najlepszym ze światów, czyli w rzeczywistości bez alternatywy. Dzięki takim jak wy zgoda na to, co się dzieje, nie jest całkowita.

MCS: Nie należy jednak zapominać, że to powszechny strach przed tym, co reprezentowaliśmy, pchnął Amerykę w objęcia Reagana. Choć we własnym mniemaniu walczyliśmy o nowy wspaniały świat.

EJ: A Solidarność ze swym charyzmatycznym przywódcą bardzo szybko zaczęła walczyć o przywrócenie starego wspaniałego świata.

MCS: Wydawało się, że wystarczy obalić wszystkiemu winnych komunistów...

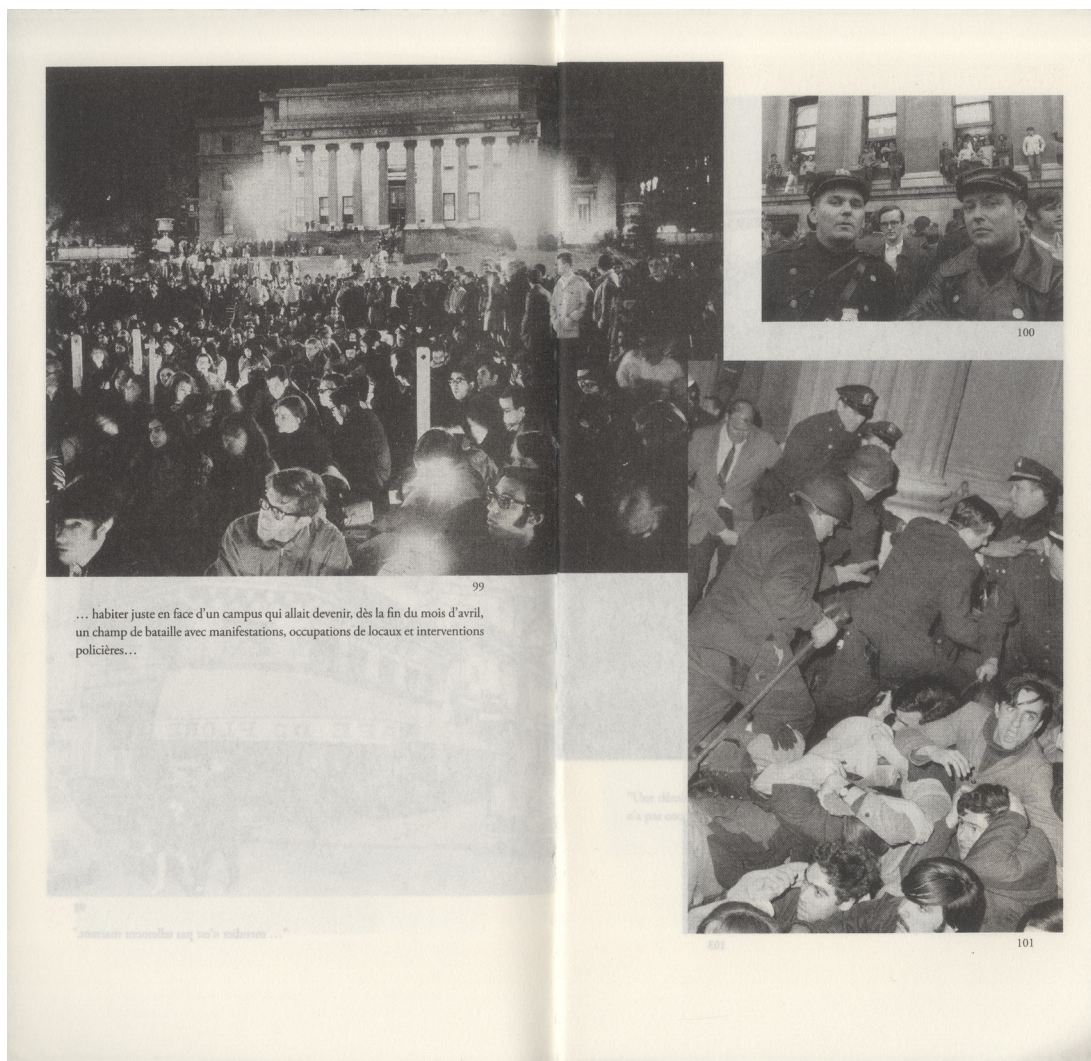
EJ: Już na podstawie takiej definicji sytuacji można było przewidzieć, jak się sprawy potoczą. Nie trzeba było być jasnowidzem. Trochę tu upraszczam, bo nie wszyscy rozmawiali w ten sposób, ale to nie oni pokierowali ciągiem dalszym¹³. Wróćmy jednak na Columbię. Kto jeszcze do was zaglądał? Ginsberg? Aptheker?

MCS: Ani jednego, ani drugiego nie pamiętam, ale było pewne, że obaj nam sprzyjają. W momencie, o którym mówimy, najważniejszy był dla nas Tom Hayden. Nasza komuna z gmachu matematyki – około stu osób – wybrała go na swojego przewodniczącego. I bardzo ważni byli ludzie z Harlemu, którzy się pojawili wśród studentów. Czarni, owszem, studiowali na Columbii. Garstka. Bardzo dynamiczni. Mieli świetne pomysły, zapraszali różnych aktywistów. Umówiliśmy się, że okupujemy sąsiednie budynki. Ale ja tutaj mówię o czarnych z miasta. Pamiętam, jak idą ulicami kampusu. Fantastyczna historia. Mniej fantastyczne było to, że na uczelni istniały także różne mocno prawicowe białe bractwa, tak zwane *fraternities*. Jedno z najgorszych nazywało się Beta-Theta-Pi – od liter greckiego alfabetu. Byli ulokowani przy jednej ulicy, znakomicie wysportowani, podczas gdy my uchodziliśmy za mięczaków i byliśmy dla nich pośmiewiskiem. Napadali nas i bili, aż pewnego dnia wtłukła im ta grupa z Harlemu, stając w naszej obronie. Wtedy przeszła im chęć do bitki. Cała akcja odbyła się na zewnątrz, na oczach wszystkich, ponieważ było już ciepło, późna wiosna, wczesne lato. Odtąd to oni się bali. Ci biali. Przeróżający goście, z którymi nie była możliwa żadna rozmowa. Rasiści, więc dodatkowo działał na nich mit Harlemu, co zapewniało nam ochronę także pod nieobecność ludzi stamtąd.

EJ: Students for a Democratic Society byli wewnątrznie zróżnicowani?

MCS: Jak najbardziej. Byli tam socjaliści, komuniści, anarchiści, liberałowie różnej maści. Myśmy nie znosili frakcji liberalnej, która chciała dogadywać się z władzami. Jedne budynki były okupowane przez radykałów, inne przez liberałów. Ostateczny rezultat był taki, że prezydent Columbii podał się do dymisji. Planowanego gimnazjum nigdy nie wybudowano. Przez długie lata normalną rzeczą była akcja afirmatywna przy naborze studentów i przy zatrudnianiu personelu administracyjnego oraz kadry uniwersyteckiej, choć nie tak dawno Sąd Najwyższy, ostatnio raczej prawicowy, uznał to za niezgodne z konstytucją. Do dziś miejscem, gdzie jakoś przechowuje się pamięć o naszym *sit-in* jest właśnie budynek administracji. *Sit-in* stał się częścią tradycji i tożsamości uczelni,

¹³ Na konkurencję pierwiastka klasowego i demokratycznego z narodowo-katolickim wskazywały badania socjologiczne prowadzone wśród działaczy i członków pierwszej Solidarność: „[N]ie ulega wątpliwości, że robotnicy w pełni podzielają uczucie Wałęsy, gdy mówi on: «Interes polskiego narodu będzie stał wyżej niż własny [klasowy – E.J.] interes». [...] Faktem najistotniejszym jest jednak obecność Kościoła i religii katolickiej w polskiej świadomości narodowej oraz w działaniu «Solidarność». W tym punkcie nierozumienie Polaków przez opinię zachodnią jest najbardziej uderzające” (Touraine, 1989, s. 47). Modele ruchu przedstawiane przez zespół socjologów ewoluowały. O ich końcowej postaci pisał Touraine: „Wspólne im jest to, że wszystkie zmniejszają znaczenie wymiaru demokratycznego i przypisują centralną rolę uczuciom narodowym” (Touraine, 1989, s. 145). Por. także: Kowalski 1990.



„...mieszkać dokładnie naprzeciwko kampusu, który miał się stać, z końcem kwietnia, polem bitwy, z demonstracjami, okupacją budynków i interwencjami policji...” – fotografie z okresu *sit-in* na Columbii w Nowym Jorku na rozkładówce książki: Paul Auster, *Excursion dans la zone intérieure*, traduit de l'américain par Pierre Furlan, Actes Sud, Arles 2014 (tłumaczenie fragmentu Elżbieta Janicka; ilustracja na prawach cytatu)

częścią legendy, ale też elementem układu odniesienia. Rodzajem straszaka. W sumie powiedziałbym, że Columbia zmieniła się, ale tak, jak tego chcieli liberałowie. Więcej się nie dało.

EJ: Jak walka o równe prawa wyglądała od środka? Skład Students for a Democratic Society był mieszany, czy byli tam tylko biali?

MCS: Sami biali tam byli. Czarni utworzyli osobną organizację pod wodzą Stokely'ego Carmichaela: Student Nonviolent Coordinating Committee (SNCC). To była prawidłowość bardziej ogólnej natury. Ruch Martina Luthera Kinga tworzyli jeszcze wspólnie czarni i biali, w tym dużo Żydów oczywiście. W 1968, 1969 roku czarni postanowili jednak działać sami. I przeszło to wszystko w fazę Black Power. Carmichael był tam bardzo ważny. Jego afrykańskie imię brzmiało Kwame Touré. SNCC to byli najbardziej radykalni goście w *civil rights movement*, którzy podziękowali białym. Ale bez białych to się

rozsypało. Na czele tego separatyzmu stało ugrupowanie Black Panthers. A Black Panthers szanowaliśmy bardzo.

EJ: Kolejna męsko-męska sytuacja. Kobiet tam nie było.

MCS: Było mnóstwo. Wszędzie były.

EJ: Wiem, nawet na pierwszej linii frontu, ale zawsze na zapleczu w sensie dostępu do głosu i wpływu na bieg wydarzeń.

MCS: Były wyjątki, ale na ogół rzeczywiście tak wychodziło.

EJ: Jedyne znane nazwisko z tamtego kręgu to Solanas. Ale Solanas jako ta, która strzelała do Warhola. I jako przyjaciółka Bena Morei, szefa Motherfuckers of the Lower East Side, który uważał, że Warhol zamordował sztukę. Oboje nienawidzili Warhola, ale strzelała ona. Ona odpowiadała przed sądem i ona wylądowała w szpitalu psychiatrycznym.

MCS: Carl Solomon też był w szpitalu psychiatrycznym. Tam się poznali z Ginsbergiem.

EJ: Tak, tylko Ginsberg w odróżnieniu od swojej matki uniknął lobotomii. I ten epizod szpitalny w życiorysie oraz matka z lobotomią tworzyły wokół niego aurę *poète maudit* – z całym szacunkiem dla jego roboty poetyckiej, bo ta jest niepodważalna. I z całym szacunkiem dla jego cierpienia.

MCS: Zgoda, ale Solanas działała jednak również sama z siebie.

EJ: Tylko spójrz, jak to wygląda w sferze reprezentacji kulturowej. Nawet jeżeli naszym ideałem szczęścia jest domek na przedmieściu wyposażony w model żony opisany przez Judy Syfers w *I want a wife*¹⁴, zgodzimy się, że królami życia w tej historii byli Warhol i Morea. Każdy na swój sposób. Solanas jest pamiętana jako ofiara molestowania seksualnego, niedoszła morderczyni, zmanipulowana wariatka. Kto pamięta o wartości literackiej jej tekstów? O *SCUM Manifesto* pisze się jak o programie eksterminacji mężczyzn, a nie przenikliwym i zjawiskowo dowcipnym pastiszu patriarchalnego dyskursu. Solanas to rodzaj *freak show* zagrażający życiu i zdrowiu spokojnych obywateli: *mirnych grażdan Sojedinionnych Sztatow Amieriki*. I to by miała być ta kobieca reprezentacja.

MCS: Dla nas liczyła się raczej Angela Davis. Była bardziej znana. No i czarna do tego. Nie wiedziałem wtedy specjalnie dużo o Solanas, a to wszystko jest bardzo ważne. Przyznasz jednak, że gdzie indziej w tamtym czasie formalne prawa i faktyczna pozycja kobiet nie wyglądały wcale lepiej.

EJ: Nie tylko w tamtym czasie. Skądinąd w kręgach polskiej opozycji Angela Davis nie wydawała się cieszyć przesadnym respektem. W *Balladzie o szosie E7* z 1981 roku Jan Krzysztof Kelus śpiewał: „Ta moja żona jest taka drobna / Czasem jest całkiem

¹⁴ Chodzi o legendarny esej feministyczny – *I want a wife* – odczytany przez autorkę w sierpniu 1970 roku w San Francisco wobec tłumu zgromadzonego z okazji obchodów pięćdziesiątej rocznicy przyznania kobietom prawa głosu. Ujawniając skalę tzw. niewidzialnej i *de facto* niewolniczej pracy żon, Syfers wskazywała na rozdźwięk między formalnym równouprawnieniem płci a stanem faktycznym.

trudno uwierzyć / Że przesiedziała w więzieniu dłużej / Niż ta wariatka Angela Davis¹⁵. A wiesz, co powiedział o rewolucji Jacek Kuroń? „Bo zawsze jak jest rewolucja, to dziewczyny robią kanapki i parzą herbatę...” (Dąbrowska & Kuroń, 2014, s. 22). Stwierdził fakt i zarazem projektował rzeczywistość, w której – jeżeli jesteś kobietą – ani zipniesz.

MCS: Przypomina mi się jedno z seminariów na Columbii. Elitarne. Z koniakiem i cygarami. Tylko dla chłopców. Prowadzili je na zmianę Daniel Bell i Steven Marcus. *Bell-Marcus seminar*. Marcus był autorem kultowej książki *The other Victorians*, o seksualności i pornografii w Anglii połowy XIX wieku. Na innych naszych zajęciach wykladał Szekspira. Jego żona, osoba potężnej postury, miała na imię Gertruda, co było przedmiotem naszych komentarzy w kontekście zajęć o *Hamlecie*. Zastanawialiśmy się, jak wygląda układ sił u nich w domu. Wyobrażaliśmy sobie naszego profesora w różnych rolach. Momentami byliśmy naprawdę okropni. Jak to studenci. Ale zmierzam do tego, że w konkluzji ostatniego wykładu na temat psychoanalitycznych interpretacji *Hamleta* Marcus oznajmił z namaszczeniem: „And now the problem of Hamlet is solved”. Powiedział to najzupełniej poważnie. Śmialiśmy się z tego oczywiście, ale to wytwarzało poczucie wspólnoty wybranych i wtajemniczonych, lepszych.

EJ: Nic dziwnego, że kobiety się wściekły i postanowiły nie uczestniczyć dłużej w wykluczeniu samych siebie.

MCS: Druga fala feminizmu to ten sam czas. I to samo miejsce właściwie. Parę lat po mnie studiował na Columbii jeden z synów Betty Friedan. Jonathan. Został później architektem. Mieszka teraz w Filadelfii. Jest praktykujący. Uczęszcza do bóżnicy. Po latach byłem u niego na szabacie, gdzie miałem okazję poznać jego matkę – dyskretną, trochę dziwną staruszkę, tak niepodobną do swojego publicznego wcielenia. Mój najstarszy syn Zev, wówczas małe dziecko, u Jonathana w domu nauczył się chodzić po schodach. Dzisiaj uważa się za feministę i czyta właśnie *Mistykę kobiecości* Friedan. Obu nam ogromnie imponuje też jej wnuczka, córka Jonathana, feministka nowego pokolenia.

Seattle – pierwsza połowa lat siedemdziesiątych

EJ: Co się z tobą działo po buncie na Columbii?

MCS: Miałem za sobą cztery lata studiów i dyplom BA – Bachelor of Arts. Miałem też magisterium z literatury angielskiej. Moja praca magisterska *One day I woke up dead: The story of Edgar Allan Poe* została wysoko oceniona. Napisałem ją w ciągu tygodnia na złotym haszyszu. Ale doktoratu już nie chciało mi się robić. Zrezygnowałem z kolejnego roku stypendium. Proponowali mi nawet pracę akademicką, ale nie mogłem, nie byłem w stanie. Rzuciłem wszystko i przez rok byłem taksówkarzem na Manhattanie. Jeździłem nocami, co w owym czasie było dosyć niebezpieczne i wyglądało mniej więcej jak w filmie *Taxi driver* Scorsese'go. Prowadziłem taką samą taksówkę Checker, która przypominała czołg.

¹⁵ Nie zwróciłabym uwagi na tekst Kelusa, gdyby nie Henryk Hollender, któremu składam w tym miejscu podziękowanie za to, że od lat szczerze dzieli się ze mną swoją erudycją, obserwacjami i doświadczeniem.

W pewnym momencie z paroma kolegami doszliśmy do wniosku, że trzeba wyjechać z Nowego Jorku. Część przeniósł się do San Francisco, a ja z dziewczyną do Seattle. Tam uznaliśmy, że czas na poważne działanie i poważną politykę. Moim najbliższym przyjacielem został Bruce Seidel (por. Wright, 2010, ss. 51–53). Pochodził z Chicago. Był Żydem. Rodzina z Europy Wschodniej. Dosyć religijna. Jego życiem jednakże była rewolucja. Mówił, że rewolucja to jedyne, co potrafi. Był niewielkiego wzrostu – 163 centymetry – ale bardzo muskularny. Miał wielkiego Harley’a. Mobilizował ludzi. Organizował demonstracje. Zajmował się grupą więźniów, do których chodziliśmy co tydzień niby w ramach programu resocjalizacji. Pamiętam, że jeden z nich miał w uchu kolczyk ze swastyką. Nie wiedział, co oznacza *hakenkreuz*, tylko że to coś jest *bad*, czyli *cool*. Trafiliśmy też na ludzi skazanych za napady na banki na Alasce. Niedługo potem wyszli na wolność i zaczęliśmy z nimi współpracować przy przemycaniu do więzienia wydawanej przez nas gazety.

EJ: Co to była za gazeta?

MCS: „Sunfighter”. Z piosenki Jefferson Airplane. To był pomysł Bruce’a. „Sunfighter, gunfighter, mount the earth and learn to ride her”.

EJ: Przemoc, przemoc, przemoc.

MCS: Jest w tym uprzedmiotowienie i seksizm. No, jest. No więc pierwsza nasza gazeta nazywała się „Sunfighter”. Potem współpracowałem z człowiekiem starszym od nas, czarnym organizatorem związków zawodowych, który nazywał się Tyree Scott. Charyzmatyczny, ogromnie inteligentny facet, ze świetnym poczuciem humoru. Jego organizacja, United Construction Workers Association, walczyła o prawa pracownicze robotników budowlanych: czarnych, Meksykanów, Native Americans. Pikietowaliśmy oficjalny związek, deptaliśmy po piętach jego członkom. Kiedyś z jednej strony urządziliśmy głośną manifestację, a z drugiej „ktoś” po cichu zniszczył maszyny przy ich stanowiskach pracy. Nie ja. Tu – podobnie jak na Columbii – należałem do grupy radykalnej, ale nie byłem liderem. Byłem stowarzyszony z ludźmi, byłem jednym z nich, pisałem dla nich i w ich imieniu, ale odsuwałem się, kiedy wybuchała bijatyka. Nigdy nie miałem w ręku broni. Prawdziwy inteligent.

EJ: Wtedy robiłeś „No Separate Peace”?

MCS: Tak. „No Separate Peace” stworzyliśmy razem: czarni, Meksykanie, Filipińczycy, Chińczycy i Native Americans. Z białych byliśmy Bruce, ja i młody profesor z University of Washington, Phil Meranto, świetny facet, który niedługo potem zmarł na atak serca. Było nas mało, ale byliśmy widoczni. Wchodząc na zebrania, słyszeliśmy: „O, biali przyszli”. „Biali”, czyli ci, którzy mają wydawać gazety i pisać ulotki. Bo Żydzi zaliczani byli do białych (por. Brodtkin, 1998). Zebrania liderów odbywały się późno w nocy. Najpierw przychodzili biali, czyli my, potem czarni, a na końcu, koło dwunastej, pierwszej w nocy, Chińczycy. Chińczycy przynosili domino i zaczynała się gra. Taki ustalił się rytuał. Bardzo liczyła się wśród nas grupa przeciwników Marcosa z Filipin. Jednego z nich ludzie Marcosa zabili potem w Seattle. Nazywał się Selme Domingo. Został zastrzelony

NO SEPARATE Peace

VOL.1 NO.1

MAY 15, 1975



CONTENTS:

Tyree Scott at UofW	page 4,5
MayDay Celebration	centerfold
Union Station	page 8
School Crisis	page 10,11

„No Separate Peace”, 15 maja 1975, tom 1, nr 1, s. 1. Pismo było wydawane przez United Construction Workers Association od maja 1975 do listopada 1978 roku (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

EDITORIAL:

Who We Are

This paper will report the news about the struggles of Third World, poor, and working women and men to obtain our human rights. The focus will be on news about our communities in Seattle and the Northwest. We will also publish news about those national and international struggles that people locally need to know about in order to see our own struggles in proper perspective.



Our goal is to set up a two-way communications channel into and out of our communities. We want to inform but we need to learn. As the paper begins to develop credibility in our communities, as people begin to trust us, we want people to come to us with news they feel is worth reporting.

The struggle comes first, the paper second.

In the past, many "underground" or "left" papers have fallen into the trap of seeing a newspaper as a primary organizing tool. What often happens is that a group of "independent" people work very hard to produce a paper which is hawked to uncommitted people in an effort to "raise their consciousness." The paper then has a tendency to become, at best, an independent political force, and at worst, a self-serving vehicle for a small group of people who convince themselves they are "doing something."

This paper will be different. Its immediate audience are people who, on some level, can relate to our local struggles and want to know more about them. For example, if someone wants to know about struggles in the Asian community these days, they will find our paper a good source for this information. The purpose of the paper is to take the natural interest and sympathy that already exist around many struggles, and to build increased commitment through a clearer understanding of the issues involved. The struggle defines the paper, not vice-versa.

On the "political line" of the paper --

When a group of people realize that they share a past and present of common oppression, they become a community. When this community begins to deal with its negative self-image, to turn its weaknesses into strength and pride, it develops a culture. When the community begins to act in its own interests, it develops into a movement.

Over the past ten years we have witnessed the flowering of many communities, cultures, and movements:

National groupings -- Black, Chicano, Asian, Native American, Latino;

Sexual groupings -- women, gay people; as well as workers, young people, soldiers, prisoners, and even neighborhood groupings (Cascade or Beacon Hill or Capitol Hill).

These movements have been a source of strength and pride to their participants. But each of them, as time goes on, develops increasingly severe internal contradictions. The primary contradiction that emerges is between those who will not move beyond their own community and culture, and those who see the need for unity among all oppressed people. We see this contradiction emerging with particular force in all the national movements and in the women's movement.



Many people have gone a certain distance and, for many reasons, have stopped moving. For example -- Black Power and Black Pride and Black Culture developed as a positive force to strengthen and unify the resistance of Black communities to the daily oppression of Black people. But when Black Pride is used as an excuse to ignore the struggles of, say, Chicano people, or when a prominent Black "leader" says about an Asian brother currently involved in the UCWA struggle: "Where was he in '69?" -- this is an excuse for weakness, or an opportunity for racism.

The task of the paper, then, is to encourage all those who want to build principled unity among all the diverse communities in our area, to point out that, ultimately, there is one struggle and one enemy, for there shall be NO SEPARATE PEACE. But building this unity is a very complex process. It won't occur by saying "Black and white unite and fight" like "Open sesame"; or by pretending that "After all, we're all workers, ain't we?" The paper will show people that unity doesn't mean sameness -- that being Black or Chicano or a woman can continue to be a source of strength and joy. Therefore, we will emphasize the art and poetry and culture of the various communities in our area, while educating people to struggle against the divisiveness of racism, sexism, and imperialism.

Building unity among our communities means being optimistic about people's capacity for working together, and being optimistic about the future. It means talking about our vision of the future, and explaining how the principled unity we are trying to build will lead to the creation of a humane and just society in which people's real needs can be satisfied.

Where we begin is not where we end. The paper, just like everything else, will go through constant changes. In particular, we have a long way to go in learning to communicate so that people will understand and care about what we say. Fortunately, this is not just our responsibility.

We need constructive criticism from our readers. Tell us what you think of the individual articles, which ones are helpful, which ones make sense, which ones are bullshit.

We also welcome and encourage articles, poems, letters, artwork -- but we can't print everything we receive. Remember that we have a particular point of view, and that point of view is the name of our paper.

Most of all, we welcome and encourage our readers to involve yourselves in the struggles you read about in these pages.



Community Editorial Board

Douglas Chin
Selme Domingo
Larry Gossett
Elaine Ko
Raul Salinas
Beverly Sims

Staff for this issue

Doug Chin
Debbie Kaufmann
Elaine Ko
Steve Oden
Bruce Seidel
Michael Steinlauf

Mailing Address

Suite 1-A
105 14th Avenue
Seattle, Wa. 98122

On the road:
Robert "Standing Deer" Wilson

NO SEPARATE PEACE 2

Niepodpisany manifest *Who We Are* autorstwa Michaela C. Steinlaufa – „No Separate Peace”, 15 maja 1975, tom 1, nr 1, s. 2 (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

w takich samych okolicznościach jak Malcolm X: na wiecu, gdy wygłaszał przemówienie. Działo się to już po moim wyjeździe z miasta.

EJ: A tytuł?

MCS: Jak by to powiedzieć...

EJ: „Ah, Carl, while you are not safe I am not safe”¹⁶...

MCS: Właśnie tak. Żadnych separatystycznych układów. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

EJ: Solidarność.

MCS: Solidarność. „No Separate Peace” relacjonowało walkę o równe prawa wszystkich dyskryminowanych grup i śledziło, jak rozwija się ruch progresywny. W którymś momencie zorientowaliśmy się jednak, że ze środowiska „Sunfighter” wyodrębniła się mała podziemna grupka zbrojna. Jej członkowie byli zdania, że działania publiczne, otwarte i legalne nie wystarcza. Uważali, że kapitaliści nigdy się nie poddadzą, nie zrezygnują po dobroci, że ruch musi mieć ramię zbrojne. W tym momencie na scenę wstępuje dwóch byłych więźniów z Alaski, którzy umieli obchodzić się z bronią.

EJ: Kryminaliści.

MCS: Tak, ale już uświadomieni politycznie odpowiednio. Oprócz nich była tam para lesbijek, jeden czarny, jeszcze kilka osób. Zabrali się do działania bez porozumienia z nami. No i się zaczęło. Na przykład: robimy marsz na Oregon. Ze Seattle do Portland, stolicy Oregonu. Osiemdziesiąt mil, czyli jakieś sto dwadzieścia kilometrów. W Portland chcemy pikietować agendę rządową: Bureau of Indian Affairs. Jest to marsz solidarności z Native Americans i przy okazji impreza. Nocujemy gdzieś po drodze, a rano zjawiają się dziennikarze, pytając, czy wiemy, co się stało w Portland. Nie mieliśmy pojęcia. Otóż w nocy Bureau of Indian Affairs wyleciało w powietrze.

EJ: Byli zabici i ranni?

MCS: Nie. Wcześniej ktoś zadzwonił z ostrzeżeniem. To nie wyglądało tak jak teraz. Akcje, w których ginęli ludzie, należały w tamtych latach do wyjątków. To były przypadki, a właściwie wypadki – niechciane i niezamierzone. Według podobnego kodeksu działała podziemna zbrojna komórka, która wyłoniła się z SDS. Nazywała się Weatherman w nawiązaniu do piosenki Boba Dylana *Subterranean homesick blues*...

EJ: Teledysk z Ginsbergiem!

MCS: ...gdzie Dylan śpiewa między innymi: „You don’t need a weatherman to know which way the wind blows”. Ci też wysadzili w powietrze parę rzeczy. Ale nasi dawni towarzysze utworzyli całkiem osobną formację: George Jackson Brigade. George Jackson należał do Czarnych Panter. Siedział w kalifornijskim więzieniu Soledad. Jego listy z więzienia wyszły w książce *Soledad brother*.

¹⁶ Fragment pierwszej części *Skowytu* (1955) Allena Ginsberga. Chodzi o adresata utworu, Carla Solomona.

EJ: Przedmowę do nich napisał Jean Genet, który uważał zabicie Jacksona za mord polityczny. Podobnie zresztą jak Foucault.

MCS: George Jackson został zastrzelony przez strażników więziennych, rzekomo za usiłowanie ucieczki. Rok wcześniej podczas próby wzięcia zakładników – z intencją uwolnienia kilku Soledad Brothers – zginął brat Jacksona: Jonathan Jackson, ochroniarz Angeli Davis. To właśnie wtedy Davis trafiła do więzienia. Jej obronę organizowała między innymi Bettina Aptheker. To były wszystko bardzo znane sprawy. George Jackson Brigade była jakoś mniej znana, ale ostatnio wyszła na jej temat obszerna monografia (Burton-Rose, 2010b; por. także: Burton-Rose 2010a). O wielu rzeczach, które robili, w ogóle wtedy nie wiedziałem. Zdarzyła im się na przykład akcja z materiałami wybuchowymi, w wyniku której kilka osób zostało rannych.

EJ: Na czym polegał związek między „No Separate Peace” a George Jackson Brigade?

MCS: Zналиśmy się. Wiedzieliśmy jedni o drugich. Bruce był u nich. Trwało to ze dwa lata. George Jackson Brigade działała w tym czasie bardzo intensywnie. Aż zaplanowali napad na bank. Bank został obstawiony przez policję. Poddali się, ale policja strzelała. Bruce został zabity strzałem w plecy. Dostał kulę, trzymając ręce do góry. W styczniu 1976 roku¹⁷. [Długa cisza].

EJ: I co ty wtedy?

MCS: Nic. Nic. Nic. Koniec świata. [Długa cisza]. Mieszkałem w mieszkaniu Bruce’a, to znaczy w mieszkaniu, które wcześniej wynajmował i które mi przekazał, zanim zszedł do podziemia. Lepiej było zniknąć ze Seattle¹⁸. Zaczynało się śledztwo.

EJ: Śledztwo z sprawie działalności Bruce’a czy w sprawie zabicia Bruce’a przez policję?

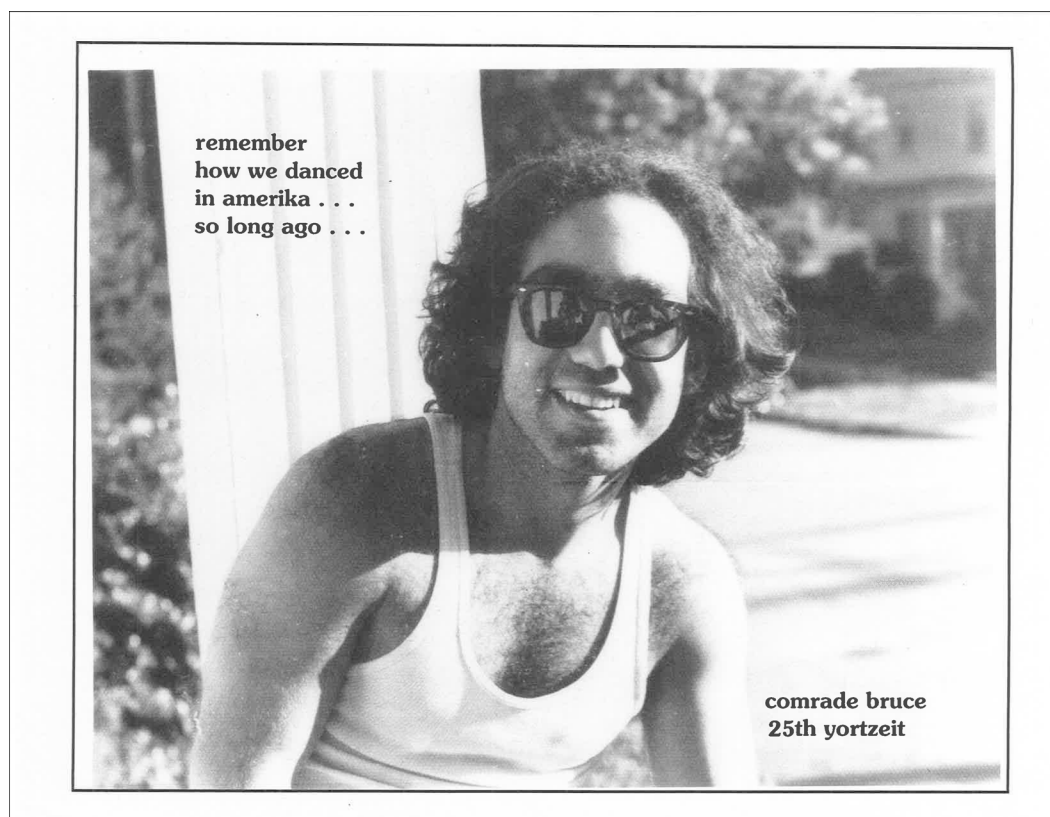
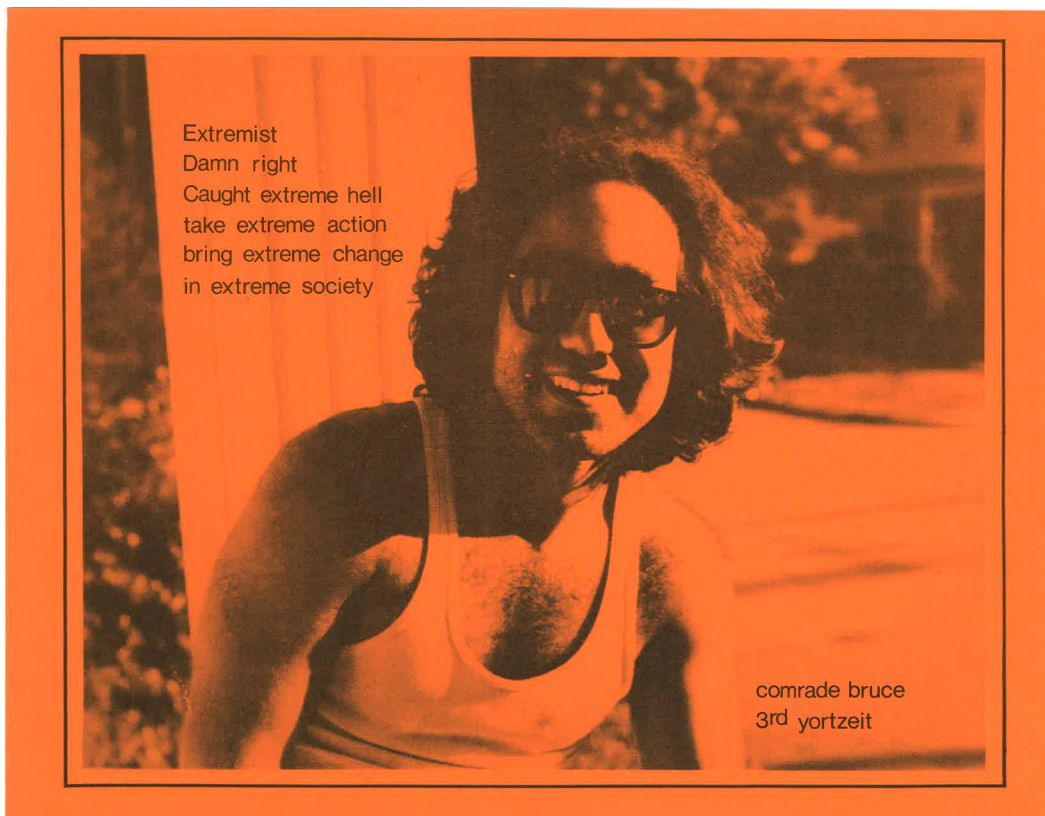
MCS: W sprawie zabicia Bruce’a nie było żadnego śledztwa. Niektórzy ludzie z George Jackson Brigade do dzisiaj siedzą w więzieniu, a niektórzy – mężczyźni i kobiety – siedzieli jeszcze do niedawna. Za śmierć Bruce’a nikt nie odpowiedział¹⁹. [Długa cisza].

EJ: Ginie Bruce.

17 Dokładnie było to w piątek 23 stycznia 1976 roku. Bruce Seidel miał wówczas dwadzieścia sześć lat. Według monografa George Jackson Brigade zginął z bronią w ręku. Por. rekonstrukcja przebiegu wydarzeń w miejscowości Tukwila w stanie Waszyngton (Burton-Rose, 2010b, ss. 165–170).

18 Na wieść o tym, co wydarzyło się w Tukwili, jeszcze tego samego dnia „Steinlauf zadzwonił do Micheala Witheya ze Seattle, członka miejscowego oddziału Krajowej Gildii Prawników, który niedawno bronił należącego do Weather Underground zbiega złapanego w tym mieście. «Proszę zadzwonić na komendę policji w Tukwili i zapytać, czy przetrzymują niejakiego ‘Petera Wilsona’» – powiedział młodemu adwokatowi współlokator Bruce’a. «Kim jest ten ‘Peter Wilson’?» – zapytał Withey. «Nie mogę panu powiedzieć. Jest biały, metr sześćdziesiąt wzrostu, krępy, brunet. Jest ranny». Withey zadzwonił tam zaraz następnego dnia. Dowiedział się, że «Wilsona» przyjęto do szpitala ogólnego Valley, gdzie wcześniej rano stwierdzono jego zgon. Obawiając się, że wie zbyt wiele, współlokator Bruce’a zniknął. W ucieczce otrzymał wspomóżenie finansowe z tego, co pozostało po Brygadzie” (Burton-Rose, 2010b, s. 169 – tłumaczenie fragmentu Jakub Ozimek).

19 19 lutego 1976 roku sąd uznał, że Bruce Seidel został zabity przez policję i że było to „zabójstwo możliwe do usprawiedliwienia” (*justifiable homicide*). Rozprawa trwała czterdzieści minut, tawa przysięgłych nie zadawała pytań, nie wyjaśniono kwestii leworęczności Bruce’a, kluczowej dla odpowiedzi na pytanie, czy sam Bruce mógł strzelać po otrzymaniu pierwszego postrzału. W ciele Bruce’a znaleziono trzy kule. Pierwsza pochodziła z broni należącej do policyjnego detektywa. Druga – z przeznaczeniem dla detektywa – została wystrzelona przez członka George Jackson Brigade ubezpieczającego napad. Śmiertelny strzał padł w trzeciej kolejności ze strony innego funkcjonariusza policji. Było to trafienie w pierś. Por. omówienie przebiegu procesu oraz wyników sekcji zwłok i ekspertyzy balistycznej (Burton-Rose, 2010b, ss. 171–173).



Druki ulotne sporządzane i rozprowadzane przez Michaela C. Steinlaufa w kolejne rocznice zastrzelenia Bruce'a Seidla. Na pierwszym wiersz Bruce'a, na drugim fragment piosenki zespołu Jefferson Airplane. *Yortzeit*, transkrypcja polska *yorcajt* – słowo jidysz oznaczające rocznicę śmierci (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

MCS: W tym momencie dostaję od mamy wiadomość o nagłej śmierci jej męża. Mój ojciec umarł w 1967 roku. Mama wyszła ponownie za mąż stosunkowo niedługo potem. Za Mietka Kwintnera. Mietek pochodził z Piotrkowa Trybunalskiego. Nie pamiętam już, czy przeżył w Polsce, czy w Związku Radzieckim. Znał biegle pięć języków, grał na skrzypcach, kochał książki. Był wdowcem. Nie miał dzieci. Mama jakoś nie umiała być sama. Ale to już nie było to. Parę razy coś mi w tym duchu nadmieniła mimochodem. Jej trzecie małżeństwo trwało może sześć lat. Mietek umarł zaraz na początku 1976 roku.

Jadę zatem na pogrzeb Mietka i żeby pobyc z mamą. Dzień po pogrzebie dostaję potwornych skurczów i bólów brzucha. Szpital na Brooklynie. Nie wiedzą, co mi jest. Trzy dni leżenia. W końcu ustalają, że to ślepa kiszka. Po trzech dniach mam operację. Po tygodniu wychodzę, a w międzyczasie jest telefon ze Seattle, że lepiej, żebym nie wracał. Bo początkowo policja nie wiedziała, kogo ujęła. Aż jeden z aresztowanych mówi: „Do you know who you have? We are the George Jackson Brigade!”. Kompletny kretyn. Wtedy ci wszyscy śledczy dostali obłędu. No więc zaczyna się prawdziwe śledztwo. Powstaje komisja śledcza: *grand jury*. Jeżeli z nimi nie współpracujesz, mają prawo postać cię do aresztu na czas trwania dochodzenia. A przecież nie będę sypać kolegów. Wyszedłem ze szpitala. Wydobrzałem. Powiedziałem mamie, o co chodzi i że muszę zniknąć na jakiś czas, na parę miesięcy może, bez podania adresu, że będę do niej dzwonił z budki telefonicznej. I rzeczywiście niedługo potem przyszli do niej dwaj panowie z Waszyngtonu.

EJ: FBI?

MCS: Nie, nie FBI. ATF. Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms. Tak to się nazywało. Przychodzą i pytają: „Czy widziała pani ostatnio syna?”. Na mamie to nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Ona przeżyła wojnę po aryjskiej stronie, więc mówi: „Syna? Jakiego syna? Gdzie? Skąd!”. Miała piorunujący refleks i umiała być twarda. A pod koniec życia była taka biedna. Upadła, uszkodziła łokieć, bardzo cierpiała. Nie mogła spać. To była neurologiczna sprawa. Miała dwie operacje, z których druga jeszcze pogorszyła sprawę. Potem zdecydowała się na wszczęcie stymulatora nerwu, co nic nie dało, choć zabieg przeprowadził wielki amerykański profesor w Bostonie. W końcu trafiła na miesiąc do *pain management clinic*, gdzie znowu próbowali wszystkiego. Tam też lekarz psychiatra zaproponował jej rozmowę o innych powodach jej cierpienia. I tu mama odmówiła. „Nie, dziękuję. W takim razie zostanę przy swoim bólu”. Nie wiem już, czy słyshałem to zdanie od niej, czy to było o kimś innym, ale mogła tak powiedzieć. Tak czy owak, odmówiła. Niecały rok później zmarła. Nie doczekała mojego ślubu w 1989 roku, nie doczekała wnuków. Moje studia judaistyczne przyjęła bez wielkiego entuzjazmu, ale jednak z ulgą. Pragnęła dla mnie stabilizacji: wykształcenia, pracy, rodziny. Cały czas bardzo martwiła się o mnie. Prawdziwa żydowska mama.

A przed wyjazdem ze Seattle przeżyłem coś straszego. Jestem w mieszkaniu Bruce’a, bo tam mieszkam. Dzwoni ojciec Bruce’a²⁰ i mówi: „Zamordowaliście mojego syna”. To było straszne. [Szeptem:] Straszne. [Długa cisza].

20 Fred Seidel.

EJ: Jaki był twój stosunek do przemocy? Twoje myślenie na ten temat ewoluowało?

MCS: Tak. Pamiętam dokładnie, kiedy zrozumiałem, że tak nie można, nie można pod żadnym pozorem. To było w latach siedemdziesiątych. Jeszcze powiem tylko, że ugrupowania stosujące przemoc były ze sobą solidarne, nawet jeśli nie było między nimi związków organizacyjnych. Ludzie z George Jackson Brigade manifestowali poparcie dla SLA, czyli Symbionese Liberation Army, w której była Patti Hearst. Patti Hearst pochodziła z tych Hearstów, czyli z rodziny kontrolującej znaczną część amerykańskiego rynku prasowego. Ludzie z SLA najpierw ją porwali, a potem ona przystąpiła do nich i wspólnie napadali na banki. W tym momencie zwróciłem się do SLA w „No Separate Peace” we wstępniaku, zapewniając ich, że w razie czego zawsze mają nas, więc mają się gdzie schronić. A oni byli wtedy w niewąskich tarapatkach, goniła ich policja, uciekali.

W latach siedemdziesiątych odwiedziłem ciocię i wujka w Paryżu. Ciocia zmarła niedawno, wyobraź sobie, mając sto dwa lata. Wtedy w Paryżu zamachy przeprowadzano w ten sposób, że wkładano niewielkie ładunki wybuchowe do kieszeni ubrań w tanich sklepach. Wymyślili to arabscy terroryści. Kupujący, przypadkowi ludzie z niższych klas, tracili ręce, którymi zarabiali na chleb w pocie czoła, bo wykonywali przecież najprostsze prace fizyczne. Naszą ambicją było sprząć władzę po pysku, ale ludziom krzywdy nie zrobić. Pomyślałem jednak, że samo sięgnięcie po przemoc tworzy jakiś rodzaj ciągłości, kontinuum. Stosowanie przemocy niekoniecznie poza tym ma związek z odwagą. I to był dla mnie koniec rozważania kwestii związanych z przemocą, raz na zawsze.

EJ: Istnieje taki list Jeffersona z 1787 roku z Paryża. Komentując projekt amerykańskiej konstytucji, Jefferson pisze, że konstytucja daje państwu nadmierną czy nieuzasadnioną władzę orzekania, że obywatele naruszają porządek. Wolności polityczne będą jego zdaniem zagrożone, jeżeli obywatele – płci męskiej oczywiście – nie zachowają ducha oporu i... dostępu do broni. Mówi o konieczności okresowego podlewania drzewa wolności krwią patriotów i tyranów. I niech Bóg strzeże Amerykę, jeżeli nie będzie ona stawać co jakiś czas w obliczu takiego właśnie, obywatelskiego buntu. Czy wtedy w Seattle i wcześniej na Columbi, gdy byliście lewicą lewicy, chodziło wam o zmianę w granicach zakreślonych konstytucją, czy o wywrócenie istniejącego porządku?

MCS: Żadnego patriotyzmu, żadnej konstytucji, zero Jeffersona. My byliśmy marksiści, internacjonalści. Chcieliśmy rewolucji i tylko rewolucji. Podobał nam się Mao. Fidel też nam się podobał. Miałem nawet jechać na Kubę w ramach czegoś w rodzaju międzynarodowych brygad pracy: Venceremos Brigade. Co roku jechała tam ekipa zapalonych lewicowców pracować na plantacjach trzciny cukrowej i budować domy. Sprawa George Jackson Brigade i śmierć Bruce’a pokrzyżowały moje plany. A odpowiadając na twoje pytanie: Jefferson, konstytucja to był dla nas liberalizm, a liberalizm uważaliśmy za odpowiednik zgnilizny. Że o patriotyzmie nie wspomnę. W naszym mniemaniu – zarówno w czasach SDS, jak i później – cała ta struktura służyła wyzyskiwaczom na całym świecie, toteż w całości należało ją zniszczyć. Miałem dwadzieścia trzy lata i byłem straszny. Dobrze, że nie zwyciężyliśmy. Zabiliby mnie albo robiłbym straszne rzeczy, zwalczając

kontrrewolucję, i też by mnie zabili w ramach któregoś etapu terroru rewolucyjnego. Świat wymagał zmiany – ba, nadal wymaga – ale nie takimi metodami.

EJ: Czy Zagłada była jakoś obecna w tle twojego zaangażowania?

MCS: Z jednej strony nie. Zwyczajnie uważałem, że niesprawiedliwość jest nie do przyjęcia. Z drugiej strony Zagłada była zawsze blisko. Niekoniecznie uświadomiona, ale stale obecna – w podtekście wszystkiego, co robiłem. Nie wypisałem sobie na sztandarze hasła „Never again”. W żaden sposób nie koncentrowałem się na tym, ale też – nie licząc ucieczki z domu – nie próbowałem od tego uciekać. To zresztą byłoby niewykonalne.

W Ameryce obowiązuje Statute of Limitations, nasze historie z lat siedemdziesiątych uległy właśnie przedawnieniu, więc mógłbym o nich długo opowiadać, ale dodam tylko jedną rzecz. W czasach, kiedy Bruce był jeszcze z nami, zanim przeszedł do zbrojnego podziemia, miałem psa, z którym chodziłem absolutnie wszędzie. Psu było na imię Sasza. To był wybitny pies. Idziemy raz z Saszą na uniwersytet. Sasza oczywiście bez smyczy. Zatrzymuje nas straż uniwersytecka. Kontrola dokumentów, dokąś dzwonią, dowiadują się, że akurat powinienem zeznawać w procesie budowlańców z grupy Tyree’ego Scotta. Aresztują mnie. Aresztują Saszę. Sasza trafił do przytułku dla zwierząt. Dowiedziawszy się o tym, Bruce na swoim motocyklu pokazał środkowy palec pierwszemu napotkanemu policjantowi i też został aresztowany – za obrazę funkcjonariusza na służbie. Nie chciał mnie zostawić samego, rozumiesz. Razem z nami aresztowana została dziewczyna z naszego ruchu o imieniu Pilar. Po czterech dniach odsiadki stanąłem przed sądem. Sędzią była kobieta. Koniecznie chciała mnie wypuścić. Jednak ledwie wszedłem na salę, oświadczyłem, że nie uznaję władzy tego sądu, bo stoi na straży niesprawiedliwości, więc odesłali mnie z powrotem do aresztu. Napisali o tym później w gazecie „Seattle Post-Intelligencer”. Sędzia była zdruzgotana, ale też uparta, więc dopięła swego i nazajutrz zostałem wypuszczony. Tak po prostu. A Bruce zrobił z tej okazji specjalne znaczki, takie do przypinania, z napisem: „Free Michael, free Pilar, hands off Sasha”, a po środku „Jobs for all”. To jest dla mnie najdroższa pamiątka.

Brighton Beach – lata pięćdziesiąte

EJ: Mając szesnaście lat, uciekłeś z Brighton Beach. Co to było Brighton Beach?

MCS: Teraz to miejsce jest zupełnie nie do poznania. Zaczęło się zmieniać w latach siedemdziesiątych. Wszystkie szylidy są po rosyjsku. Nazywają to małą Odessą.

EJ: A wtedy?

MCS: Napisy były w jidysz i po angielsku. Bo wtedy byli tam Żydzi z Polski. No i Żydzi miejscowi: starsi ludzie, których nie było stać na Florydę. Bo Brighton Beach jest nad Atlantykiem. Na samym południu Brooklynu. W zasięgu wzroku masz z jednej strony ocean, z drugiej metro, które w tym miejscu akurat biegnie nad ziemią. Słyszysz na przemian szum fal i ogłuszający łoskot całego tego żelastwa. No więc mieszkała tam

stara gwardia mówiąca w jidysz i napływowi, tak zwani *refugees*, czyli my. *Refugees*. Okropne. Miałem takiego kolegę, taki sam dom, takie samo wychowanie, tylko że jego rodzice żyli znacznie dłużej niż moi. I ten kolega, Mordechaj, opowiedział mi kiedyś, jak w pewnym momencie w latach dziewięćdziesiątych jego rodzice uświadomili sobie, że nie są *refugees*, lecz *survivors*. Wyobrażasz to sobie? Coś pięknego! *Survivors!* Ale moi rodzice tego momentu nie doczekali, niestety. Ojciec, mówiłem już, zmarł w 1967 roku. Mama w 1981.

EJ: Tam się wychowałeś?

MCS: Tak. Tam się wychowałem, czyli mam powiedzieć, co rodzice robili przed wojną i w czasie wojny?

EJ: No...

MCS: Nie byli to żadni socjaliści ani nic w tym stylu, tylko zwykła warszawska burżuazja. Dziadek ze strony mamy miał sklep galanteryjny na Nalewkach. Ojciec mój natomiast prowadził z bratem sklep z wagami i różnymi żelaznymi akcesoriami.

EJ: Tak zwany sklep żelazny.

MCS: *Ajzngeszef*. Przy placu Grzybowskiemu oczywiście, bo na Grzybowie było mnóstwo tych sklepów żelaznych i liczni chasydzy z Ger. Zwłaszcza jeden tam był taki bogacz żelazny, król żelaza. Nazywał się Izajasz Prywes. Rodzina ojca wywodziła się z *Gerer chasidim* – chasydów z Góry Kalwarii – którzy przyjechali do Warszawy w połowie XIX wieku za swoim cadykiem Alterem. Jeszcze brat ojca, trzy lata od niego starszy, chodził do jesziwy prowadzonej przez chasydów z Ger. Imiona dostał zresztą po cadyku: Arie Jehuda. I faktycznie tenże Arie, czyli Eryk, miał temperament *jesziwa bocher*, *yeshiva boy*. Natomiast ojciec buntował się, nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Środowiska religijnego całe życie unikał dostownie jak ognia.

Przypominam sobie, że był jeszcze trzeci brat: Szmuel Cwi po dziadku całej trójki, a więc pierworodny. Nic o nim nie wiem poza tym, że umarł w dzieciństwie na zapalenie wyrostka robaczkowego, czyli znowu ślepa kiszka. Dziadek Mojsze – Mojżesz, ojciec ojca – umarł w 1930 roku. Po nim właśnie mam imię. Ojciec miał na imię Władek, Władysław, po hebrajsku Zew, w jidysz Wolf. Dziadek Mojsze prawdopodobnie odziedziczył ten *ajzngeszef* po swoim ojcu Szmuelu Cwim, a niewykluczone, że Szmuel Cwi odziedziczył go po swoim ojcu Gerszonie Nossonie synu Kalonimosa. Wszyscy leżą na Okopowej, wyjąwszy Kalonimosa, czyli Kalmana, choć może jego nagrobek akurat ukradli albo stoi tam nadal, tylko jeszcze nieodkryty. Po śmierci ojca, czyli mojego dziadka Mojszego, Eryk i Władek przejęli rodzinny interes. Eryk siedział w sklepie. Władek załatwiał sprawy po całej Polsce. Typowe samozatrudnienie, typowy podział pracy.

EJ: Jak twój ojciec się określał politycznie?

MCS: Należał do związku młodzieży syjonistycznej Gordonia, ale mówił o tym z lekceważeniem i nie rozwijał wątku. Twierdził, że zapisał się do organizacji, bo były tam



Macewa prapradziadka Michaela C. Steinlaufa: Gerszona Nossona Sztajnlaufa zmarłego 25 stycznia 1881 roku, syna Kalonimosa – Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej w Warszawie, 31 lipca 2015 (fot. Elżbieta Janicka)

„Człowiek uczciwy [...].
Znajdował upodobanie w ciężkiej
pracy [...].
Synom wskazywał drogę prawości.
Przez całe życie postępował
wspaniałomyślnie i miłosiernie.
Gerszon Nosson [Natan]
syn pana Kalonimosa [Kalmana]
Sztajnlauf
zmarły 25 dnia miesiąca szwat
5641 roku.
Dusza Jego niechaj zostanie
związana w węzeł życia
wiecznego”

Zwieńczenie macewy Gerszona Nossona Sztajnlaufa: szafa z woluminami, czyli emblemat uczonego w Piśmie – Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej w Warszawie, 31 lipca 2015 (fot. Elżbieta Janicka)





Macewa pradziadka Michaela C. Steinlaufa:
Szmuela Cwiego Sztajnlaufa zmarłego
15 stycznia 1894 roku, syna Gerszona Nossona –
Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej
w Warszawie, 31 lipca 2015 (fot. Elżbieta Janicka)

„Miejsce pochówku:
Smutno nam z powodu śmierci naszego drogiego
ojca,
który w wieku 45 lat opuścił ten padół cierpienia
[hebr. *Emek haBacha*].
Spoczywający tu był człowiekiem prostolinijnym
i uczciwym.
Imię Jego, dzięki wielkim czynom, znane jest tu
i na tamym świecie,
gdzie wszystko zostanie Mu wynagrodzone.
Ciężka żałoba opadła rodzinę Sztajnlauf,
małżonkę Jego i synów, których pozostawił po
sobie.
Spoczywa tu błogostawionej pamięci Szmuel Cwi
syn pana Gerszona Nossona
Sztajnlauf
zmarły 8 dnia miesiąca szwat 5654 roku.
Dusza Jego niechaj zostanie związana w węzeł
życia wiecznego”



Macewa prababki Michaela C. Steinlaufa: Chai
Sary Sztajnlauf zmarłej 30 stycznia 1903 roku,
córki Icchaka – Cmentarz Żydowski przy ulicy
Okopowej w Warszawie, 18 stycznia 2016
(fot. Elżbieta Janicka)

„Miejsce pochówku i krzyku boleści:
Kobieta skromna i uczciwa.
Przez całe życie w uczynkach swych kierowała
się wiarą.
Synom wskazywała drogę prawości.
Postępowała zawsze wspianatomysłnie
i miłosiernie.
Kobieta bogobojna
Chaja Sara
córka pana Icchaka
żona pana Szmuela Cwiego
Sztajnlauf
zmarła 2 dnia miesiąca szwat 5663 roku.
Dusza Jej niechaj zostanie związana w węzeł
życia wiecznego”



Grób dziadka Michaela C. Steinlaufa: Mojszego Sztajnlaufa zmarłego 23 marca 1930 roku, syna Chai Sary i Szmuela Cwiego – Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej w Warszawie, 30 lipca 2015 (fot. Elżbieta Janicka)

„Tu spoczywa:
 Pochyleni w pokłonie stoją nad
 Twoim grobem synowie,
 a z oczu ich płyną łzy.
 Będą gorzko płakać, a z ich serc
 wydobędzie się westchnienie,
 albowiem zostałeś zabrany
 w kwiecie wieku.
 Byłeś poważanym i cenionym
 kupcem.
 Handel prowadziłeś sprawiedliwie
 i z uczciwością serca.
 Ścieżkami Pana podążałeś przez
 całe życie.
 Pozostawiłeś po sobie żonę
 i synów.
 Mojsze
 syn pana Szmuela Cwiego
 Sztajnlaufer
 zmarły w sobotę, 23 dnia miesiąca
 adar 5690 roku
 w wieku 57 lat.
 Dusza Jego niechaj zostanie
 związana w węzeł życia
 wiecznego”

Jak wyżej (rewers): „Tu spoczywa
 pan Mojsze, syn pana Szmuela
 Cwiego, Sztajnlaufer” – Cmentarz
 Żydowski przy ulicy Okopowej
 w Warszawie, 31 lipca 2015
 (fot. Elżbieta Janicka)





Macewa stryja Michaela C. Steinlaufa: Szmuela Cwiego Sztajnlaufa zmarłego 21 stycznia 1912 roku, pierwotnego syna Mojszego – Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej w Warszawie, 30 lipca 2015 (fot. Elżbieta Janicka)

„Tu spoczywa:
«Oto dlaczego płaczę,
oko me łzy wylewa»*
nad śmiercią mojego ukochanego chłopczyka
Szmuela Cwiego
syna pana Mojszego
Sztajnlaufa
zmarłego 2 dnia miesiąca szwat 5672 roku”

* *Lamentacje Jeremiasza* 1,16 (wg *Biblii Tysiąclecia* <http://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=694>)

Dwie ostatnie linie znajdują się pod mchem i warstwą liści. Być może nie jest to koniec napisu, jednakże głębiej nie można się dokopać bez użycia ostrych narzędzi.

ładne dziewczyny. Nigdy zresztą nie był w Izraelu, choć istnienie państwa żydowskiego doceniał bardzo.

EJ: Jakie miał wykształcenie?

MCS: Dyplomu uniwersyteckiego nie miał. Przypuszczam, że miał maturę. Mógł chodzić do żydowskiej szkoły polskojęzycznej.

EJ: Może do szkoły prowadzonej przez Hitachdut czy coś w tym stylu, myślałeś o tym?

MCS: I stąd przynależność do Gordonii? Niewykluczone. W naszej rodzinie mama była ta wykształcona, a ojca uważałem za prostaka, choć przecież świetnie znał nie tylko polski, ale też literaturę jidysz. Kiedyś ojciec nie wytrzymał i powiedział do mnie: „Ty *gojisz* kop – ty gojowski łbie – nigdy nie będziesz mieć pojęcia o Jicchoku Lejbuszu Percu”. Generalnie trzymałem zawsze z mamą, ale ten Perc utkwiał we mnie na zawsze, bo

później zacząłem czytać i badać jego twórczość, i zajmuję się nią po dziś dzień. Ojciec byłby dumny, że YIVO zaprosiło mnie w tym roku do wygłoszenia wykładu rocznicowego w stulecie śmierci Pereca²¹.

EJ: Czy twój ojciec założył przed wojną rodzinę?

MCS: Tak. W publikowanym po polsku „Głosie Gminy Żydowskiej”²² z 1939 roku znalazłem nawet zawiadomienie o ślubie Wolfa Sztajnlaufa z Rywką Rajbenbach²³. Drugie, większe, było chyba w „Naszym Przeglądzie”.

EJ: „Nasz Przegląd” nie zamieszczał tego typu informacji, ale nieoczekiwanie wstrząsającym zupełnie rodzajem kroniki towarzyskiej stała się rubryka *Dla uchodźców żydowskich*. Chodziło o zbórkę pieniędzy dla Zbąszynia²⁴. I tam trafiłam na zapis: „Zamiast kwiatów na ślub p. Reni Rajbenbach z p. Władysławem Sztajnlauferem Rózka i Lutek Goldmincowie”. Zamiast kwiatów i zamiast – czy może właśnie w ramach – błogostawieństwa na nową drogę życia. Zastanawiałam się, czy to nie twój tata. Ta informacja jest w numerze z 13 grudnia 1938 roku („Dla uchodźców żydowskich”, 1938, grudzień 13, s. 9)²⁵.

MCS: Nic więcej na ten temat nie wiem.

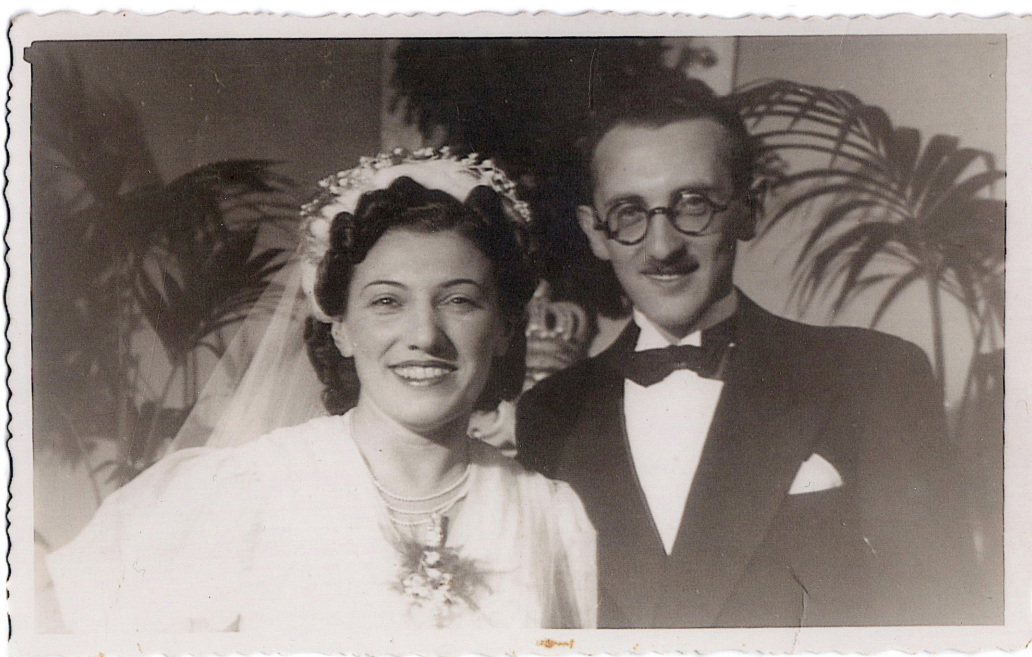
21 YIVO – angielska transkrypcja akronimu nazwy jidysz: Jidiszer Wissenszaftlecher Institut (transkrypcja polska: JIWO). Żydowski Instytut Naukowy założony w 1925 roku w Wilnie. W 1940 roku stery instytucji przejęła jej dotychczasowa filia amerykańska w Nowym Jorku. Po wojnie – oraz skomplikowanym, wieloetapowym i nadal niepełnym transferze wileńskich zbiorów archiwalnych za Ocean – filia nowojorska została uznana za nową centralę YIVO (por. Liptizin & Kuznitz, 2007, ss. 375–377).

22 „Dla niesprecyzowanego czytelnika od 1937 r. [w druku błędnie podany 1927 – E.J.] wydawany był warszawski «Głos Gminy Żydowskiej». Samo wydawanie sztandarowego pisma gminy religijnej w języku polskim powinno świadczyć o tym, że nawet wśród niezasymilowanych, związanych z religią żydowską i gminą żydowską osób spora część czytała jedynie w języku polskim. Jednak chyba nie jest to konstatacja do końca prawdziwa. Przede wszystkim same władze gminy, jak się wydaje, sprawniej posługiwały się językiem polskim niż żydowskim. Poza tym artykuł wstępny świadczył, że wydawanie pisma w języku polskim miało na celu przede wszystkim zainteresowanie niezbyt gorliwych członków gminy sprawami żydowskimi i religią żydowską. Pismo miało być informacyjne, stronić od polemik, publikować dane dotyczące życia żydowskiego i artykuły o dziejach żydowskiego narodu, kulturze, sztuce, etyce, życiu społecznym i gospodarczym. Przede wszystkim zaś pismo chciało «odzyskać młodzież» – pogłębić u niej wiarę ojców i silniej powiązać ją z dawnymi pokoleniami, oraz pozyskać dla idei odbudowy «Siedziby Narodowej w Palestynie» (choć nie deklarowało się otwarcie jako syjonistyczne). W pierwszym numerze znajduje się też zapewnienie, że pismo będzie wierne państwu polskiemu” (Landau-Czajka, 2015, s. 50). Pismo zawierało także materiały w jidysz. Jego tytuł w tym języku brzmiał „Di Kehite Sztyme”.

23 Wiadomość o ślubie Rywki Rajbenbach z Wolfem Sztajnlauferem widnieje w numerze „Głosu Gminy Żydowskiej” z lutego 1939 roku w spisie ślubów zawartych w Warszawie w grudniu 1938 roku (por. „Głos Gminy Żydowskiej” 1939, nr 2, s. 44).

24 Miejsce internowania około siedemnastu tysięcy polskich obywateli, Żydów, wydalonych z Trzeciej Rzeszy w ostatnich dniach października 1938 roku. Wydalenie polskich obywateli, Żydów, z Trzeciej Rzeszy (*Polenaktion*) było reakcją państwa hitlerowskiego na zmiany w ustawodawstwie Drugiej Rzeczypospolitej. Chodziło o ustawę pozwalającą na odebranie polskiego obywatelstwa oraz prawa wjazdu do Polski każdemu obywatelowi, który „a. działał za granicą na szkodę Państwa Polskiego, lub b. przebywając nieprzerwanie za granicą co najmniej przez pięć lat po powstaniu Państwa Polskiego, utracił łączność z państwowością polską, lub c. przebywając za granicą, nie powrócił do Polski w oznaczonym terminie na wezwanie urzędu zagranicznego Rzeczypospolitej Polskiej» [Ustawa z dnia 31 marca 1938 r. – O pozbawieniu obywatelstwa, Dz. U. Nr 22, poz. 191]. Utrata obywatelstwa rozciągała się na żony i dzieci w wieku do 18 lat. Istotnym punktem ustawy było także stwierdzenie, że «orzeczenie to nie wymaga uzasadnienia i jest natychmiast wykonalne» (Tomaszewski, 1998, s. 92). Jak wynikało z instrukcji konsularnej, celem ustawy było odcięcie drogi powrotu do Polski obywatelom polskim, Żydom, osiedlonym w Niemczech i Austrii (około siedemdziesiąt tysięcy osób). Przewidywano bowiem ich rychły napływ w rezultacie nasilających się hitlerowskich prześladowań. Gdy polskie placówki konsularne w Niemczech zarządziły wśród polskich obywateli kontrolę dokumentów, Trzecia Rzesza postanowiła działać metodą faktów dokonanych. 7 listopada 1938 roku pod wpływem wiadomości napływających ze Zbąszynia – gdzie sytuacja osiągała stan katastrofy humanitarnej – polski obywatel Herszel Grynszpan zastrzelił w Paryżu hitlerowskiego dyplomatę Ernsta vom Ratha. Wydarzenie to zostało potraktowane przez Trzecią Rzeszę jako uzasadnienie ogólnie zorganizowanej fali pogromów, która przeszła przez Niemcy w nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku (*Kristallnacht*).

25 Tydzień wcześniej w tej samej rubryce można było przeczytać: „Z okazji zaślubin p. Giny Mozelman z p. Władysławem Szlenglem zamiast kwiatów Władysławostwo Mozelman 5.-” („Dla uchodźców żydowskich”, 1938, grudzień 6, s. 5).



Ślub rabinacki pary zaanonsowanej w „Głosie Gminy Żydowskiej” jako Wolf Sztajnlaufer i Rywka Rajbenbach, w „Naszym Przeglądzie” natomiast jako Renia Rajbenbach i Władysław Sztajnlaufer. Pan młody posługiwał się także hebrajskim imieniem Zew, panna młoda imieniem łacińskim Regina. W tle korona, która albo wieńczy zwój Tory, albo jest ozdobą na parochecie (zastanie przed Aron haKodesz) – Warszawa, grudzień 1938 (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

EJ: A powiedz, co z mamą.

MCS: Mama była przed wojną młodą mężatką. Nie miała dzieci. Rodzinę jednak miała całkiem sporą: rodziców, brata i dwie siostry. Brat wyjechał przed wojną do Francji, a siostry z rodzinami zginęły w getcie, w Warszawie. Obie miały dzieci. Jedna większe, druga całkiem małe. Mąż tej pierwszej uciekł do Związku Radzieckiego w czasach, kiedy to jeszcze było możliwe i kiedy wszyscy myśleli, że kobietom i dzieciom nic nie grozi. Potem ona poszła z synem do Korczaka. To wszystko, co o nich wiem. Zginęli najprawdopodobniej razem z Korczakiem.

EJ: Czyli nie w getcie przypuszczalnie, tylko w Treblince?

MCS: Albo gdzieś po drodze. Latem 1942 roku. Tak można zakładać. O drugiej siostrze mamy – tej, która miała młodsze dziecko – wiem tyle, że z tym dzieckiem i mężem zginęła. I że wcześniej walczyli o życie. Przeżyli wielkie wysiedlenie²⁶ i budowali kryjówkę pod ziemią, bunkier. Wiadomo, że było to dobre schronienie. Byli zamożni. Stać ich było. Na pewno dotożyli wszelkich starań. Więc pewnie zginęli w powstaniu. Zastrzelili ich, zagazowali albo spalili. To musiał być kwiecień lub maj 1943. W Brighton Beach mówiło się o tych rodzinach tyle razy. Z imionami, wszystkimi szczegółami. Ale tak miałem tego dosyć, tak to puszczałem mimo uszu, że mało co zapamiętałem. Znajomi, którzy

²⁶ Wielkie wysiedlenie to tzw. wielka akcja likwidacyjna – w skrócie: Wielka Akcja – która trwała od 22 lipca do 21 września 1942 roku. W jej wyniku z getta warszawskiego wywieziono około trzysta tysięcy Żydów na natychmiastową śmierć w komorach gazowych niemieckiego nazistowskiego obozu zagłady w Treblince.

pochodzą z podobnych rodzin, mówią to samo. Choć słyszy się te szczegóły setki razy, nie sposób ich zapamiętać, nie wchodzi do głowy. Gdzieś powinienem mieć to wszystko zapisane.

Mama była najmłodsza z rodzeństwa. Wypieszczona, wychuchana. Oczko w głowie. Nawet Żydzi z Warszawy nie rozumieją, jak to możliwe, że wychowała się na Nalewkach, a nie znała słowa w jidysz. Ukończyła polskojęzyczną żydowską szkołę i poszła na Uniwersytet Warszawski, gdzie w 1933 roku uzyskała magisterium z historii. Mówiła wyłącznie po polsku, a jednocześnie w jej papierach uniwersyteckich zobaczyłem imię Dwojra, co nie jest świadectwem dążenia do asymilacji. Mama nazywała się wtedy Dwojra Wald. Dlatego na Okopowej trudno cokolwiek ustalić. Waldów było mnóstwo, w odróżnieniu od Sztajnlaufów. No i mama z tym dyplomem wyszła za mąż za Żyda szlachcica, który miał majątek we wsi Mniszew na Mazowszu, niedaleko Kozienic. Nazywał się Michał Kasman (por. „Michael Kasman”, b.d.).

EJ: Kolejny Michał w tej historii. Wiesz, że na okładce tomu zbiorowego *Polskie tematy i konteksty literatury żydowskiej*²⁷ zreprodukowano mapę okolic Warszawy, na której widać Mniszew? Dokładnie jest to *Mapa samochodowa stanu dróg w Polsce na rok 1939-1940*. W środku jest twój tekst o *Dybuku* An-skiego.

MCS: A wiesz, że nie zwróciłem uwagi? Wyobraź sobie natomiast, że ocalała fotografia, na której przed ekonomem i chyba Michałem Kasmanem klęczą chłopci. W czasie wojny mama mogła ją przechowywać zupełnie bezpiecznie, bo nikomu przez myśl nie przeszło, że ten feudalny pan to Żyd. Całe życie mówiła mi, że to jeden z jej znajomych. Dopiero niedługo przed śmiercią wyznała, że to pierwszy mąż. Ślub wzięli w 1937 roku.

EJ: Pierwszy mąż mamy był właścicielem, dzierżawcą czy zarządcą tego majątku?

MCS: Był właścicielem ziemskim i Żydem świeckim. Wojnę próbował przetrwać po aryjskiej stronie. Nie był przecież pozbawiony możliwości: pieniędzy, języka, znajomości polskiego otoczenia, które współtworzył w gruncie rzeczy. Z początku miał być nawet rozstrzelany na jakimś poligonie, ale Niemcy dali wiarę, że nie jest Żydem i wystali go na Pawiak. Siedział na tym Pawiaku, aż go jakoś wypuścili. W którymś momencie jednak rozpoznali go w pociągu jego chłopci. Rozpoznali i wydali. Zagazowali go w Sobiborze. Może dożył powstania, które żydowscy więźniowie zrobili tam w sierpniu 1944 roku?

EJ: W bazie danych Yad Vashem jest informacja, że był w getcie w Białymstoku i zginął w Treblince, choć Żydów z Białegostoku Niemcy potrafili wywieźć również do Auschwitz. Urodzony w Mniszewie. W 1898 roku. Jego śmierć zgłosiła siostra.

MCS: Nie upieram się. Mówię, co pamiętam. Na pewno mama wielokrotnie opowiadała o jego uwięzieniu na Pawiaku. Pojechałem kiedyś do tego Mniszewa. Takie górki piaszczyste. Podjeżdża do mnie na rowerze chłop, niemłody już, i pyta: „A pan co tutaj robi?”. Mówię mu, że chciałem tylko zobaczyć miejsce, gdzie stał dwór. Na co on opowiada, jak dostarczał

²⁷ Por. Prokop-Janiec & Tuszewicki 2014. Autorem projektu okładki jest Paweł Sepielak.



Michał Kasman (1898, Mniszew – 1942[?],
Treblinka[?]), pierwszy mąż Dwojry Wald
(© Copyright by Michael C. Steinlauf)

„do pałacu” jajka i masło jako chłopak. Pytam, gdzie ten pałac. „Panie – mówi – w czasie wojny w tym miejscu Ruskie z Niemcami walczyli na czołgi. Nic tam dzisiaj nie ma”.

EJ: Pierwszy Front Białoruski, przyczółek warecko-magnuszewski, bitwa pod Studziankami. Pamiętam jeszcze napis na Grobie Nieznanego Żołnierza, bo to był szlak bojowy Pierwszej Armii Wojska Polskiego²⁸.

MCS: W ruinach czworaków znalazłem niewielkie żelazne okucie, które wzięłem i mam w domu na pamiątkę. Jedyne, co zostało z tamtego życia.

EJ: A co się działo z mamą między ukończeniem studiów a zamążpójściem?

MCS: Uczyła historii w jakimś gimnazjum, prawdopodobnie w Warszawie. A może gdzieś w okolicach Mniszewa? Na pewno w prywatnym żydowskim, bo do polskiego by jej nie przyjęli. I na pewno polskojęzycznym, bo nie było innej możliwości. To była pewnie szkoła dla dzieci żydowskiej burżuazji, podobna do tej, do której sama chodziła. Żadnego jidysz, może trochę hebrajskiego. Język polski i kultura polska, choć mogli też uczyć się trochę o sprawach żydowskich – historii Żydów na przykład.

EJ: Chciałam zapytać...

MCS: Ojciec miał chłopczyka, który urodził się w 1940 roku i zginął w getcie. Dostał moje imię. Czy raczej ja dostałem imię po nim. Miał na imię Michał, czyli Mojsze.

²⁸ Napis „Studzianki – Warka 10 VIII – 12 IX 1944” został usunięty z Grobu Nieznanego Żołnierza po 1989 roku.

W sumie razem dostaliśmy imię po dziadku. Mam fotografię Michała z rodzicami. Z jego rodzicami. Ojciec nigdy nie mówił o swojej pierwszej rodzinie, choć w ogóle dużo i chętnie opowiadał. O wszystkim dowiedziałem się w latach siedemdziesiątych: pięć, sześć, może siedem lat po jego śmierci. Po ucieczce z Polski rodzice mieszkali u brata mamy, w Paryżu. W Paryżu się zresztą urodziłem. W latach siedemdziesiątych ciocia i wujek robili porządki w związku z przeprowadzką i przekazali mamie grubą kopertę, „co Władek zostawił”. Patrząc, a tam kenkarty mamy, ojca i mnóstwo dowodów na prawdziwość nieprawdopodobnych historii, które ojciec opowiadał. Ale pierwszej rodziny ojca ani śladu. Trochę czegoś dowiedziałem się od mamy, a później Myra, córka wuja Eryka i ciotki Heleny, dała mi fotografię ojca z pierwszą żoną i pierwszym Michałem, zrobioną w getcie. [Długa cisza]. W kopercie z Paryża znalazłem potwierdzenie opowieści ojca o złamaniu ręki, już po aryjskiej stronie. Ojciec jechał tramwajem. Niemcy zaczęli mu się przyglądać. Wyskakując w biegu, złamał sobie rękę. W tej kopercie znalazłem rachunek od lekarza za gips i opatrunek na nazwisko z kenkarty.

EJ: Wiesz, kiedy wyszedł z getta?

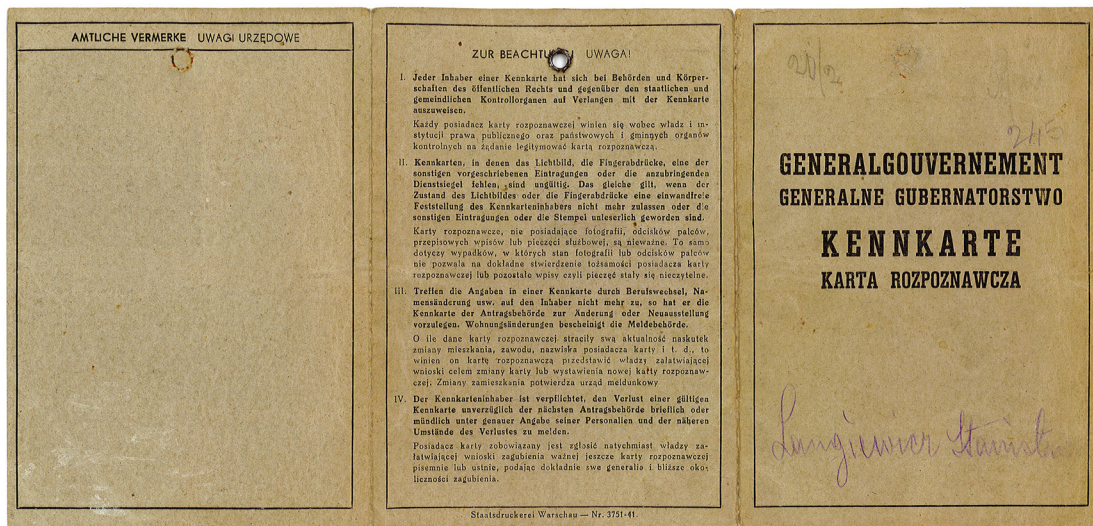
MCS: Wyobrażam sobie, że jakoś między wielkim wysiedleniem a powstaniem. Stosunki przed jego śmiercią mieliśmy takie, że nie sposób było rozmawiać, więc pamiętam tylko tyle, ile opowiedział sam z siebie. Poza tym umarł jeszcze jako *refugee*, więc nikt nie przeprowadził z nim systematycznego wywiadu. Systematyczne wywiady są, jak wiemy, dla *survivors*. Wiem, że wysiedlenie przeżył dzięki temu, że miał *szajn*²⁹ – przepustkę – i codziennie wychodził na *szwarc arbet* na placówkę. Dotrwał tak do samego końca września. Mówimy o 1942 roku. I potem wyszedł, ale nie wiem dokładnie kiedy: w październiku, listopadzie czy grudniu. Prawdopodobnie w styczniu, podczas akcji styczniowej i pierwszych walk ŻOB-u z Niemcami, nie było go w getcie. Dziecko już wtedy nie żyło. Reszta rodziny, wyjąwszy Eryka, też nie żyła.

EJ: Co się działo z mamą?

MCS: Kiedy jej męża zabrali na Pawiak, próbowała popełnić samobójstwo. Później w Ameryce w szpitalu jeden z lekarzy zapytał ją, widząc jej nadgarstki, czy próbowała kiedyś odebrać sobie życie. Powiedziała, że nie. Ale to nieprawda. Miała moment załamania, a przecież to, co się działo na początku wojny, było niczym w porównaniu z ciągiem dalszym. Mama zresztą mówiła, że przeżyła przez zupełny przypadek, że wcale nie była silniejsza niż inni. „Przeciwnie – mówiła – byłam słabsza”. Znajomy lekarz zabrał ją ze wsi do szpitala do Warszawy, dobry człowiek. Spędziła w tym szpitalu ładnych parę miesięcy jako chora, chyba na wątrobę. Do chorych przychodziły siostry zakonne, więc musiała nauczyć się modlić i spowiadać. Do końca życia, jak coś się działo, wydawała z siebie okrzyk „Jezus! Józef! Maria!”.

Ogólnie rzecz biorąc, miała pieniądze. Znalazła jakąś wdowę, która oferowała sprzedaż metryki zmarłej córki. Druga córka, czyli później niby siostra mamy, była prostytutką.

²⁹ Skrót jidysz od niemieckiego słowa *Passierschein*.

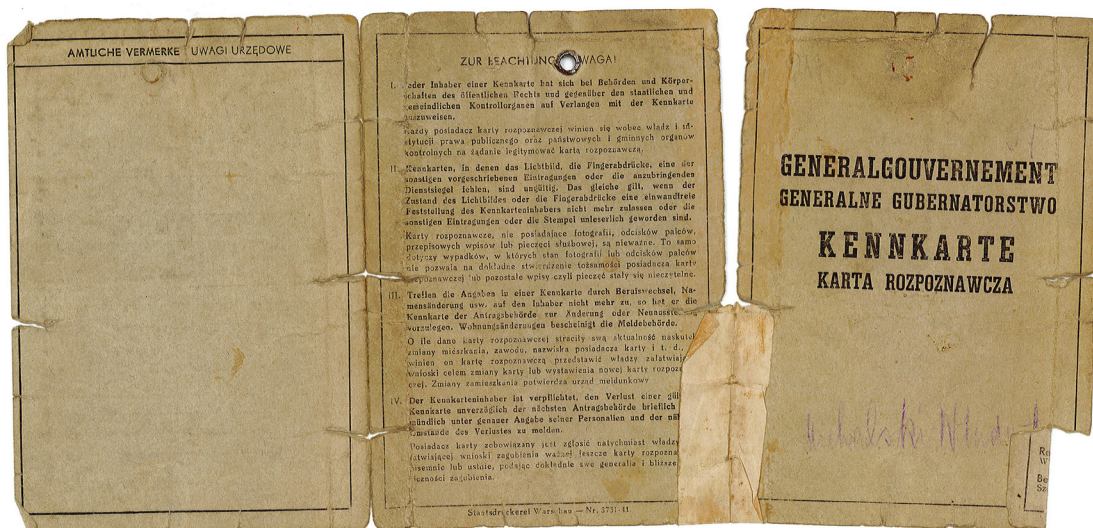


Kenkarta Dwojry Wald *recto/verso* (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

To nawet bezpieczniej. Najciemniej zawsze pod latarnią. Mama kupiła od nich tę metrykę i na jej podstawie wyrobiła sobie prawdziwe papiery. Kenkarta ojca w porównaniu to była amatorszczyzna, fuzerka widoczna gołym okiem.

Mama przez resztę okupacji tleniła włosy, wygląd miała niezły, polski doskonały, maniery inteligentkie. Przez jakiś czas pracowała jako służąca w inteligentkiej rodzinie, która pojęcia nie miała, że mama jest Żydówką. Było jej ciężko, bo musiała słuchać, co też ta inteligencja opowiada o Żydach. Gdy paliło się getto, wszyscy wyszli na dach, popatrzeć. Mama z nimi. Jeden mówi: „No, dzieci to mi jednak żal”. Na co drugi: „Uważaj, co mówisz, z tych dzieci byliby kiedyś dorośli Żydzi”. I tym podobne. Najczęściej jednak chyba powtarzała o tym dachu. Historię rodziców znam jedynie z takich właśnie urywków, we fragmentach, których nie umiałbym nawet uszeregować w kolejności.

Z opowieści ojca – prócz historii o złamanej ręce – zapamiętałem jeszcze jedną. O piecu. Też z aryjskiej strony. Chowali się gdzieś w piecu czy za piecem. W jakiejś wnęce



Kenakarta Wolfa Sztajnlaufa *recto/verso* (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

z wejściem przez piec? Pojęcia nie mam. Kilka osób. W pewnym momencie wkraczają Niemcy. Żydzi znikają w piecu. I, wyobraź sobie, jeden z tych Żydów zapalił w tym schowku papierosa. Nerwowy. Wyobrażam sobie, że pozostali musieli mu prędko tego papierosa zgasić. Niemcy niczego nie zauważyli.

EJ: I tak w kółko.

MCS: I tak w kółko. Oni to powtarzali w kółko. Bez przerwy. Jest cała literatura na temat milczenia ofiar Holokaustu po wojnie. Z niczym takim się nie zetknąłem. Na domiar wszystkiego mama zapraszała gości, dokładnie takich samych jak rodzice. Wszyscy przeżyli po aryjskiej stronie. Mówili nieskazitelną i kompletnie przestarzałą polszczyzną. Na przykład używali wyrażenia „nudna jak lukrecja”. Kiedy to powiedziałem w Polsce, popatrzyli na mnie, jakbym spadł z księżycy. Wracając do naszych gości: przychodzili, grali w karty, w takie stare polskie gry, w które już nikt nie gra, sześćdziesiąt sześć i inne. I cały czas opowiadali. Poza jednym, który siedział samotnie na tapczanie i przeważnie

zasypiał. To był Jasza. Mąż bliskiej znajomej mamy. Na przedramieniu miał wytatuowany numer i poza fizyczną obecnością nie uczestniczył w tych wizytach. Nic nie mówił, ale wszystko było dla wszystkich jasne. Dorośli mnie ostrzegali: „Jego o nic nie pytaj”. A sami, jeden przez drugiego, niez mordowanie opowiadali te swoje historie z aryjskiej strony. Oczywiście po polsku. Wszystko po polsku. Tu mi się spalił kontakt, tam spaliła mi się kryjówka, gdzie indziej mi się udało, ci mnie zadenuncjowali, tamtym uciekłem, zastrzelili raz tego, innym razem owego, celowali do mnie, ale nie trafili, gonili mnie, ale nie złapali, złapali mnie, to się wykupiłam. Aryjski, aryjska, aryjskie, bla, bla, bla... I o zamordowanych rodzinach. Jak kto zginął. I to jest moje dzieciństwo, moje życie w Brighton Beach. Tęskniłem do Ameryki. I w końcu uciekłem do Ameryki. Bo Brighton Beach to nie była Ameryka.

EJ: Wspomina o tym Paul Auster w swojej ostatniej książce, kiedy pisze o waszych włościach w latach sześćdziesiątych.

MCS: Jeszcze nie czytałem. Co on tam pisze?

EJ: Pisze tak: „Dojechaliśmy do domu S. (jego matki) w Brighton Beach, następnie poszliśmy drewnianą promenadą do Coney Island, mijając kilka dużych grup starych Żydów, stłoczonych w ciemności wokół śpiewaków ze «Starego Kraju». Z jakiegoś powodu ten spokojny widok kotuszających się starców, którzy mówili wyłącznie w jidysz i po polsku, nappełnił mnie niemałą rozpaczą, którą próbowałem zbyć śmiechem. Było to, jakby pograć się we śnie o własnej przeszłości, przeszłości, którą widziałoby się po raz pierwszy, a która dotąd była jedynie przeczuwana, tak jak dwudziestowieczni Amerykanie przeczuwają, czym była niegdysiejsza Granica. [...] Cały wieczór upłynął w ten sam sposób: chodziliśmy wśród trupów, rzeczy martwych, które znałem jedynie ze słyszenia i z którymi byłem skonfrontowany cieleśnie po raz pierwszy”³⁰.

MCS: No tak.

EJ: *Wesele w Brighton Beach* Emila Draitsera opisuje to od wewnątrz, nie nazywając (por. Draitser, 2008). Tyle że to już jest Brighton Beach Żydów rosyjskich. A jaki miałeś obraz aryjskiej strony, słuchając tych wszystkich opowieści?

MCS: Ani moi rodzice, ani ich goście, nikt z nich nie miał nic dobrego do powiedzenia o Polakach. Nikt. Nic. Zero. Że w najlepszym razie wszystko tylko za pieniądze, do ostatniego grosza. Że bezwzględni, bezlitośni. Że prędzej Niemiec się zmiłował. Że Polacy byli gorsi od Niemców. I tego już nie mogłem przyjąć do wiadomości, bo przecież Holokaust zrobili Niemcy, nie Polacy. Latami rozmyślałem na ten temat i doszedłem do wniosku, że co jak co, ale w tym miejscu starzy przesadzili.

EJ: Władysław Szlengel – przed śmiercią w bunkrze Jakuba Kaca przy Świętojeńskiej 36 – przewidział, że kiedyś sami Żydzi nie będą mogli uwierzyć, że Zagłada miała miejsce i wyglądała, jak wyglądała. W wierszu *Nowe święto* – a to nowe święto to coś

³⁰ Tłumaczenie fragmentu Elżbieta Janicka na podstawie wydania: Auster, 2014, s. 278. Tytuł oryginału: *Report from the Interior*.

w rodzaju dzisiejszego Jom haSzoa³¹ – napisał: „Starzy będą wieszować, / młodzi będą kpinkować, / że się dziadek rozpędził w ferworze, / «Niech, co chce, stary gada, / taka pewno przesada, / jak z tym przejściem Mojżesza przez morze...»” (Szlengel, 1977, s. 91).

MCS: Myślałem, że oni tak to widzą jakoś subiektywnie, a prawda obiektywna jest inna. Bo przecież ten lekarz jednak mamie pomógł wtedy na początku wojny. Nie mogła narzekać. Albo jej historia ze szmalcownikami. Idzie ulicą, doczepiają się do niej szmalcownicy, ona daje im jakąś biżuterię, coś, co miała na szyi, a oni mówią, że i tak ją zaprowadzą do Niemców. Ale nie. Puścili.

EJ: Dobrzy szmalcownicy.

MCS: Dobrzy szmalcownicy. Tak jest.

EJ: Etyczni.

MCS: Warto by badania przeprowadzić, jaki procent szmalcowników zabierał rzeczy i pieniądze, i prowadził do Niemców, a jaki tylko zabierał rzeczy i pieniądze.

EJ: Zwłaszcza, że na Żydów bez rzeczy i bez pieniędzy czekała z otwartymi ramionami Armia Zbawienia w postaci reszty społeczeństwa. Czyż nie pora zrehabilitować dobrych szmalcowników? Złych zresztą też. Bez złych nie byłoby dobrych.

MCS: To faktycznie bez sensu. Łatwo zapomnieć, że i mama, i tata pochodzili z zamożnych domów, mieli się czym wykupywać do samego końca, a do tego walczyli o życie kilka miesięcy krócej niż inni, bo dali nogę z okupowanej części Polski w lipcu 1944 roku, kiedy tylko Armia Czerwona przekroczyła linię Bugu. Do tego znowu były potrzebne niemałe pieniądze i to w twardej walucie.

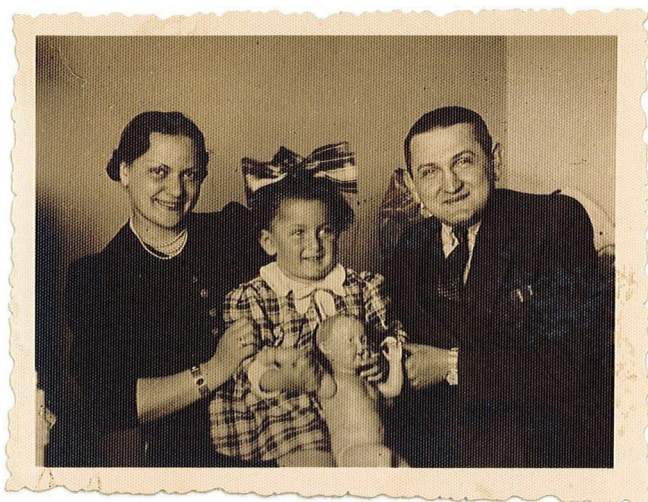
EJ: A co z rodziną ojca?

MCS: Ciotka Helena, żona Eryka, mojego stryja, brata ojca, jakimś cudem miała obywatelstwo amerykańskie, bo wcześniej była w Stanach Zjednoczonych w latach dwudziestych ze swoimi rodzicami. Jej matce nie podobało się w Ameryce, bo ona była wielka pani, a jej ojcu nie udało się założyć interesu, więc wrócili do Polski. W czasie wojny gdzieś pod Warszawą był obóz dla takich Amerykanów, więc ona wciągnęła do tego obozu męża i córkę, a później też swojego brata, który wcześniej lubił fraternizować się z Polakami przy pół litra. Myra, córka Heleny i Eryka, miała wtedy może pięć lat. Dzisiaj mieszka w Nowym Jorku. Bo w styczniu 1944 roku Niemcy załadowali tych ludzi na statek i wysłali całkiem naprawdę do Stanów Zjednoczonych, wymieniając ich na jeńców niemieckich. Historia tego obozu czeka na swojego monografa.

EJ: To nie miało nic wspólnego z Hotelem Polskim?

MCS: Z tego, co wiem, nie. To jest zupełnie nieznaną historią. Tak więc brat ojca z rodziną ocalał. Zginęła natomiast siostra z mężem i dwojgiem dzieci. Zginęła matka, bo

³¹ Jom haSzoa (właśc. Jom haZikaron laSzoa we laGewura) – Dzień Pamięci Zagłady i Aktów Odwagi. Na mocy uchwały Knesetu z 1951 roku święto obchodzone jest 27 dnia miesiąca nisan.



Helena (Chaja Bracha *de domo* Wilner) i Eryk (Arie Jehuda Lejb) Sztajnlaufowie z córką Myrą – według Myry Steinlauf-Fischer lata czterdzieste XX wieku w okupowanej Polsce (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

ojciec nie żył od 1930 roku. Nie wiem, kiedy i jak zginęli, ale prawdopodobnie zostali wywiezieni do Treblinki w czasie wielkiego wysiedlenia.

EJ: Gdzie i jak poznali się twoi rodzice?

MCS: W Lublinie. Ojciec przedostał się do Lublina, gdy tylko weszła tam Armia Czerwona. Czyli – powtórzę – ojciec walczył o życie kilka miesięcy krócej niż inni. Podobnie mama, która też od razu kierowała się na Lublin. To ich uratowało, choć – jak wiadomo – niebezpieczeństwa nie skończyły się wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej. Nie skończyły się nawet wraz z wojną, ale to już było inne życie mimo wszystko. W sierpniu w Lublinie zebrała się pierwsza grupa około trzystu ocalałych Żydów, by wybrać swoich przedstawicieli. Ojciec został ich sekretarzem. Pełnił tę funkcję od sierpnia do października. Zachowały się protokoły zebrań pisane jego ręką. Jest na ten temat praca magisterska studenta profesor Moniki Adamczyk-Garbowskiej³².

EJ: To było w ramach Centralnego Komitetu Żydów Polskich?

MCS: Nie, to było wcześniej. To był pierwszy załączek CKŻP.

EJ: A jaki jest rodzinny mit założycielski?

MCS: Rodzinny mit założycielski jest taki, że mama przyszła w sprawie zakwaterowania do żydowskiego komitetu, gdzie tymi sprawami zajmował się ojciec. Dostała od ojca skierowanie pod jakiś adres, ale okazało się, że wskazany budynek nie istnieje. Wróciła z reklamacją i tym razem ojciec już jej nie wypuścił. Tak zaczyna się moja historia. Ojciec miał dobre stosunki z prezydentem Lublina i ten mu powiedział, jak jest: „Jesteś Żydem, jesteś w żydowskiej organizacji, prędzej czy później dostaniesz kulę w łeb”.

EJ: Oboje rodzice musieli chyba być w Lublinie, gdy zastrzelono Leona Felhendlera – jednego z nielicznych ocalałych z Sobiboru. Nawiasem mówiąc, w sublokatorskim

³² Por. Kopcowski, 1998 – maszynopis w zbiorach autora. Promotorem pracy był Zygmunt Mańkowski.

pokoju w kamienicy przy rynku należącej przed wojną do Arnsztajnow³³. To tam mieszkała Franciszka Arnsztajnowa, poetka, sublokatorka kultury polskiej. Nawet na tle powszechnej po wojnie przemocy wymierzonej w Żydów zabójstwo Felhendlera, który współdowodził powstaniem w Sobiborze, musiało robić wrażenie.

MCS: O Felhendlerze nie wiedziałem. W każdym razie rodzice nie czekali już na pogrom kielecki i po paru miesiącach pobytu w Lublinie wyjechali z Polski. Bez papierów. Z samymi pieniędzmi. W końcu – przez Węgry między innymi – dotarli do obozu Santa Maria di Leuca („Santa Maria di Leuca”, b.d.) we Włoszech, co odkryłem ostatnio w Internecie na stronie waszyngtońskiego Muzeum Holokaustu. Byli tam dobrych parę miesięcy. Ślub wzięli w Neapolu. Mam ich oryginalne papiery ślubne. Mam też relację ojca o getcie. Piętnaście stron rękopisu po polsku.

EJ: Co się dalej działo z rodzicami?

MCS: W Maria di Leuca odkryli, że brat mamy z żoną żyje i nadal mieszka w Paryżu. Majer Wald i Regina z domu Zak, bardzo fajna ciocia, prawdziwa litwaczka z zamożnej rodziny z samej Moskwy. Nie poszli na Vel d’Hiv³⁴, a potem ukrywali się na fałszywych papierach. Ciocia mi później opowiadała o różnych ich przygodach, dodając, że to wszystko i tak nic w porównaniu z tym, przez co przeszli moi rodzice. Rodzice postanowili się do nich przedostać. Nielegalnie oczywiście. Wyspecjalizowana przewodniczka z UNRRA – United Nations Relief and Rehabilitation Administration – przeprowadziła ich wiosną przez Alpy. Chodziło o to, żeby nie dać się złapać na nielegalnym przekraczaniu granicy, bo wtedy zawracali. W drodze mama spojrzała w jakąś przepaść, wpadła w histerię, a wtedy ojciec dał jej w twarz i natychmiast się uspokoiła. To też jest element mitu założycielskiego. Chyba prawdziwy.

Rodzice odnajdują w Paryżu wujka i ciocię. Ojciec nie chce mieć dłużej nic wspólnego z Europą i wolałby być bliżej brata w Nowym Jorku. Mama wolałaby pozostać w Paryżu. Ostatecznie składają podanie o wizę amerykańską. Na jej przyznanie czekają cztery lata. Po roku przychodzę na świat³⁵. Do Ameryki wyjeżdżamy, gdy mam trzy lata. W 1950 roku.

EJ: Mówisz po francusku i jesteś Francuzem.

³³ Fragment świadectwa powojennej żony Felhendlera: „Drugiego kwietnia przed siódmą wieczór siedzieliśmy w naszym pokoju. Był to ostatni pokój, mieszkaliśmy w sublokatorstwie. Usłyszałam ruch w pokoju gospodarzy. Leżałam na tapczanie, czytając książkę. On coś pisał. Coś mnie tknęło. Powiedziałam tylko «Leon, to oni». Doszedł do drzwi. Ujął za klamkę. Padł strzał. Jeden strzał przez drzwi” (cyt. za: Krall, 2010, s. 87). Dla wczucia się w klimat miejsca i czasu znaczenie ma również przypis do głównego tekstu: „W księdze szpitala im. Wincentego à Paulo pod datą 3 kwietnia 1945, pod numerem 427, zapisano: Leon Felhendler, rozpoznanie – przestrzał przez dolną część klatki piersiowej, jelita, żołądek, dni – cztery (zmarł 6 kwietnia), koszt leczenia – 3.120 zł, uregulowano. Adam Kopciowski, historyk, który wie najwięcej o Leonie Felhendlerze, znalazł w księdze szpitalnej paru innych pacjentów – Żydów. Jednemu z mężczyzn w rubryce «skąd przybył» wpisano: Treblinka. Jednej z kobiet, w tej samej rubryce – Sobibór. Oboje przyjęto przed Felhendlerem. Po jego śmierci żaden Żyd do szpitala się nie zgłosił, w każdym razie żadnego nie wpisano do księgi. Bardzo możliwe, że jest to przypadek” (Krall, 2010, ss. 97–98).

³⁴ Obława Vel d’Hiv – największe masowe aresztowania Żydów w okupowanej Francji 16 i 17 lipca 1942 roku. Ponad trzysta tysięcy schwytych przez policję francuską – w tym cztery tysiące dzieci – przetrzymywano na krytym torze kolarskim *Vélodrome d’Hiver* w Paryżu, nieopodal wieży Eiffla. Po pięciu dniach zostali umieszczeni w obozach przejściowych, skąd wywieziono ich do niemieckiego hitlerowskiego obozu natychmiastowej zagłady Auschwitz II Birkenau.

³⁵ Michael C. Steinlauf urodził się 19 lutego 1947 roku.

1032



Mod. 4 C

COMUNE DI NAPOLI

UFFICIO DI STATO CIVILE

Estratto per riassunto dal registro degli atti di matrimonio

dell'anno 1946 Quartiere D

Atto di matrimonio di *Stayulouf-Wolf*

Num. d'ordine *2*

L'anno mille *quarantasei* addì *cinque*
del mese di *gennaio* in Napoli, contrassero matrimonio:

1.° *Stayulouf Wolf*
di anni *trentasette* figlio di *Moses*

e di *Somes Neehumar*

2.° *Wald Borota*
di anni *trentadue* figlia di *Szaya*

e di *Liska Weichenberg*

Napoli, li *2.1* 1946

IL TRASCRIPTORE

L' UFFICIALE DELLO STATO CIVILE

[Signature]

[Signature]



Stab. F. Rimondi - 1786

Wyciąg z aktu ślubu rodziców Michaela C. Steinlaufa (© Copyright by Michael C. Steinlauf)



Trzymiesięczny Michael C. Steinlauf z mamą – Brunoy (Francja), 30 maja 1947 (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

MCS: Do dziś mówię po francusku bez akcentu, choć generalnie francuski zamieniłem przecież na angielski.

EJ: Trafiliście do Brighton Beach.

MCS: Nie od razu. Mniej więcej po roku.

EJ: I tam zapoznałeś się z problematyką Zagłady, ze szczególnym uwzględnieniem getta warszawskiego i strony aryjskiej.

MCS: W tym się wychowałem. O ile jednak od kołyski słyszałem o aryjskiej stronie, o tyle nie było wówczas czegoś takiego, jak Holokaust. Była wojna. Jedno polskie słowo: wojna. To wojna była przedmiotem opowieści, których wystuchiwałem w nieskończoność. Pierwszy raz w życiu o Holokauście usłyszałem, mając osiemnaście lat, na Columbii. I jakby piorun we mnie strzelił, bo uświadomiłem sobie, że Holokaust to przecież to, co w domu mama i tata nazywali wojną. I tak obiema nogami wkroczyłem do wielkiej historii, której nigdy oczywiście nie opuściłem, bo to była moja historia od zawsze, nawet aż za bardzo. Poczuję się znajomo i swojsko, a jednocześnie niesamowicie.

EJ: To znaczy?

MCS: Coś tak bardzo intymnego, tak bardzo prywatnego, jak nasza wojna, stało się nagle powszechnie dostępne, publiczne. Przedtem naprawdę myślałem, że to jest tylko nasza sprawa. Sprawa naszej rodziny, sąsiadów, znajomych. Jakieś nasze dziwactwo, bo widziałem, że poza Brighton Beach i w ogóle w Ameryce ludzie tak nie żyją. Widziałem na przykład, że mają rodziny. W Brighton Beach ludzie nie mieli krewnych, funkcjonowali samotnie albo w parach. Pary były albo bezdzietne, albo miały jedno dziecko urodzone zazwyczaj po wojnie. Częstym widokiem byli niemłodzi rodzice z maleńkim dzieckiem. Wśród tych jedynaczek i jedynaków byłem kompletnym rarogiem, bo jako jedyny mówiłem po polsku. Rodzice twierdzili, że pozwalają mi na to, żebym mógł się porozumieć z cicią i wujkiem z Paryża.

Kiedyś na Manhattanie przeżyliśmy chwilę grozy. 34 ulica. Wychodzimy z rodzicami ze sklepu, o czymś rozmawiamy, gdy nagle woła za nami po polsku jakiś facet: „Rodacy!”. Mama zamarta. A ojciec: „Ja mu dam «Rodacy!»”. Czym prędzej uciekli od tego „rodaka”. Długo potem nie mogli się uspokoić. Ojciec powtarzał, roztrzęsiony: „Ja mu dam «Rodacy!»”.

Dlatego, kiedy dostałem tego Fulbrighta na wyjazd do Polski, nie wiedziałem, jak powiedzieć o tym mamie. Bałem się. Ojciec już nie żył. Nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę, a poza tym mama chorowała, nie chciałem jej opuszczać. I ostatecznie nigdy jej o tym nie powiedziałem, bo wyobraź sobie, mama umarła. Dobra Żydówka. Dobra żydowska matka. Umarła, żeby dziecku nie robić sobą kłopotu. To był szok. W grudniu 1981 roku wprowadzono w Polsce stan wojenny, a zaraz potem dostaję telefon z Florydy, bo mama była na Florydzie. Dzwoni policja, żeby powiedzieć, że mama nie żyje. Coś potwornego. Pojechałem na Florydę, przywiozłem mamę, pogrzeb odbył się w Nowym Jorku. [Cisza]. I już mogłem jechać do Polski, choć trzeba było odczekać, aż sytuacja polityczna się wyjaśni. Przyjechałem w marcu 1983, parę miesięcy przed zawieszeniem stanu wojennego, co nastąpiło 22 lipca tamtego roku. Później, w latach dziewięćdziesiątych, niektóre osoby z kręgu rodziców decydowały się na podróż do Polski. Rodzice jednakże – znając ich – prawdopodobnie by się na to nie zdecydowali. Chociaż kto wie...

A wracając do początku, uciekłem z Brighton Beach, mając szesnaście lat, gdy dostałem pełne, czteroletnie stypendium na studia na Columbii. Rodzice oczywiście zostali, gdzie mieszkali, i przez pierwszy rok wracałem do nich co tydzień na weekend. Potem to się zmieniło. Oddaliłem się. I wydawało mi się, że mam to wszystko z głowy.

Brandeis – druga połowa lat siedemdziesiątych

EJ: Kiedy zainteresowałeś się tym, co nazywasz żydowskimi sprawami?

MCS: Dopiero po Seattle.

EJ: Jak i dlaczego?

MCS: Po śmierci Bruce’a, pogrzebie męża mamy, operacji i tak dalej ukrywałem się przez pół roku. W końcu coś trzeba było zacząć robić, a miałem akurat kolegów pod Bostonem. Pod Bostonem są te wszystkie uniwersytety: Harvard, Brandeis itp. Rozmyślając o latach spędzonych w Seattle, dochodziłem stopniowo do wniosku, że najistotniejsza dla mnie jest nie lewicowa polityka, lecz tożsamość narodowa. W „No Separate Peace” każda grupa miała swoją kulturę: czarną kulturę, chińską kulturę, kulturę Chicano. Mieli swoje kody, w ich obrębie się porozumiewali, śmiali się z tych samych dowcipów. Na przykład ci, którzy identyfikowali się jako Chicanos, ironizowali na temat mitu, w myśl którego wywodzą się z legendarnej krainy Aztlán. Dzisiaj to jest północny Meksyk oraz stany USA: Nowy Meksyk i Arizona. Słyszałem, jak jeden mówi do drugiego: „I come from Aztlán, man”. Na co tamten mu odpowiada: „I come from a slum too”. Ironia jak z Szolema Alejchema, u którego z jednej strony masz odniesienie do potęgi i chwały

z okresu Salomona i Świątyni, a z drugiej – realia biednego, błotnistej miasteczka w Europie Wschodniej. Ja niby nie miałem swojej krainy Aztlán. Pomyślałem jednak, że może mógłby nią być świat rodziców – ten, który się skończył bezpowrotnie.

Zapisałem się na wieczorowy kurs jidysz w Bostonie, a później złożyłem papiery do Brandeis. Tam trafiłem na Joshuę Rothenberga, Żyda z Radomia, który ocalał w Związku Radzieckim, a potem został bibliotekarzem w Brandeis na judaistyce. Bibliotekarzem był formalnie, bo do tego miał uprawnienia, ale *de facto* uczył jidysz i historii Żydów wschodnioeuropejskich, na co nie posiadał papierów. Wiedzę miał kolosalną. Wszystko z gimnazjum żydowskiego w przedwojennym Radomiu. Pod jego kierunkiem studiowałem, pod jego kierunkiem pisałem doktorat, choć oficjalnie moim promotorem był kto inny. Miałem trzydzieści jeden lat i w odróżnieniu od większości kolegów dokładnie wiedziałem, czego szukam. Chciałem się uczyć o świecie rodziców.

EJ: Choć jidysz i *sztetl* to nie był świat twoich rodziców.

MCS: Moim *mameloszn*³⁶ jest polski. Zatem nie był to język moich rodziców, zgoda. Ale to był pierwotny język Żydów wschodnioeuropejskich. Konkretnie interesował mnie świat Żydów polskich w okresie międzywojennym.

EJ: Który był ogromnie zróżnicowany...

MCS: Tak czy owak, musiałem nauczyć się jidysz. Jak już się jest na studiach, studiuje się wszystko. Rothenberg dawał mi co tydzień powieść w jidysz i te powieści analizowaliśmy następnie pod kątem języka, wierzeń i zwyczajów, czyli z etnograficznego punktu widzenia. Rothenberga nie interesowały teorie, on był od konkretów. Niestęchanie dużo się od niego nauczyłem.

EJ: O czym pisałeś doktorat?

MCS: Szukałem postaci, która byłaby związana jednocześnie z kulturą żydowską i polską. Było to trudne, bo w okresie międzywojennym takich ludzi było bardzo mało. Padło na Marka Arnsztejna, który po polsku kazał się nazywać Andrzej Marek (por. Steinlauf, b.d.; także: Steinlauf, 1989). Arnsztein zasugerował mi wielki izraelski znawca polskiej kultury żydowskiej Chone Szmeruk, który akurat wtedy przebywał parę miesięcy w Brandeis. Potem jeszcze odwiedziłem Szmeruka w Izraelu i tam ostatecznie doszliśmy do wniosku, że na tle ogromu materiałów dotyczących innych postaci Arnsztein jest możliwy do ogarnięcia.

EJ: Czy on miał coś wspólnego z lekarzami Arnsztajnami i Franciszką Arnsztajnową z Lublina?

MCS: To jest ta rodzina, byli z Franciszką spowinowaceni. Urodził się pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku. Pierwsza jego sztuka – czy jedna z pierwszych – nosiła tytuł *Der wilner balabesl* i była poświęcona legendarnemu kantorowi z Wilna.

³⁶ *Mameloszn* – dosłownie: język macierzysty. Słowo powstało w wyniku połączenia słowa jidysz *mame* (mama) i hebrajskiego słowa *laszon* (język). Zwyczajowo *mameloszn* oznacza jidysz.

EJ: To ten, co się zadał z Moniuszką?

MCS: Tak, to ten.

EJ: Joel-Dawid Lewensztajn, a w sztuce Marka: Straszuński. Zaczął robić karierę w operze i nie skończył dobrze. Figura majufesowego śpiewaka, symbol żydowskich umizgów do chrześcijańskiej większości w sytuacji braku elementarnego szacunku do Żydów z jej strony³⁷. Oglądałam o nim film muzyczny, fabularny³⁸. Odlotowy. Moniuszko jest tam wielkim polskim panem, wszechmogącym dyktatorem sztuki i mody, w futrze do kostek, w cylindrze, z wąsami. Kompletne zaprzeczenie Moniuszki.

MCS: Mówimy o przedwojennym filmie?

EJ: Nie wiem, czy nie wojennym, ale tak. Amerykańskim, w jidysz, z angielskimi napisami. Zaczyna się w Rosz haSzana, kończy w Erew Jom Kipur, wieczór Dnia Pojednania. Ścieżka dźwiękowa w wykonaniu chórów synagogałnych. Straszuński bez zarostu, w stroju góralskim, kłania się chrześcijańskiej publiczności w polskim salonie. „Całuję rączki i padam do nóg”. Kapelusik z piórkiem. *Hardcore*.

MCS: To miała być chyba aria Jontka z *Halki*. Straszuński, wpatrzony w Moniuszkę, rzuca wielką synagogę w Wilnie dla opery i kończy przeraźliwie. To był jeden z ostatnich filmów w jidysz w ogóle. W wersji amerykańskiej zrobiono z tego historię ze szczęśliwym zakończeniem zatytułowaną *The Jazz Singer*. Mnóstwo było tych adaptacji.

EJ: No to nie wiem. Chociaż może to miał być *happy ending*, co ja widziałam. Bohater po wszystkich perypetiach odzyskuje głos i śpiewa na powrót w synagodze. *Kol Nidrej* oczywiście³⁹. Śpiewa tak pięknie, że wspólnota mu wybaczła. Z wysokości babinca wybaczła mu nawet porzucona żona. I wśród tego powszechnego wybaczenia, skruszony, umiera.

MCS: Co w standardzie amerykańskiego szczęśliwego zakończenia być nie może. *The Jazz Singer* – pierwszy film dźwiękowy – jest w pełni optymistyczny. To wersja naprawdę amerykańska, bez jidysz, bez porzucenia żony, bez kary boskiej. Bez tragedii. Inaczej niż u Arnsztejna. Arnsztejn napisał tę sztukę najpierw po polsku, a dopiero później przełożył ją na jidysz i wtedy *Der wilner balabesl* zrobił zawrotną karierę, stając się szlagierem po obu stronach Atlantyku. Polski oryginał z początku wieku nosił tytuł *Pieśniarze*. Na fali sukcesu Arnsztejn wyjechał do Ameryki. Lata całe spędził na wschodnim i zachodnim wybrzeżu, jak również w Ameryce Południowej. W 1924 roku wrócił do Polski i zajął się tłumaczeniem na polski klasyków teatru jidysz. Przełożył na przykład

37 Śpiewak majufesowy z czasem zaczął funkcjonować jako figura przystowiowa. W przedwojennej żydowskiej prasie polskojęzycznej można natrafić na wtrącenie „przy całym braku szacunku, okazywanym majufesowym śpiewakom” (*Melodie murzyńskie*, „Oko w oko”, lipiec 1936, nr 1, s. 11 – cyt. za: Landau-Czajka, 2015, s. 105).

38 Chodzi o film: Max Nosseck, *Overture to Glory / Der Wilner Balabesl* (1940).

39 *Kol Nidrej* (Wszystkie ślubowania) – formuła prawna w języku aramejskim wypowiedziana trzykrotnie przed wieczornym nabożeństwem w święto Jom Kipur. Jej treścią jest unieważnienie przysięg religijnych złożonych pochopnie, pod przymusem lub nieświadomie. Tekst wywodzi się z drugiej połowy pierwszego tysiąclecia i związany jest z prześladowaniami wyznawców judaizmu przez wyznawców chrześcijaństwa oraz islamu. Źródłowo odnosi się do problemu przymusowych konwersji.

Dybuka, który dzisiaj w Polsce jest znany w tłumaczeniu Michała Friedmana. Przełożył także *Golema* Halperna Lejwika i inny szlagier: *Mirele Efros* Jakuba Gordina. Strukturalnie to jest podobne do *Króla Leara*, tyle że bez tragedii. Mirele Efros ma trzech synów. Stąpa twardo po ziemi. Jest wdową, która handluje i trzęsie biznesem, taką żydowską królową. Intryga jest burzliwa, ale ostatecznie wszyscy się przepraszają ze wszystkimi przy okazji bar micwy wnuczka tytułowej bohaterki.

EJ: Czekaj, przecież on to nakręcił w Polsce w 1912 roku! „Historia dumnej i szacownej wdowy, która poświęca wszystko w imię miłości dzieci, a te jej nie najlepiej odpłacają. W roli głównej wybitna artystka teatru – Ester Rachel Kamińska. Wraz z rodziną. Reżyseruje Andrzej Marek” („Mirele Efros”, b.d.). Debiut ekranowy Idy Kamińskiej. Hit kina jidyszowego.

MCS: Ale to było przed pierwszą wojną światową. Dla jidysz złote czasy. W Drugiej Rzeczypospolitej w którymś momencie rzucili się na Arnsztejna jidyszyści z oskarżeniem, że przez niego jeszcze więcej Żydów będzie porzucać jidysz⁴⁰. Bo te żydowskie sztuki w jego tłumaczeniu na polski były wśród Żydów nieprawdopodobnie popularne. W polskim świecie jego misja chybiła kompletnie. Żydowskie sztuki nie obchodziły Polaków ani trochę, choć on je przekładał na polski z myślą o Polakach. Owszem, kibicował mu Boy-Żeleński. Pisał recenzje z jego przedstawień klasyki jidysz po polsku. To właśnie Boy określił *Mirele Efros* mianem żydowskiego *Króla Leara*, zachwycając się inscenizacją zrobioną przez Arnsztejna z Wandą Siemaszkową w roli głównej. Chwalił też jego samego: „Sztuki sam przekłada, uzupełnia, inscenizuje. [...] Pragnie on stworzyć teatr «na pograniczu» niejako; ściągnąć masy żydowskie do teatru polskiego, nas zaś zainteresować teatrem żydowskim, z obopólnym pożytkiem” (Żeleński (Boy), 1964a, s. 485).

EJ: To ja wyjeżdżam ze Szmerukiem – na tym wszak polega moja rola w naszym przedstawieniu: „Wraz z fascynacją nieznanym to «egzotyczne» zainteresowanie stało się typową reakcją wśród polskich krytyków literatury jidysz. Nie musimy bliżej analizować polskich prac krytycznych [...], aby ustalić ich cechy charakterystyczne. Widać je dobrze w recenzjach Tadeusza Boya-Żeleńskiego, życzliwego i otwartego miłośnika teatru żydowskiego. [...] Żeleński, zwróciwszy uwagę na punkty styeczne z literaturą polską, zamyka swoje uwagi powtórzeniem, acz w nowy sposób, tychże samych oderwanych impresji na temat literatury jidysz, jakie krytycy polscy powtarzali do znudzenia od

40 Proces ten odnotowywali nie tylko jidyszyści. Z początku lat trzydziestych XX wieku pochodzi świadectwo historyka syjonistycznego: „Asymilacja językowa wśród polskich Żydów postępuje w takim tempie, że wydaje się, iż na naszych oczach język, którym mówili przez stulecia, ulega zapomnieniu” (Alter Drujanow, *Tsionut be-folaniya*, Tel Aviv 1933, s. 11 – cyt. za: Mendelsohn, 1992, s. 102). „Stale rosnąca ingerencja języka polskiego w żydowskie życie nie oznaczała, że Żydzi wtapiali się w polskie społeczeństwo. Wskazywała jednak na poważne przeszkody, które napotykały zwolennicy żydowskiej autonomii narodowej w całej Polsce, z wyjątkiem jeszcze nie spolonizowanych kresów. Ponadto trwający nadal konserwatyzm kulturowy ludności żydowskiej, o którym świadczyła sieć szkół ortodoksyjnych, pokazywał, że bezskuteczne były usiłowania działaczy CISZO i Tarbutu zmierzające do tego, by ukształtować nową, świecką kulturę żydowską opartą bądź na jidysz, bądź na hebrajskim. [...] Można z pewnością zakładać, że gdyby niepodległa Polska przetrwała następne dwadzieścia lat, nowoczesna kultura i szkoły w jidysz i hebrajskim w sposób nieunikniony podupadłyby, ustępując miejsca żydowskiej twórczości kulturalnej w języku polskim” (Mendelsohn, 1992, s. 103). Zdaniem Mendelsohna międzywojenne żydowskie „doświadczenie polskie ukazuje słabość nowoczesnej polityki żydowskiej i współczesnej autonomicznej kultury żydowskiej w diasporze” (Mendelsohn, 1992, s. 121).

dziesięcioleci: «I uderzyło mnie jedno. Czy to ma jaki sens, aby żyjąc obok siebie tak mało wiedzieć o sobie, tak zupełnie się nie znać? Grywa się u nas sztuki z całego świata, często błahe i liche, a nie czynimy absolutnie nic dla poznania duszy narodu, z którym jest nam przeznaczone współżycie». Obcy, «egzotyczny» charakter i odległość literatury, którą od czasu do czasu «odkrywano», podtrzymywały złudzenie, że chiński mur oddziela ją od literatury polskiej. A przecież fizyczna odległość między dwiema literaturami była nie większa niż między Krakowskim Przedmieściem a Teatrem Żydowskim na Oboźnej [...]. Odległość tę rzadko pokonywano, a przekroczenie jej nie przynosiło pożądanego rezultatu» (Shmeruk, 2000, ss. 107–109; cytat wewnętrzny za: Żeleński (Boy), 1964b, s. 520)⁴¹. Sam zresztą piszesz o tym, że Polacy – ci życzliwi – najczęściej opisywali społeczność żydowską jako „egzotyczny «czarny ląd» położony za «chińskim murem»” (Steinlauf, 2001, s. 31).

MCS: Polskiej publiczności faktycznie przy tym nie było.

EJ: Historia Arnsztejna ma w sobie coś z historii Straszńskiego.

MCS: Jasne. To jest ta sama historia. Gorzkie było to wszystko. *Der wilner balabesł* okazał się największym autorskim sukcesem Arnsztejna i zarazem jego przekleństwem, bo z całej jego oryginalnej twórczości Żydzi nie chcieli oglądać już nic innego. Życie Arnsztejna rozpoczęło się i skończyło tą sztuką – symbolicznie, bo dosłownie zginął w Treblince albo został rozstrzelany na gruzach getta. Największym wydarzeniem w działalności Nowego Teatru Kameralnego, którego był dyrektorem, stało się właśnie wystawienie *Pieśniarzy*. Jak podaje „Gazeta Żydowska” z 16 stycznia 1942 roku: „Wielka uroczysta premiera dziś w piątek o godz. 5.45. Reżyseruje autor. Sala dobrze ogrzana i oświetlona”.

EJ: To może powiedzmy, że za murami było w sumie pięć żydowskich teatrów, w tym dwa grające po polsku. I Nowy Teatr Kameralny był tym większym. Miał siedzibę w parafii św. Augustyna. Nie wiemy, czy przedstawienia odbywały się w podziemiach kościoła czy w domu parafialnym, ale teatr niewątpliwie zainstalował się właśnie tam. Jego działalność została zainaugurowana inscenizacją *Mirele Efros* – tytuł polski *Mir-la Efros* – w reżyserii Arnsztejna funkcjonującego w getcie twardo jako Andrzej Marek. W ciągu roku istnienia tego miejsca przedstawienie zagrano 76 razy. Rekord popularności. Gwiazdą spektaklu i w ogóle Nowego Teatru Kameralnego był Michał Znicz.

MCS: Zniczowi udało się dożyć niemal końca 1943 roku. Arnsztein też prawdopodobnie przeżył żydowskie powstanie. Niezwykła postać. Napisałem o nim kilka artykułów, ale powinienem opublikować całość mojej pracy doktorskiej (por. Steinlauf, 1988).

EJ: Chciałam cię jeszcze dopytać o początek. Jak to się stało, że niedosyt tożsamości i niedosyt wspólnoty poczułeś w Seattle w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, działając na rzecz sprawiedliwości społecznej i powszechnej emancypacji?

⁴¹ Polską transkrypcję nazwiska Szmeruk w tekście głównym przyjmuję za nagrobkiem badacza wystawionym zgodnie z jego wolą na Cmentarzu Żydowskim przy ulicy Okopowej w Warszawie.

MCS: Niezależnie od wspólnego celu, każdy z nas – zgromadzonych wokół „No Separate Peace” – należał do jakiejś grupy narodowej. A ja? Byłem Żydem, ale dokąd przynależałem tak naprawdę? Przecież nie do żydostwa amerykańskiego, z którym nie chciałem mieć nic wspólnego, które było mi wstrętne. Kim więc byłem? Żydem, jednym z dwóch, którzy pisali ulotki w imieniu wszystkich, całego kolektywu. Nie miałem za sobą żadnej narodowej grupy odniesienia, a poczułem, że nie jest dobrze być istnieniem poszczególnym, bytem jednostkowym. I stąd moje zaangażowanie narodowe.

EJ: A nie mogłeś być Żydem tak, jak stałeś? Jak Ginsberg, Auster, Marcus, Bell – mnóstwo ludzi, bo przecież nie tylko tych kilku związanych z Columbią.

MCS: Jak Norman Mailer? Jak Bob Dylan? Nie, to mi nie wystarczało.

EJ: Czego ci brakowało?

MCS: Braci. Braci i sióstr. Braterstwo i siostrzeństwo stwarza i dawał internacjonalizm, to prawda. Internacjonalizm to projekt zakorzenienia w ludzkości, człowieczeństwie. I to był genialny pomysł! Ale mnie brakowało korzeni, rzekłbym, pośrednich. W ogóle ludziom w XIX wieku chyba tego brakowało, chcieli mieć coś pomiędzy i padło na naród. Wiele rozmyślałem nad tym, co znaczy być Żydem. Na Columbii miałem profesora, który mi kiedyś powiedział: „Nie możesz być socjalistą sam. Potrzebujesz do tego innych, grupy, partii”. Przerobiłem to nieco, mówiąc sobie: „Nie możesz być Żydem sam”.

EJ: I powiesz to ludziom, którzy są Żydami sami?

MCS: Tylko czy dla nich żydostwo jest jakkolwiek ważne? Wydaje mi się, że tożsamość jednostkowa, indywidualna to jest pojęcie chrześcijańskie. A dla bycia Żydem charakterystyczne jest coś innego. Gdy idę do synagogi w Jom Kipur i owijam się tałesem, izoluję się od innych, ale jednocześnie słyszę ich głosy. Jestem częścią grupy, która się modli. Dawno już tego nie robiłem, ale to jest dobry przykład. Być Żydem znaczy być w łączności z innymi Żydami. Ma się wtedy poczucie przynależności do grupy, a też odpowiedzialności wobec grupy. Nie przeciwko innym, nie wobec innych nawet. To nie jest tak, że innych ludzi szanuję mniej. Nadal czuję się solidarny z innymi i szanuję innych – tak jak w latach „No Separate Peace”. Pojęcie narodu jest takie skłębione, splątane. Podobnie jak poczucie przynależności. Wiem, jak łatwo jest zrobić fetysz z własnej grupy, nie mniej uważam, że takie grupy są potrzebne.

EJ: Komu?

MCS: Nie tylko mnie. Innym też.

EJ: Ale nie wszystkim.

MCS: Nie wszystkim, ale wielu.

EJ: Tak zdefiniowana lojalność łatwo może się zamienić w podporządkowanie, nie sądzisz? Co z indywidualną sprawczością? Co z indywidualną odpowiedzialnością? Czy etycznie nie byłoby bezpieczniej utożsamiać się raczej z ludźmi, którzy dzielą twoje wartości, a w tym zakresie – zauważ – podziąły przebiegają w poprzek grup?

MCS: No tak. Kompletnie nie identyfikuję się z Izraelem i ani myślę brać odpowiedzialności za Izrael. Ale to, co tam się dzieje, cholernie mi dokucza. Bardziej niż to, co dzieje się gdzie indziej.

EJ: Tu akurat nie jesteś wyjątkiem, bo większości Europejczyków cholernie dokucza to, co dzieje się w Izraelu, w odróżnieniu od tego, co dzieje się gdzie indziej. Indie okupują Kaszmir, Maroko wyprawia, co chce, z okupowaną Saharą Północną, jak świat długi i szeroki szaleją różni despoty, krew się leje, w latach dziewięćdziesiątych mieliśmy potworną wojnę w Europie. Nic to. 75% rezolucji potępiających, wydawanych przez Radę Bezpieczeństwa ONZ, wymierzonych jest w Izrael. Ludziom cholernie dokucza to, co dzieje się w Izraelu, choć jednocześnie ani myślą brać odpowiedzialności za Izrael.

MCS: To ciekawe. Wiem, dlaczego mnie obchodzi, co wyrabia Izrael, ale dlaczego tak bardzo obchodzi to również Europejczyków? Zapomniałem, jak brzmi to słowo. Czy nie „antysemityzm”? Wróćmy jednak do nacjonalizmu. Może powiem to inaczej. Chodzi mi o taką odrębność, która nie wiąże się z wartościowaniem. Moja grupa nie jest lepsza. Inne grupy nie są gorsze. Trzeba tego bardzo pilnować. To nie jest łatwe, ale wierzę, że przywiązanie do własnej grupy nie skazuje nas na szowinizm.

EJ: Powiedziałeś, co się zyskuje. A co się traci w takim reżimie tożsamościowym?

MCS: Przestaje się być internacjonalistą. Ale nie wiem, czy tak dużo wraz z tym straciłem. Może straciłem coś, co i tak nie jest możliwe do osiągnięcia? Miałem przyjaciół, miałem towarzyszy walki, ale to nie było to. Czułem się chyba bardzo samotny. Potrzebowałem jakiejś bliższej, węższej wspólnoty. Moi przyjaciele, moi towarzysze walki to mieli. Ja nie miałem.

EJ: Ich przynależność do danej grupy była pierwotna. Przychodzili z nią, czy tego chcieli, czy nie. Nie musieli jej konstruować. Przeciwnie, chcieli ją dekonstruować.

MCS: Nawet oni sporo sobie konstruowali. Weź Malcolma X, który mając za sobą różne tożsamościowe przemieszczenia, doszedł do islamu i dalej w jego obrębie ewoluował. Niewątpliwie jednak wspólnym mianownikiem tych wszystkich poszukiwań było marzenie, żeby zmienić i świat, i stosunki we własnej grupie. Taką grupę chciałem właśnie mieć. I wybrałem naród żydowski.

EJ: Ale narodem żydowskim można być na wiele sposobów i wiemy, że zwolennicy różnych opcji często by sobie nawet ręki nie podali.

MCS: Właśnie! Izrael doprowadza mnie do białej gorączki. Powiedziałbym o sobie wręcz, że jestem nacjonalistą diaspory. Uznałem, że to jest mój naród.

EJ: Konkretnie który?

MCS: Ten, którego nie ma. Ten, który przeminął tak kompletnie, tak bezpowrotnie. Czuję się częścią tego narodu. A w obrębie tego narodu – częścią świeckiej kultury jidysz.

EJ: Przed wojną jidysz postugiwało się od jedenastu do trzynastu milionów ludzi o bardzo różnych żydowskich tożsamościach w Europie Wschodniej i Stanach Zjednoczonych.

Dzisiaj to jest maksimum sześćset tysięcy osób bardzo do siebie podobnych: *charedim*, czyli Żydów ortodoksyjnych – czy to w Ameryce, czy to w Izraelu, czy to w Europie (w Londynie i Amsterdamie). Tylko oni używają jidysz na co dzień. Jak pisze jidyszystka Agata Kondrat: „Ich jidysz nie przypomina jednak języka słyszanego na ulicach przedwojennej Warszawy lub Wilna. Pod wpływem kontaktu z lokalnymi językami przeszedł on szereg zmian, czasem stracił swoje charakterystyczne brzmienie, wzbogacił się natomiast o zapożyczenia z innych języków czy nawet przejął obce struktury gramatyczne” (Kondrat, 2010, s. 63)⁴². Z punktu widzenia świeckiego etosu jidyszystycznego, który zrodził ukochaną przez ciebie kulturę, w tym również YIVO⁴³, to jest koniec świata. A wracając do głównego wątku: to nie był wybór, który się narzucał. W rodzinnych zasobach miałeś trochę co innego.

MCS: Rzeczywiście najbliżej pod ręką miałem inne warianty. Tożsamość polskiego inteligenta po matce. Tożsamość po ojcu z linii Ger. Ale zafascynowały mnie jidysz i świat nowoczesnej kultury żydowskiej. Na antypodach Izraela i jako zaprzeczenie amerykańskiego żydostwa, tych wszystkich Amerykanów żydowskiego pochodzenia. Może po ojcu jakoś jednak. Ojciec jeszcze dobrze znał jidysz.

EJ: Czy mógłbyś scharakteryzować to – jak mówisz – „amerykańskie żydostwo, tych wszystkich Amerykanów żydowskiego pochodzenia”?

MCS: Trudno o prostą odpowiedź, bo zjawisko jest dość złożone. Wyróżniłbym jednak dwie główne grupy. Z jednej strony są ci, którzy przynależą do żydowskich organizacji: rozmaitych synagog, *Jewish federations*, *Jewish centers*, wysyłają dzieci na żydowskie kolonie itp. Według nich być Żydem, to być jak oni. Nieustannie martwią się o brak *Jewish continuity*. Nie sposób odezwać się przy nich krytycznie o Izraelu. Z drugiej strony jest liczna grupa niezorganizowanych, raczej młodszych ludzi, którzy pamiętają może coś z dzieciństwa – bajgle, świece szabatowe, parę żydowskich słów – ale albo mieszkają daleko od żydowskich skupisk, albo wśród istniejących możliwości nie znajdują niczego, co by do nich przemawiało.

EJ: Ze świeckiej kultury jidysz uczyniłeś zarazem przedmiot swoich badań i swoją tożsamość. Przedmiot badań to również zawsze w jakiejś mierze przedmiot projekcji...

MCS: Trochę tak, bo co my dzisiaj wiemy o tamtym świecie, co możemy wiedzieć? Nauka o nim będzie się rozwijać, ale nigdy już nie będzie można doświadczyć go od wewnątrz. Rothenberg stamtąd pochodził, tam się urodził i wychował. Wiedział praktycznie wszystko. Ja wiem ułamek tego, co on. Następni będą wiedzieć jeszcze mniej. Ten świat będzie się coraz bardziej oddalał, obraz tego świata będzie się coraz bardziej przekształcał, a my będziemy transmitować trochę prawdę, a trochę nasze własne

⁴² Do liczby sześciuset tysięcy osób mówiących w jidysz należy dodać około milion osób znających ten język biernie w różnym stopniu.

⁴³ YIVO założyli „przede wszystkim świeccy intelektualiści postępujący w jidysz, sympatyzujący z folkistami lub socjalizmem żydowskim. JIWO stał się szybko główną instytucją naukową świeckiego żydowskiego ruchu kulturalnego, a rozmaite publikacje pomogły położyć podwaliny pod współczesne prace akademickie dotyczące języka i literatury jidysz. Wspierał on również badania nad historią Żydów Europy Wschodniej” (Mendelsohn, 1992, s. 98).

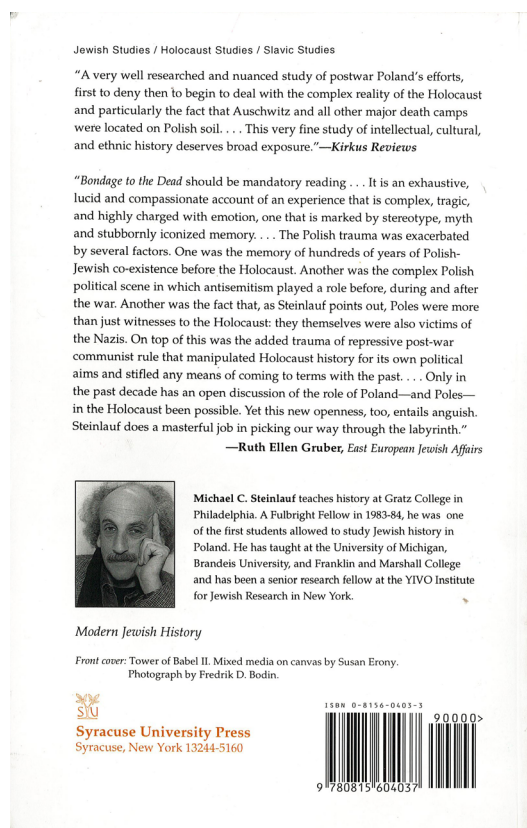
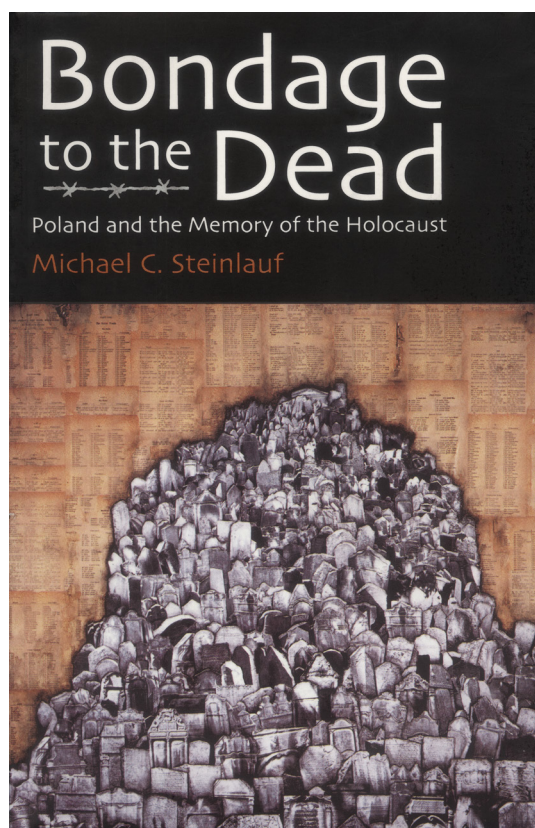
wyobrażenia. W tym sensie coś jest na rzeczy z tą projekcją. Ale ktoś jednak potrzebuje tego świata, ktoś przychodzi słuchać o tej kulturze, ktoś chce ją oglądać. W Polsce teraz na ogół bardziej niż gdzie indziej.

EJ: Twoi towarzysze z „No Separate Peace” byli częścią grup, które istniały, walczyły o realne interesy ekonomiczne, polityczne i społeczne. Ty, konstruując swoją przynależność, wybrałeś grupę, która nie istnieje, nie wchodzi z nikim w interakcje, niczego się nie domaga.

MCS: Tak jest! To sprzeczność najzupełniej podstawowa. Postanowiłem utożsamić się z nieżyjącymi Żydami i ich nieistniejącym światem. Nikomu nie proponuję iść w moje ślady. To mój własny wybór i moja własna droga. W istocie jakiś rodzaj trzeciej drogi między Ameryką i amerykanizacją a Izraelem. Kultura polskich Żydów już nie istnieje. Nie ze swojej winy. Po Żydach polskich pozostały szczątki w miejscu, gdzie mieszkali przez stulecia. Zostało kilkoro ludzi oraz to, co udało się wywieźć do Ameryki i do Izraela. I to właśnie uznałem za rzecz dla siebie najbardziej interesującą i wartościową. Ale w miarę upływu czasu widzę, że jestem z tym coraz mniej samotny. To właśnie młodzież, szczególnie w Polsce, do wszystkich tych spraw podchodzi z wielkim entuzjazmem. Kto wie, co to da?

Pamięć nieprzyswojona niezbyt się w to wpisuje, bo w gruncie rzeczy jest cała o Polakach. To jest opowieść o niewoli, o niewolnictwie, o uzależnieniu od Polaków, a ja nie chcę całego życia poświęcić Polakom. W którymś momencie postanowiłem zostawić tę polską Polskę, nie drążyć dalej tej historii. Zająłem się przedwojennym teatrem żydowskim – w jidysz i po polsku. Zacząłem pisać na ten temat artykuły naukowe. Zostałem redaktorem teatralnym encyklopedii wydawanej przez YIVO. Wielki poeta jidysz Awrom Suckewer podkreślał jedność i ciągłość żydowskiej kultury. Tego, co sam robił, nie sytuował w opozycji do świętych ksiąg i myśli rabinicznej. Na tym polegała jego koncepcja *di goldene kejt* – złotego łańcucha – pochodząca zresztą od Pereca, który zatytułował w ten sposób swoją sztukę teatralną o czterech pokoleniach chasydzkiej rodziny. Ja teraz też w jakiś sposób, przez pracę, którą wykonuję, pragnę być częścią tej całości.

EJ: Idea rozstania z polską Polską brzmi przekonująco, ale *Pamięć nieprzyswojona* nie zamyka sprawy. Przeciwnie, po tej lekturze polska Polska jeszcze bardziej się ciągnie i ciągnie, wyciągnąć nie może.



Pierwsza i czwarta strona okładki książki: Michael C. Steinlauf, *Bondage to the dead: Poland and the memory of the Holocaust*, Syracuse University Press, Syracuse, New York 1997 – seria *Modern Jewish History*, redaktor serii Henry L. Feingold. Na okładce praca Susan Erony *Tower of Babel II* (technika mieszana na płótnie) sfotografowana przez Fredrika D. Bodina (fot. Elżbieta Janicka)

Pamięć nieprzyswojona po raz pierwszy

EJ: Wróćmy do momentu, w którym zrodził się w twojej głowie pomysł napisania książki *Pamięć nieprzyswojona*.

MCS: W 1983 roku patrzyłem na Polskę z pozycji zewnętrznego obserwatora i widziałem, że ludzie nie bardzo się tutaj orientują w polsko-żydowskiej historii. Ci, którzy pisali o żydowskich sprawach do podziemnych gazet, szukali po omacku, znajdowali różne wątki, których nie byli w stanie ułożyć w kontekście. Do takich spraw należał na przykład 1968 rok. Mnóstwo rzeczy pozostawało niewypowiedzianych. Brakowało spojrzenia bardziej całościowego, a że syntezę zawsze uważałem za swoją specjalność, postanowiłem spróbować. Do powstania *Pamięci nieprzyswojonej* przyczynił się także mój wcześniejszy udział w tomie *The world reacts to the Holocaust*, który zaprojektował w latach osiemdziesiątych rabin z Michigan, Charles H. Rosenzweig. Rzecz okazała się świetna i ogromnie potrzebna. Do tego właśnie temu napisałem długi tekst. Niektórzy uznali go za jeszcze niewielką, ale już książkę (Steinlauf, 1996). Wtedy pomyślałem, że dobrze byłoby to kontynuować. Towarzyszył mi w tym zamiśle Jurek Halbersztadt ze swoimi prasówkami. Miesiącami otrzymywałem od niego potężne porcje wycinków

z gazet, wśród których nie zabrakło tekstów o przemocy wymierzonej w Romów, nazywanej przez dziennikarzy pogromami. Byłem na bieżąco. Widziałem, jakie to są w Polsce palące, ważne sprawy.

EJ: W twojej książce współwystępują dwa nurty, dwa porządki – różne, skonfliktowane ze sobą, jeśli nie wręcz sprzeczne i wykluczające się nawzajem. Z jednej strony jest rekonstrukcja wydarzeń – nie tylko celna, ale też przenikliwa do tego stopnia, że nic nie traci na aktualności w świetle najnowszych ustaleń. Oryginalne, angielskie wydanie *Pamięci nieprzyswojonej* ukazało się w 1997 roku, lecz gdyby chcieć je aktualizować, książki Grossa, debatę jedwabieńską i obecne polskie badania nad Zagładą w gruncie rzeczy wystarczyłoby umieścić w przypisie. Przyrost wiedzy, który nastąpił po 2000 roku, ilustruje twoje poszczególne stwierdzenia, ale nie narusza dokonanych przez ciebie zasadniczych, ramowych rozpoznań. Do tego jednak dołączona jest interpretacja, która – najogólniej mówiąc – nie przystaje do przedstawionego przez siebie materiału rzeczowego. W naszej pierwszej rozmowie przez telefon wiosną tego roku powiedziałeś, że od początku miałeś wątpliwości w związku z koncepcją polskiego doświadczenia Zagłady jako traumy. Obiecaliśmy sobie wówczas, że porozmawiamy o tym, gdy przyjedziesz do Warszawy.

MCS: Miałem wątpliwości. Miałem wątpliwości w związku z samym Liftonem, a zwłaszcza w odniesieniu do tego, czy jego ujęcie można zastosować do sytuacji w Polsce⁴⁴. Muszę powiedzieć... Ten moment, kiedy zacząłem się dowiadywać, jak byli traktowani po wojnie ci, którzy ukrywali Żydów... Że niektórzy z nich jeszcze wiele miesięcy po wyzwoleniu nie wypuszczali tych Żydów, bo się bali o nich i o swoje życie. Był taki człowiek, który przez dziewięć miesięcy nie miał sposobności bezpiecznie wyprowadzić ze swojego strychu... dwojga dzieci. Był zamach bombowy na sierociniec w Rabce. Na sierociniec! Michał Borwicz się tym interesował. Wielki badacz. Wielki człowiek. Będąc u cioci i wujka w Paryżu, poprosiłem go o spotkanie, ale nie byliśmy w stanie o tym rozmawiać. Siedzieliśmy, wokół nas siedzieli inni ludzie, piliśmy kawę. Bo o czym tu w ogóle mówić? Tu nie ma o czym mówić! Nie mogłem i nie mogę zrozumieć, jak człowiek, jak ludzki człowiek może coś takiego... To przechodzi ludzkie pojęcie. Tak właśnie. Jak w biblijnej formule: „It passeth all understanding”. Sprawdziłem. Rzecz pochodzi z *Nowego Testamentu*, a więc chrześcijanie to wymyślili na dodatek⁴⁵. I wiesz, kiedy skończyłem pisać tekst do tomu Rosenzveiga, wysłałem go Miłoszowi. Rozmawialiśmy później przez telefon. I Miłosz tak samo. Powiedział, że tekst jest bardzo dobry, bardzo jasny, ale że on nadal do końca nie rozumie... Owszem, wiedziałem, co tu się działo, ale żeby do tego

44 Chodzi o koncepcję wyłożoną w pracy Roberta Jay'a: Lifton, 1979. Przedmiotem badania Liftona były traumatyczne skutki masowego doświadczenia zagrożenia życia. Chodziło mu o zaburzenie lub wręcz zniszczenie struktury i spójności tożsamości ofiar. W książce *Pamięć nieprzyswojona* Michael C. Steintlauf zastosował koncepcję Liftona do grupy zewnętrznej wobec ofiar.

45 Chodzi o fragment z listu do Filipian: „And the peace of God, which passeth all understanding, shall keep your hearts and minds through Christ Jesus” (Philippians 4:7, wg King James Version [KJV] – <https://www.biblegateway.com/passage/?search=Philippians+4%3A7&version=KJV>). W polskim tłumaczeniu proponowanym przez *Biblię Tysiąclecia* odnośny wers brzmi: „A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie” (<http://biblia.deon.pl/rozdzial.php?id=1042>).

stopnia? Bo co ja rozumiałem z tego wszystkiego? Rozumiałem, że Polacy nie chcieli oddawać żydowskich domów albo żydowskich rzeczy, więc kiedy wracał Żyd – kula w łeb.

EJ: A nie wydaje ci się, że zamieniasz miejscami skutek i przyczynę? Mordujemy Żyda, nie dlatego, że nie chcemy mu oddać domu, tylko nie chcemy mu oddać domu, dlatego że jest Żydem i jako taki nie ma prawa żyć. Nie ma prawa żyć w ogóle albo – w wersji dopuszczonej w Polsce na pokoje jako wielce łaskawa – nie ma prawa żyć wśród nas. Tyle że z punktu widzenia mordowanych to jakoś nie chciało się niczym różnić i wychodziło zawsze na to samo.

MCS: To bardzo mroczne podejście. Nie jestem przekonany. Chcę jednak powiedzieć, że to jeszcze od biedy można jakoś ogarnąć rozumem. Ale że Polak, który ukrywał Żyda, musiał nadal ukrywać fakt, że go ukrywał? A już stosunek do dzieci dla mnie jest...

EJ: I nigdy nie usłyszałeś odpowiedzi na pytanie o stosunek do dzieci? [Długa cisza]. Twoja mama też nigdy nie usłyszała odpowiedzi na to pytanie?

MCS: Ale nie zapominaj, że temu pierwszemu na tym dachu akurat dzieci było jednak żal... W każdym razie pomyślałem sobie, że muszę to jakoś objaśnić, wytłumaczyć. Muszę to jakoś zrozumieć. Wiedziałem o antysemityzmie przed wojną i w czasie wojny. Wiedziałem, co pisał Karski. Czytałem Engla (por. Engel, 1983; także: Engel, 1987). Czytałem Gutmana i Krakowskiego (Gutman & Krakowski, 1986).

EJ: Ujawnienie memorandum Karskiego przez Engla to 1983 rok. U nas to opublikował Gross. Dziewięć lat po Englu (por. Gross, 1992, s. 2; Karski, 1992, ss. 3–8). Przy czym powiedzmy jasno, że nie chodzi o dokument z 1942 roku znany jako *Raport Karskiego*, z którym Karski nie miał wiele wspólnego, jeśli w ogóle cokolwiek⁴⁶. Chodzi o raport Karskiego z grudnia 1939 roku *Zagadnienie żydowskie w Polsce pod okupacjami*, ocenzone przez autora na prośbę polskiego rządu w Angers we fragmentach dotyczących nastawienia Polaków do Żydów. Z oryginału raportu pochodzi fragment: „«Rozwiązywanie kwestii żydowskiej» przez Niemców – muszę to stwierdzić z całym poczuciem odpowiedzialności za to, co mówię – jest poważnym i dosyć niebezpiecznym narzędziem w rękach Niemców do «moralnego pacyfikowania» szerokich warstw społeczeństwa polskiego. [...] Naród nienawidzi swego śmiertelnego wroga – ale ta kwestia stwarza jednak coś w rodzaju wąskiej kładki, na której przecież spotykają się z g o d n i e Niemcy i duża część polskiego społeczeństwa” (Karski, 1992, s. 7). Cenzura, którą wdrożył Karski, nie polegała na prostym usunięciu zakwestionowanych fragmentów, lecz na zastąpieniu ich fragmentami o dokładnie przeciwnej wymowie, pochlebnymi dla grupy większościowej. W Polsce ten materiał ukazał się w 1992 roku w miesięczniku „Mówią Wiek” i przeszedł niezauważony.

46 „Problem polega na tym, że tekst, który jest często określany jako «raport Karskiego», nie został napisany przez Karskiego. [...] W opowieści o Karskim mówi się często, że raport ten był oparty na przywiezionych przez niego materiałach, zawartych w «poczcie», którą Karski wiozł z Warszawy. W badaniach historycznych sprawa ta pozostaje wciąż niejasna, jest całkiem prawdopodobne, że «raport Karskiego», którego autorem nie był Karski, oparty był na materiałach przywiezionych do Londynu nie przez Karskiego, lecz przez jakiegoś innego kuriera” (Rappak, 2014, s. 98).

MCS: To ja wiedziałem o tym wcześniej. Wiedziałem, co pisało polskie podziemie, że nie ma tu więcej miejsca dla Żydów i że Polacy nie będą stać z założonymi rękami w razie, gdyby jacyś Żydzi próbowali wracać. Wiedziałem, że ludzie wierzyli w te historie o Ukrzyżowaniu, o żydokomunie... Ale zawsze pozostawało coś, co nie mieściło mi się w głowie. Cały czas myślałem, czułem, byłem przekonany, że coś pomijam, że musi być coś więcej, jakaś dodatkowa przyczyna: coś, co by pozwalało zrozumieć, jak było możliwe to, co się działo po wojnie.

EJ: Gdyby istniał konkurs na najsmutniejszy list, twoje listy rywalizowałyby w nim o palmę pierwszeństwa same ze sobą. Posłuchaj: „Stałem przed sytuacją historyczną, którą uważałem za nie do przyjęcia. Mianowicie stosunek do Żydów ze strony tych, którzy byli najbliżej i z bliska widzieli wszystko, co Żydom zrobili Niemcy, nie zmienił się po wojnie. Ba, pogorszył się. Aby to zrozumieć, aby uratować jakieś pojęcie o człowieczeństwie, o ludzkości, aby zaprzeczyć pogładowi, w którym się wychowałem, że Polacy byli gorsi niż Niemcy, długo szukałem jakiegoś wyjścia, jakiegoś nowego, nieznanego wątku i tak dotarłem do Liftona. A wtedy jakby ciężar odwlokłem od duszy”⁴⁷.

MCS: Tak. Wtedy zapanowałem nad tym.

EJ: Ciężar odwlokłeś od duszy. Jednak co się odwlecze, to nie uciecze. Patrzysz na Zagładę okiem człowieka, dla którego Zagłada jest tragedią. I nie chcesz widzieć ani wiedzieć, że mogli istnieć ludzie – a nawet całe kultury i społeczeństwa – dla których Zagłada nie była tragedią. Aby móc dalej nie widzieć i nie wiedzieć tego, co i tak świetnie widzisz i wiesz, obdzielasz wszystkich własną traumą. Uwłaszczasz ich na własnej ranie, niezależnie od ich postaw i zachowań. Innymi słowy: niezależnie od miejsca, jakie zajmowali w strukturze zbrodni. Ignorujesz ich perspektywę. To wygląda jak kolonizowanie przedmiotu badań. Ale człowiek po Columbii nie kolonizuje przedmiotu badań, bo od tego jest po Columbii. *De facto* nie jest to zatem kolonizowanie przedmiotu badań, lecz ucieczka od przedmiotu badań. Z braku fizycznej i psychicznej możliwości, żeby udźwignąć to wszystko. Mówię o tym nie w sensie wartościującym, lecz opisowym.

MCS: Muszę przyznać, że w świetle najnowszych badań waszych historyków sprawa zaczyna wyglądać inaczej. Zmieniło się, a może nawet – jak piszesz – zdezaktualizowało, pojęcie polskiego świadka i polskiego świadkowania Zagładzie (por. Janicka, 2014/2015). Jeżeli dojdzie do wznowienia książki, wezmę to pod uwagę. Ale musisz zrozumieć też, że pisałem tę książkę dla Żydów amerykańskich i jednocześnie dla Polaków. Opinia o Polakach w Ameryce nie jest dobra. Polacy uchodzą za antysemitów. Ja z tym walczę.

EJ: Przecież ty nie jesteś lobbystą, jesteś intelektualistą.

MCS: Chodziło mi też o to, żeby nie pisać tylko o wojnie, żeby przypomnieć całą historię Żydów w Polsce. Bo nie było tak, że Żydzi siedzieli tutaj przez stulecia na walizkach. Spójrz na te gigantyczne synagogi – najpierw drewniane, potem murowane – to nie były instalacje tymczasowe, budowano je przez pokolenia. Był na to czas, były pieniądze.

47 List Michaela C. Steinlaufa do Elżbiety Janickiej z 19 czerwca 2014 roku.

Takich budowli nie wznoszą prześladowani ludzie wegetujący na granicy przetrwania. Owszem, chłop stale słyszał w kościele, że Żydzi zamordowali Boga i tak dalej, ale na co dzień to tak bardzo nie przeszkadzało.

EJ: Nie przeszkadzało chrześcijanom?

MCS: Żydom nie przeszkadzało!

EJ: No jasne. Tu pogromik, tam procesik, ówdzie stosik. Okupy na porządku dziennym. *De non tolerandis Judaeis*. W większych miastach przymusowe przeprowadzki. W Warszawie jeszcze w XIX wieku, a jakże! W średniowiecznym mieście uniwersyteckim Krakowie codzienna przemoc fizyczna wywierana na Żydach przez żaków. Drobiazg. Zgódźmy się, że w Rzeczypospolitej warunki do życia były lepsze niż gdzie indziej, ale nie mówmy może jednak, że Żydom to wszystko nie przeszkadzało. I nie nazywajmy tego *Paradisus Iudaeorum*, bo ta kategoria pochodzi z antysemitckiego pamfletu. Dzisiaj to się nazywa Judeopolonią.

MCS: Twoje słowa są mroczne, zimne i ostre. Nie tylko zresztą twoje. Podobne podejście – dla mnie całkiem nowe – reprezentują niektórzy młodszy badacze naszych spraw. Myślę nad tym. Coś w tym jest. Ale do jakiegoś stopnia uważam to również za przesadę. Zobacz, w Pierwszej Rzeczypospolitej Żydzi mieli daleko posuniętą autonomię, wspinały samorząd. Działał Sejm Czterech Ziem.

EJ: A czy ja mówię, że nie mieli daleko posuniętej autonomii, wspianego samorządu i Sejmu Czterech Ziem? Król dopuścił do tego, by zapewnić swojemu przedsiębiorstwu, jakim było państwo, sprawniejszy pobór podatków. I na ile był w stanie, chronił Żydów przed Kościołem, broniąc interesów państwa, bo mu Żydzi to państwo budowali. Mógł się oprzeć na ich lojalności, kompetencjach i pieniądzach w sytuacji, gdy poza tym mało na kogo mógł liczyć. Nie chrześcijańskie miłosierdzie nim powodowało i nie staropolska gościnność, tylko racjonalna kalkulacja. I nie z polskiego patriotyzmu Dow Ber Meisels nawoływał do modłów za powodzenie Polski w walkach przeciwko Rosji, a potem popierał Wiosnę Ludów. Chodzi mi o zrjonalizowanie języka, o odrzucenie zmistyfikowanych kategorii opisu.

MCS: Zgadzam się. Nie chodziło tu o filosemityzm czy filopolonizm. Niemniej jednak pamiętajmy – że prócz królów – były jurydyki magnackie, w których Żydzi mieli prawo się osiedlać i mogli czuć się względnie bezpiecznie.

EJ: „Filosemityzm – filopolonizm”. Ratunku! Zmistyfikowana para zmistyfikowanych pojęć. Symetryczna konstrukcja sugerująca równoprawny status grupy dominującej i grupy podporządkowanej. Odwrotność pary: „antysemityzm – antypolonizm”. A wszystko wygenerowane przez odmowę konfrontacji z antysemityzmem. Idzie to tak: mamy antysemityzm, więc dorabiamy do niego antypolonizm. Innymi słowy, do realnego zjawiska dosztukowujemy hipostazę. Dzięki temu rasistowską, religijnie uzasadnioną i moralnie usankcjonowaną nienawiść większości do mniejszości możemy opisywać w kategoriach konfliktu międzygrupowego i jakoś ten antysemityzm zrjonalizować. Taką taktykę

oporu przed wiedzą i samowiedzą można zrozumieć ze strony kultury wywierającej przemoc, ale ze strony kultury poddanej przemocy? Nie mówiąc o tym, że odwrotnością antysemityzmu nie jest filosemityzm. Choćby Sandauer w tekście, który cenisz, pokazywał ich wspólną allosemicką matrycę⁴⁸. Ty to wszystko wiesz. Dlaczego więc i po co mówisz takie rzeczy?

MCS: Co? Że stawiam na jednej płaszczyźnie filosemityzm z filopolonizmem oraz, co gorsza, antysemityzm i antypolonizm? Gdzie sugeruję taką równoważność? Bynajmniej. Pytanie jednak brzmi, dlaczego, gdy młody Polak wyjeżdża z Polski i mówi, że jest Polakiem, często słyszy pytanie: „Więc jesteś antysemitą?”.

EJ: Zupełna zagadka. Gdy spojrzeć na sondaże opinii i mury polskich miast, nie wiadomo w ogóle, o co chodzi. Naszego Polaka koniecznie musimy wziąć w obronę, najlepiej prewencyjnie, jeszcze zanim pod jego adresem padnie pytanie, które skądinąd zresztą zazwyczaj nie pada. Sam, biedny, nie będzie wiedział, co odpowiedzieć. Z opresji na pewno wybawi go legenda o królu Kazimierzu Wielkim. A i o grafie Potockim nie zaszkodzi⁴⁹. Wróćmy jednak do jurydyk magnackich. Tak, jak mówisz: „Były jurydyki magnackie, w których Żydzi mieli prawo się osiedlać i mogli czuć się względnie bezpiecznie”. A teraz spójrz na konstrukcję intelektualną, którą otrzymaliśmy w rezultacie. Pytanie dotyczyło reputacji Polaków w Stanach Zjednoczonych, a odpowiedź traktuje o Sejmie Czterech Ziem i jurydykach magnackich. Co to ma wspólnego z reputacją Polaków? Co to ma wspólnego w ogóle z Polakami?

MCS: Zgoda. Mówimy tu o władzy królewskiej i magnackiej, później także szlacheckiej, czyli o klasach posiadających, które dobrze rozumiały swój interes. Nie było jeszcze wówczas narodu polskiego, bo była to epoka przednarodowa, a w epoce narodowej sprawy nie wyglądały dobrze dla Żydów i to nawet takich, którzy chcieli przestać być Żydami, skoro uwierzyli, że to nie jest w porządku. Wszystko to prawda. To była wymiana

48 „[C]hrześcijański allosemityzm może – jak wiemy – obradzać i anti- i filosemicko” (Sandauer, 1982, s. 84). Allosemityzm to kategoria zaproponowana przez autora w części wywodu zatytułowanej *Geneza antysemityzmu*: „Pochodzenie to [żydowskie – E.J.] ma wokół siebie aurę, której ignorować nam nie wolno. [...] Niektórzy zechcą tę aurę określić jako antysemityczną; w zainteresowaniu tym mogą być jednak i elementy życzliwości. Proponuję zatem stworzenie nowego terminu «allosemityzm»: polega on na wyróżnianiu tego pochodzenia, na przeświadczeniu o jego wyjątkowości, i stanowi ogólną bazę, z której można wysnuć zarówno anti-, jak i filosemickie wnioski. [...] Starożytni nie doznawali na widok Żyda owego mistycznego wstrząsu, który leży u dna wszelkich uczuć anty- czy – szerzej – allosemickich. Te są bowiem – jak zobaczymy za chwilę – przeżyciem natury demonologicznej. [...] Europa chrześcijańska demonizuje zatem Żydów: są tym groźniejsi, że byli kiedyś wybrani i że wybraństwo to odrzucili. Jest rzeczą znamienne, że demonizacji tej nie znają kultury islamu: dla nich Żydzi nie są narodem bogobójców, ponieważ Jezus nie jest Bogiem. Między Żydami a Arabami może istnieć – jak w chwili obecnej – wrogość natury politycznej; nigdy jednak nie będzie wrogości metafizycznej. Dla średniowiecznych chrześcijan Żyd to Szatan; nawet ikonografia demona – haczykowaty nos, kędzierzawe włosy – wydaje się wzorowana na typie semickim. Wynikiem demonizacji, dokonanej na Żydach, jest zjawisko o wiele groźniejsze od ogólnikowej niechęci, z jaką spotykali się w starożytności. Teraz znalazła ona sobie ideologię: jest nią przeświadczenie o ich wyjątkowości, o magicznej ambiwalencji ich losów. Jest to naród sakralny w owym podwójnym sensie, jaki słowu «sacer» nadaje łacina, naród święto-przeklęty” (Sandauer, 1982, ss. 9, 10, 12).

49 Graf Potocki – odmiana legendarnej figury dobrego chrześcijańskiego pana. Arystokrata, który przeszedł na judaizm („Ger Tsedek”, b.d.) lub arystokrata protektor Żydów. Topos szczególnie popularny w dziewiętnastowiecznej literaturze Haskali, która pozytywnemu wizerunkowi arystokracji jako forpoczątki ponadnarodowej utopii oświecenia przeciwstawiała negatywny wizerunek szlachty jako nosicielki polskiego nacjonalizmu. Rządziej postacią utożsamianą z tzw. pańskimi manierami. W 2012 roku w Tel Awiwie słyszałam, jak kobieta pochodząca z Równego na Wołyniu karcita wybrzydającego na jedzenie wnuczka: „Nie bądź taki znowu graf Potocki”. Dziękuję Annie Engeling za inspirującą rozmowę na temat regionalnych wcieleń grafa Potockiego.

usług, a nie kwestia zasług. I nie było tu mowy o żadnej dobroczynności względem Żydów. Ale działo się to w Pierwszej Rzeczypospolitej.

EJ: Gdzie ofiarami systemu byli chłopci, których potomkowie uważają się dzisiaj – jak prawie wszyscy tutaj – za spadkobierców tamtego państwa i dobroczyńców Żydów. Rzecz się dzieje bowiem na gruncie kultury, w której tolerowanie Żydów w pozycji podporządkowanej i dla własnego interesu rozumiane jest jako dobroczynność. A dobroczyńcy należy się wdzięczność, nie zaś wnikanie w to, jaki był stan faktyczny i jak wyglądał stosunek do Żydów ze strony kultury dominującej oraz większości społeczeństwa przed wojną, w czasie wojny i po wojnie. Psychologicznie to bardzo prawdziwe, ale kompletnie fałszywe poznawczo. Jakoś niepotrzebnie skręciliśmy w tę stronę.

Niezależnie od fałszywego schematu argumentacyjnego w tym dyskursie tkwi jeszcze charakterystyczna prawidłowość strukturalna. Im lepsza jest sytuacja Żydów, tym ściślejsza okazuje się zależność ich położenia od polskich zachowań i postaw. Im sytuacja Żydów gorsza, tym związek z polskim kontekstem słabszy – do całkowitego zerwania w okresie Zagłady. Tym sposobem Zagłada okazuje się eksterytorialna: rozgrywa się między Żydami a Niemcami, niemalże w próżni społecznej.

MCS: Zgoda. Tak piszę.

EJ: Powiedziabym raczej, że to się pojawia u ciebie w sferze interpretacji. Na pewno natomiast nie ma w twojej książce chrześcijaństwa i Kościoła, chyba że w formie rozproszonej, właściwie podprogowej.

MCS: Król, magnateria i szlachta potrzebowali Żydów. Chłopi byli unieszkodliwieni przez system, który zabezpieczał interesy króla, magnaterii i szlachty. Jedynym wrogiem realnie niebezpiecznym był w tej sytuacji Kościół. W XVIII wieku to już nie były żarty.

EJ: Ale o tym nie piszesz w książce.

MCS: Mało piszę. Historia stosunków polsko-żydowskich do powstania Drugiej Rzeczypospolitej zawarta jest w jednym krótkim rozdziale. Ale faktycznie w takim ujęciu ginie sprawa konstrukcji większościowej tożsamości w opozycji do Żydów – tak w erze przednarodowej, jak i narodowej.

EJ: Później też nie piszesz o Kościele, wyjąwszy punktowe muśnięcia.

MCS: Piszę na przykład przy okazji pogromu kieleckiego.

EJ: To właśnie nazywam punktowym muśnięciem. W polskim dyskursie publicznym i naukowym istnieje rytuał polegający na przestrzeganiu badaczy przed wnioskami bardziej ogólnej natury. Tego typu konkluzje dyskredytuje się jako „pochopne uogólnienia”. To jedna z technik blokowania debaty, bo bez „pochopnych uogólnień” nie wychodzimy poza horyzont przyczynkarski, i problem z głową. U ciebie te „pochopne uogólnienia” są, ale nigdy w odniesieniu do doktryny czy instytucji Kościoła katolickiego. W efekcie otrzymujemy obraz, który nawet w części nie odzwierciedla potęgi i to nie tylko materialnej, choć materialnej też, ale przede wszystkim mentalnej i emocjonalnej Kościoła.

Można w ogóle zapomnieć, że rzecz dzieje się w kraju o dominującej kulturze chrześcijańskiej, nie mówiąc o tym, że nie dowiadujemy się właściwie, co chrześcijaństwo oznacza dla Żydów. Antysemityzm nie zostaje u ciebie w żaden sposób sproblematyzowany. A przecież jesteś specjalistą w tej dziedzinie. Czy rzeczywiście zatem był to jakiś rodzaj autocenzury z twojej strony?

MCS: Nie wiem. Gdyby książka miała być wznowiona, dodałbym teraz kilka zdań do pierwszego rozdziału.

EJ: I do każdego kolejnego?

MCS: Ale przecież piszę o stosunku Kościoła do Żydów w okresie międzywojennym.

EJ: Wspominasz na zasadzie zasugerowania żydowskiej odpowiedzialności za postawę i zachowanie Kościoła. Może przerysowuję, ale odpowiedzialność Kościoła w tym fragmencie rozmywa się na pewno. W tekście głównym piszesz, że Kościół potępiał nienawiść i przemoc skierowane przeciwko Żydom. W przypisach natomiast – na końcu rozdziału w wersji polskiej, i w wersji angielskiej w ogóle na końcu książki – dodajesz: „[Z]decydowanie antysemityczne stanowisko polskiego Kościoła w tym okresie pokazuje, że jego nauki nie stanowiły wyjątku, lecz były całkowicie zgodne z postawą Kościoła w innych krajach Europy i z retoryką Watykanu. Niemniej jednak nigdzie indziej Kościół nie miał do czynienia z 3,5 mln Żydów” (Steinlauf, 2001, s. 36, przypis 35). Po angielsku to nie brzmi lepiej: „But nowhere else in Europe did the Church confront 3.5 million Jews” (Steinlauf, 1997, s. 151).

MCS: W tekście głównym piszę, że Kościół sprzeciwiał się nienawiści, ale w następnym zdaniu dodaję ironicznie, że to nie przeszkadzało Kościołowi w prowadzeniu „walki moralnej” z „żydowskim wyzyskiem” i „żydowską pornografią”, sprzyjaniu bojkotowi żydowskich sklepów i tak dalej.

EJ: W twojej książce zupełnie nie ma ironii, dlatego nie sposób zorientować się, że akurat to jedno zdanie jest ironiczne.

MCS: Robisz mi tutaj dintojrę w sytuacji, gdy książka poświęca na okres międzywojenny osiem stron.

EJ: Czy było coś, co cię powstrzymało przed mówieniem wprost?

MCS: Być może wielki przykład Jana Pawła. Pamiętaj, kiedy to było pisane: we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Zgoda, że to, co on mówił o Żydach, nie było do końca przyzwoite. W jego myśleniu tkwił katolicki czy chrześcijański triumfalizm, ale mnie imponowało, w jaki sposób on pokonał władze komunistyczne ich własną bronią. Mówiliśmy już o tym. Godność pracy, człowieczeństwo, uniwersalne wartości...

EJ: Pod krzyżem.

MCS: Moi polscy żydowscy przyjaciele nie wierzyli w krzyż, a stali pod krzyżem. Byli razem z Wojtyłą.

EJ: Który definiował naród polski...

MCS: Jako chrześcijański naród. Zdarzało mu się też mówić o ziemi. Że polska ziemia to lub tamto. Nie rozumiał, jakie to niebezpieczne. Ale tam nie było wrogich akcentów. Wobec nikogo.

EJ: I w związku z tym w 1979 roku „papież Polak” odprawił katolicką mszę świętą pod krzyżem ustawionym obok biało-czerwonej flagi na rampie w Birkenau. A co do definicji narodu... Ta definicja jest tak zaprojektowana – takie są jej niewyartykułowane założenia – że jak ją uruchamiasz, to ona natychmiast produkuje przemoc i wykluczenie.

MCS: Na pewno tym, czego potrzebujemy, jest historia zintegrowana. Tu się z tobą całkowicie zgadzam, bo tak jak piszesz: dotychczas zamiast historii Polski mamy historię Polaków (por. Janicka, 2014/2015, s. 189; także: Janicka, 2012, s. 473).

EJ: Pierwszym, który to wypowiedział na polskim gruncie, był Feliks Tych. To on pod koniec lat dziewięćdziesiątych zaapelował o „zintegrowany, pełny obraz historii wielonarodowego społeczeństwa, którego część stanowili Żydzi. Jeśli chodzi zaś o historiografię polską, konkretny problem polega na tym, że przedstawiała ona do niedawna (a w dużym stopniu czyni to i teraz) historię Polski niemal wyłącznie z punktu widzenia narodu panującego, mimo iż Polska zawsze do 1939 r. była państwem wielonarodowym” (Tych, 1999, s. 144). Wiem, że w mikroskali zrobił coś takiego Mark Mazower dla Salonik (por. Mazower, 2004).

MCS: To i w makroskali nie jest niemożliwe. Po angielsku wyszła zintegrowana historia Ukrainy, gdzie historia Żydów nie jest może opisana jakoś wybitnie, ale jest (por. Magocsi, 2010).

EJ: Nie znam tej książki, ale historia zintegrowana to nie jest historia większości plus kąciki mniejszości na łaskawym chlebie. To jest historia, owszem, różnych grup, ale też ich wzajemnego usytuowania i stosunków – niekoniecznie wzajemnych, bo niekiedy dysproporcja między dominującym a podporządkowanym bywa tak wielka, że mówienie o jakiegokolwiek wzajemności zakłamywałoby rzeczywistość. Zwróciła na to uwagę Małgorzata Melchior, kwestionując zasadność kategorii „stosunki polsko-żydowskie” w odniesieniu do tego, co działo się między Polakami a Żydami w okupowanej Polsce (por. Melchior, 2013). Historia zintegrowana to w dużym stopniu historia przemocy i wykluczenia. I żeby się do niej przybliżyć, trzeba przede wszystkim zintegrować historię większości, czyli uzupełnić ją o to, co dzisiaj nie tylko w niej nie figuruje, ale także nie mieści się w głowie większości tej większości.

MCS: To będzie następne osiągnięcie.

EJ: W Polsce konsekwentnie oddalamy się od tego momentu za sprawą wykluczającej i przemocowej polityki tożsamości i polityki historycznej.

MCS: Czy jednak nie jest tak, że dzisiaj Polacy są w stanie przyjąć do wiadomości więcej, niż przyjmowali do wiadomości piętnaście lat temu?

EJ: Zgoda, jeśli o to chodzi. Pytanie tylko, czy to narusza dotychczasowy system organizacji wiedzy, czy też jedynie go wzmacnia. W jaką wpisuje się narrację? Czy prowadzi do rewizji wyobrażeń, przywiązań i lojalności, i w ślad za tym do wniosku, że trzeba się wymyślić na nowo jako wspólnota wreszcie polityczna i – *horribile dictu* – obywatelska?

MCS: Twoim zdaniem rujnacja związana z Zagładą sięga tak daleko? [Cisza]. Ostatnie ustalenia historyków rzeczywiście wyglądają jak gwóźdź do trumny, jeśli o to chodzi.

EJ: Jakby wcześniej było mało. Bo czy na tle historiografii Zagłady w okupowanej Polsce – tej, która powstawała przez lata poza granicami Polski – to jest faktycznie przewrót kopernikański? Czy to jest przewrót w ogóle jakikolwiek? Badania w Polsce dopiero się rozpoczęły. Przyrost wiedzy rzeczowej jest tak gwałtowny, że nie sposób całościowo ocenić jego znaczenia dla rozumienia tego, co się wydarzyło. Ale gdy czytam różne starocie Borwicza, Gutmana, Krakowskiego czy Engla, to trudno mi myśleć o dzisiejszych pracach w kategoriach rozpoznania pionierskich.

MCS: Posłuchaj. Jestem polskim Żydem amerykańskim, z czego najważniejszą moją tożsamością jest jednak tożsamość amerykańska. Jestem Amerykaninem. I jako Amerykanin nie wierzę i nie uwierzę, nie mogę uwierzyć i nie chcę uwierzyć w to, co napisał Karski o wąskiej kładce, na której spotkali się Polacy i Niemcy, jeśli chodzi o los Żydów.

EJ: Bo to oznacza złamanie kręgosłupa człowiekowi?

MCS: Właśnie! Jako Amerykanin mam taką wiarę w ludzkość – w ludzkość ludzi, w człowieczeństwo człowieka – która nie tylko wyklucza coś takiego, ale wyklucza w ogóle samą możliwość pomyślenia czegoś takiego.

EJ: Rozumiem, że nie przemawiał przez ciebie paternalizm i protekcjonalizm. Że koncepcja polskiego doświadczenia Zagłady jako traumy to nie jałmużna dla Polaków, lecz próba ratowania własnej wiary w najbardziej podstawową podstawę, tak?

MCS: Trochę dyplomacji może w tym było, ale zasadniczo nie chodziło o dyplomację. Chodziło o ratowanie minimum, o ocalenie przestrzeni, w której jeszcze w ogóle możemy być ludźmi.

EJ: Bo ten manewr z traumą można było odebrać – i tak go odebrałam – jako postawienie sprawy w taki sposób, że Polaków należy traktować jak Polaków. Polak jaki jest, każdy widzi. Polacy to Polacy i więcej nie mogą niż mogą. Nie mogą i nie będą mogli. Partnerska rozmowa z nimi nigdy nie będzie możliwa, więc zamiast traktować ich jak wszystkich innych, należy się cieszyć, że – i tu sakramentalna formuła, na którą mam alergię skórno-oddechową – „jak na Polskę to nieźle”.

MCS: Nie, przede wszystkim chciałem ratować wiarę w sens. Możliwość wiary w możliwość sensu.

EJ: Ale może nie trzeba z niej rezygnować? Tylko należy ją zorientować w przód, a nie projektować w tył. Co się stało, to się nie odstanie. Nie mamy na to wpływu. Mamy wpływ na to, co teraz z tym robimy. Z tym i wobec tego. To realnie od nas zależy. Wariant, o którym

mówię, wcale nie jest pesymistyczny. Opiera się na wzięciu odpowiedzialności i odzyskaniu sprawczości – po angielsku to się nazywa *agency*. Bez tego nie ma wzajemnego upodmiotowienia. Bo nie upodmiotowisz drugiego i drugiej, jeśli sam siebie nie upodmiotowisz.

MCS: Jak ja mogę uwierzyć, że ludzie w autobusie czy w tramwaju, czy w pociągu są w stanie powiedzieć, że Hitler, co jak co, ale zrobił jedną dobrą rzecz, a mianowicie porządek z Żydami?

EJ: Wiedzą, że nie zostaną napiętnowani. A ci, których to rani, wiedzą, że nie mogą się odezwać. Chodzi odpowiednio o społeczno-kulturową prawomocność i brak takiej prawomocności.

MCS: I to jest pytanie!

EJ: To jest pytanie, czy to jest odpowiedź?

MCS: Nadal pytanie, powiedziałbym. Rzeczywiście, czytając ciebie i młodych polskich historyków zaczynam mieć konstruktywne wątpliwości w związku z niektórymi moimi założeniami. Tomek Pietrasiewicz, założyciel Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”, namawia mnie na kolejne wydanie książki. Nie tylko zresztą on. Po latach rzecz wymaga jednak uaktualnienia. *Pamięć nieprzyswojona* kończy się przecież na pięćdziesiątej rocznicy wyzwolenia Oświęcimia czy – jak się teraz mówi – Auschwitz-Birkenau. Po pierwsze zatem trzeba dopisać ostatni rozdział poświęcony pracom Grossa i reakjom, jakie wywołały. W moim odczuciu publikacja *Sąsiadów* i debata jedwabieńska były polskim ekwiwalentem sprawy Dreyfusa. W drugiej kolejności natomiast – i to będzie trudniejsze – należy zrewidować całą podstawę czy ramę koncepcyjną *Pamięci nieprzyswojonej*. Będę musiał wrócić do trzeciego rozdziału i odnieść się do teorii traumy i do kategorii świadka. To wymaga jeszcze przemyślenia, ale jakoś skłaniam się teraz ku proponowanemu przez ciebie odrzuceniu interpretacji traumatycznej, która w tej formie nie bardzo tutaj pasuje. A tego świadka trzeba co najmniej umieścić w cudzysłowie. Najważniejsza w tej chwili jest próba odpowiedzi na pytanie, co dla rozumienia sytuacji wynika z najnowszych badań prowadzonych w Polsce. Obawiam się tylko reakcji czytelnika amerykańskiego, który powie: „Ależ tak, wszystko to wiemy, już wcześniej wiedzieliśmy”.

EJ: „– A co za nieszczęście! / Wykrzyknęła Lara, bo nie jest bez serca” (Keff, 2008, s. 16). Chodzi o Larę Croft, oczywiście.

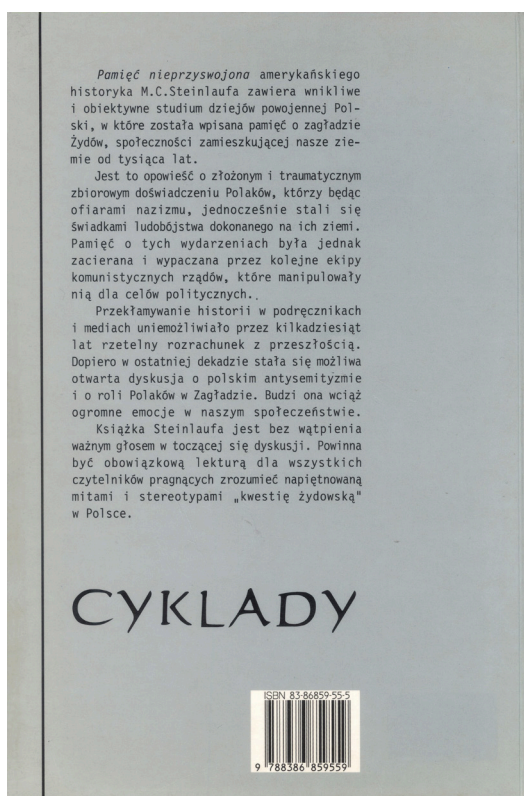
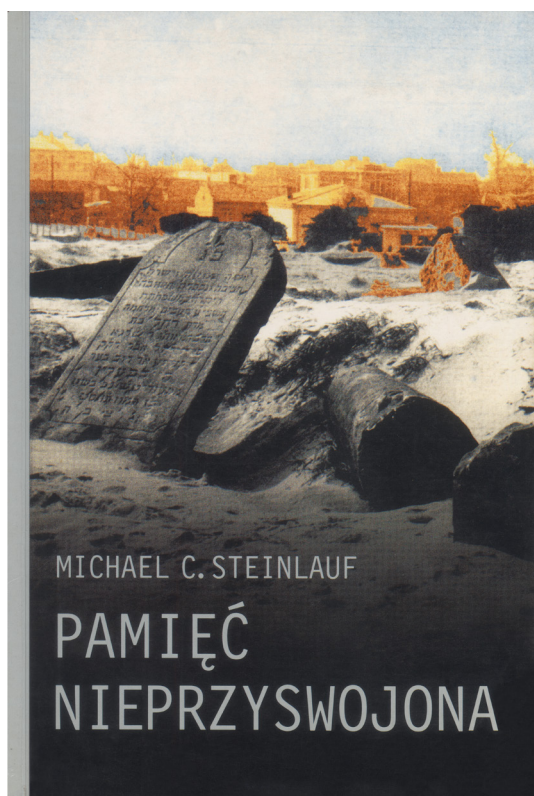
MCS: Muszę wyrazić ci uznanie, że zaczynasz się odnosić do kultury popularnej. Przyznasz, że to daje dobre rezultaty.

EJ: Czy ten „czytelnik amerykański”, o którym mówisz, ma coś wspólnego z fantazmatyczną figurą „Żydów nowojorskich”? Bo „Żydami nowojorskimi” lubi straszyć Adam Michnik, gdy wyczerpią mu się argumenty. Czasem nawet potrafi zawezwać na rozmowę i perswadować: „Ty sobie nie zdajesz sprawy z tego, co mówisz, piszesz i ogólnie wyczytniasz. Ty nie znasz Żydów nowojorskich!”. To jest Adam Michnik, który co rusz deklaruje: „Na Polaku pochodzenia żydowskiego – takim jak ja – spoczywa dodatkowy obowiązek zwalczania stereotypu Polaka jako «genetycznego antysemitę». [...] Jest to powód moich

bardzo stanowczych polemik z żydowską społecznością w Ameryce i Europie, gdzie ów stereotyp jest silnie zakorzeniony” (cyt. za: Beylin, 2014, s. 25). Z tym genetycznym antysemityzmem to intelektualna nieuczciwość i odwracanie kota ogonem, bo żaden z liczących się uczestników debaty – z Icchakiem Szamirem na czele – nie twierdził i nie twierdzi nic podobnego. Nie chodzi o kod genetyczny. Chodzi o kod kulturowy. O socjalizację. Ciekawe, że zranionych i oburzonych tak bardzo boli polski uszczerbek na reputacji. Jednocześnie zaś umyka ich uwadze, że polscy sąsiedzi obrabowali i zamordowali rodzinę Szamira. Szamir wykopał z przydomowego ogrodu zwłoki ojca – bez głowy. Na to jednak jakoś nie ma miejsca w opowieści o tym archetypalnym polakożercy.

MCS: Przyznam, że nie wiedziałem o losie rodziny Szamira. Rozumiem teraz lepiej, skąd jego wypowiedź. Niemniej muszę wrócić do tego młodego podróżnika z Polski, który nie rozumie, dlaczego to jego uważają za wrodzonego antysemitę, a nie na przykład Niemca.

EJ: Dzieje się tak, ponieważ planetę opanował spisek antypolski. Proste. A serio? Przecież ty sam objaśniasz w *Pamięci nieprzyswojonej* zasadę działania perspektywy polonocentrycznej, w której Zagłada została „na płaszczyźnie emocjonalnej [...] przekształcona w niemiecko-żydowski spisek wymierzony przeciwko Polakom. [...] Znaczeniem Zagłady stało się prześladowanie Polaków przez Zagładę” (Steinlauf, 2001, s. 102). Zgadzam się z tobą w zupełności, jeśli o to chodzi. W takim właśnie świecie urodziłam się i wyrosłam.



Pierwsza i czwarta strona okładki książki: Michael C. Steinlauf, *Pamięć nieprzyswojona*. Polska pamięć Zagłady, przekład Agata Tomaszewska, Wydawnictwo Cyklady, Warszawa 2001. Na okładce przetworzony graficznie fragment zdjęcia przedstawiającego cmentarz żydowski w Karczewie autorstwa Moniki Krajewskiej – pierwodruk zdjęcia w albumie, który w latach osiemdziesiątych zyskał sobie miano kultowego (Krajewska, 1982, s. 59) (fot. Elżbieta Janicka)

Pamięć nieprzyswojona po raz drugi

MCS: Było i nadal pozostaje dla mnie zaskoczeniem, że do *Pamięci nieprzyswojonej* nie odniósł się żaden z moich przyjaciół, którzy tworzyli czy odtwarzali żydowskie życie w latach osiemdziesiątych. Oni byli moimi przewodnikami. Od nich dowiadywałem się, czym jest Polska. Przyznam, że z niecierpliwością oczekiwałem, co powiedzą. To są wszystko ludzie piszący i publikujący. Tymczasem ani jeden się nie odezwał. Nie było dyskusji. Książka ukazała się i przepadła. Czyżby uznali, że jest niewarta komentarza? Pisałem przecież o naszych wspólnych sprawach. Do dzisiaj tego nie rozumiem.

EJ: Też się nad tym zastanawiam.

MCS: To jest szersza sprawa. Tu nie chodzi o jednego człowieka, tylko o środowisko. Powiedziałbym, że – obok Jurka Halbersztadta – w pisaniu towarzyszyli mi Paweł Śpiwak, Staszek Krajewski i Kostek Gebert. Kostek ofiarował mi wiele pozycji ze swojego zbioru wydawnictw podziemnych. Na tej podstawie opisywałem później stosunki Solidarności z Żydami. Z nimi wszystkimi gadaliśmy o tych rzeczach całymi godzinami, jeśli nie całymi dniami. Aż przedstawiam syntezę i nic, cisza. Cisza po wydaniu angielskim, cisza po wydaniu polskim.

EJ: Polskie wydanie zbiegło się z publikacją *Sąsiadów* Grossa też jakiś czas ignorowaną przez wiodące środowiska intelektualne, w tym – programowo – przez „Gazetę Wyborczą”. To prasa lokalna i wcale nie tak znane dziennikarskie nazwiska nie odpuściły i zaczęły drążyć sprawę. A potem debata o *Sąsiadach* usunęła w cień wszystko inne.

MCS: Ale *Pamięć nieprzyswojona* – jako *Bondage to the dead* – wyszła po angielsku w 1997 roku (por. Steinlauf, 1997), a to są wszystko ludzie świetnie znający angielski. Rok później „Gazeta Wyborcza” opublikowała rozdział o okresie powojennym we własnym tłumaczeniu (Steinlauf, 1998)⁵⁰. Zero reakcji.

EJ: A może twoja książka wypowiadała to, co w tamtym czasie było społeczno-kulturową oczywistością, i w tym sensie była nieproblematyczna? Może po jej lekturze można było poczuć się komfortowo i bezpiecznie? Bo temat nie jest bezpieczny i nie jest komfortowy, a tu nagle czytelnik widzi wszystko zaokrąglone, uzasadnione, wpisane w wahadłową strukturę spod znaku „tak, ale” i „niemniej jednak”. Choć przyznam, że niektóre fragmenty do dzisiaj śnią mi się po nocach, jak ten, w którym piszesz, że polskie państwo podziemne było pierwszym w historii spełnieniem ideału Polski dla Polaków. Jak można było coś takiego zignorować? Choć mogło być i tak, że ponieważ w Ameryce panował po tej publikacji spokój, uznano, że również w Polsce można spać spokojnie. Bo tu jednak istnieje kompleks prowincji i z suwerennością intelektualną bywa różnie. To nie dotyczy wszystkich, podkreślam, ale w debacie publicznej zupełnie serio funkcjonuje argument „Co zagranica o nas powie?”. Jeśli więc mityczna zagranica puszcza rzecz

⁵⁰ Tłustym drukiem wybito: „Polacy byli tylko świadkami Zagłady, a mimo to wywołała ona w nich poczucie winy wobec Żydów. Było to tak mocno tłumione i wypierane, że musiało dać znać o sobie w osobliwej, niszczącej formie – pisze Michael C. Steinlauf” (Steinlauf, 1998, s. 22).

plazem, nie ma powodu do niepokoju. Ogólnie jednak twoja książka wydaje się działać samouśmierniająco. Z jednej strony w wielu miejscach narusza „pułap prawdy” możliwy do zaakceptowania w myśl ówczesnego konsensusu. Z drugiej jednak unieszkodliwia „wystające” fakty przy pomocy narracji szeroko w Polsce znanej i lubianej. „Pułap prawdy” to znowu sformułowanie Feliksa Tycha⁵¹.

MCS: Martwiłem się, że nikt mojej książki nie przeczytał, ale jak ktoś w końcu przeczytał – mam na myśli ciebie – to nie wiem, czy jestem taki znowu zadowolony.

EJ: A co pomyślałeś, gdy z recenzji Dariusza Stoli dowiedziałeś się, że bardzo zgrabnie wymijasz ładunki wybuchowe, którymi usiane jest pole minowe polsko-żydowskiej historii, dzięki czemu każdy może pozostać przy swoim? To miał być komplement. Choć równocześnie zostałeś skarcony, że za los Żydów w Polsce po 1945 roku niewystarczająco winisz i ganisz komunistę, którego ofiarą był wszak również naród polski. Recenzent uznał, że – mimo twoich wysiłków, które dostrzegł i pochwalił – prawda leży u ciebie niedostatecznie po środku (por. Stola, 1997)⁵².

MCS: Teraz, gdy to słyszę, zapala mi się czerwone światło. Wtedy jednak chodziło mi o to, żeby czytelnicy wytrzymali. Żeby dali radę to przeczytać, i w konsekwencji ruszyć dalej z namysłem nad całokształtem.

EJ: Tylko nie wiem, czy z twojej książki wynika, że całokształt wymaga dalszego namysłu. Zofia Wóycicka, recenzentka wersji polskiej, czyni z tego wręcz zarzut twojemu wywodowi: „Teza, że źródłem dość powszechnej w powojennej Polsce niechęci wobec Żydów była trauma wywołana faktem świadkowania Zagładzie oraz wynikające z niej poczucie winy, niejako zwalnia Polaków od odpowiedzialności. [...] W toku dalszych badań może się więc okazać, że zarysowany przez Steinlaufa obraz postawy Polaków wobec Żydów podczas wojny jest zbyt pozytywny. [...] Gdy czytam ostatni rozdział książki Steinlaufa, nachodzi mnie jeszcze jedna smutna refleksja, że jej autor być może również zbyt optymistycznie ocenił przyszły rozwój sytuacji w Polsce” (Wóycicka, 2002, ss. 178, 179).

MCS: Moją intencją było dotrzeć i do Polaków, i do Żydów.

EJ: I tym sposobem nie dotarłeś ani do Żydów, ani do Polaków...

MCS: Nie zgadzam się. A ty uważasz, że dotarł sposób Grossa, odebrany jako agresywny? Nie mówimy teraz o Grossie, tylko o recepcji Grossa.

EJ: Możemy zatem zgodzić się, że agresja w tym wypadku tkwi w oku patrzącego.

MCS: Gross mówi, że proces, który doprowadził do zbrodni, i zbrodnia nie miały żadnego uzasadnienia i żadnego usprawiedliwienia. A Polacy – w swoim mniemaniu – mają na swoje usprawiedliwienie cały szereg przyczyn i bardzo złożone okoliczności. W tym sensie Gross nie liczy się kompletnie ze stanowiskiem i przekonaniem Polaków.

51 „[N]iektórzy historycy bardzo bronią swojej *chasse gardée*, zastrzeżonego dla siebie terenu polowań oraz wyznaczonego przez nich samych pułapu prawdy” (Tych, 1999, s. 160).

52 W Polsce ukazało się także omówienie wydania angielskiego, niezawierające elementu oceny (por. Melchior, 2000).

EJ: Większości Polaków. Nie wszystkich. Gross odmawia uznania racjonalizacji za przyczynę. Odmawia uznania racjonalizacji za rację.

MCS: To jest wkroczenie na wojenną ścieżkę.

EJ: Zgadzam się. Mówienie do Polaków jak do ludzi to jest *casus belli*. To jedno z niekwestionowanych osiągnięć polskiej kultury dominującej i większościowej. Gross odmawia rozmowy na warunkach dyktowanych przez polską większość, choć i u niego można natrafić na elementy propolskiego czy prochrześcijańskiego *wishful thinking* (por. na ten temat: Janicka, 2008). Zasadniczo jednak myśli i mówi, jak gdyby nie był poddany większościowej przemocy symbolicznej. Koronnym tego przykładem jest tekst, który opublikował w słynnym numerze „Aneksu” z 1986 roku: *Ten jest z ojczyzny mojej..., ale go nie lubię* (Gross, 1986). Skrupulatnie w swoim czasie przemilczany. Za bohatera numeru został wówczas uznany Aleksander Smolar z esejem *Tabu i niewinność* utwierdzającym większość dominującą w jej przekonaniach.

MCS: Wielu polskich – i nie tylko polskich – historyków zarzuca Grossowi, że nie chce widzieć kontekstu.

EJ: A mnie się wydaje, że jego głównie interesuje właśnie kontekst – bardziej społeczny zresztą niż kulturowy. Kulturowy, owszem, też. Generalnie jednak po Grossie krytyka kultury jest nadal do przeprowadzenia – na przedłużeniu tego, co już dokonane (np. przez Marię Janion), i tego, co w toku (w wykonaniu np. Joanny Tokarskiej-Bakir). Gross odmawia przyjęcia za kontekst tego, co narracja antysemitcka przedstawia jako kontekst: tzw. konfliktu ekonomicznego, tzw. żydokomuny, tzw. nadreprezentacji. Tego przynajmniej dotyczy zarzut braku kontekstu stawiany Grossowi w Polsce. Dla wrażliwości większościowej nieznośne jest także ujawnienie nierównoprawnego statusu większości i mniejszości, czyli braku symetrii w położeniu obu grup.

MCS: Dalej krytycy Grossa twierdzą, że nie ma u niego niuanse.

EJ: Wydaje mi się, że tu się włącza mechanizm dyskwalifikujący spod znaku „pochopnego uogólnienia”. Ale musielibyśmy podyskutować z tekstami w rękę. Mnie w każdym razie wydaje się, że u Grossa niuanse jest. Zresztą, o czym przekonałam się na podstawie własnych badań, im więcej niuanse, tym gorzej wygląda całokształt.

MCS: Jakoś chyba chciałem ustrzec się zarzutów, które spotkały Grossa. Bo jaki to ma sens? Dokąd to prowadzi? W takiej atmosferze jakakolwiek rozmowa przestaje być możliwa.

EJ: I to jest sedno sprawy! Właśnie o tym trzeba mówić! Cierpliwie nazywać, pokazywać i analizować, dlaczego i wskutek jakich mechanizmów rozmowa nie jest możliwa, a to, co jest, nie jest żadną rozmową. I że to coś może się toczyć wyłącznie dopóty, dopóki perspektywa jednej strony jest przez obie strony uznawana za oczywistą, przezroczystą i bezdyskusyjną. Trzeba tę przemoc odłonić. W przeciwnym razie nigdy z tego nie wyjdziemy.

MCS: To już jest zadanie dla ciebie i takich jak ty.

EJ: Może nawet zgadzam się z tobą, wyjątkowo. Tylko że wtedy włączasz się ty i tacy jak ty z zapewnieniem, że Polin i *Paradisus Iudaeorum*. Sorry, ta karykatura ci się nie należy, ale „My ending is despair”, jak by powiedziała Myszka Miki⁵³.

MCS: W ramach dygresji powiem coś, co może sprawi ci ulgę. Żydowski uciekinierzy z Europy Wschodniej nie znosili Żydów, których zastawali w Ameryce. Wiesz, jak ich nazywali? *Allrightniks*. I ty właśnie o tym mówisz w tej chwili, prawda? A teraz posłuchaj. W całej tej sprawie dotykamy pytania: ciągłość czy nieciągłość? Czy Zagłada to zerwanie z całą wcześniejszą kulturą czy też jej przedłużenie? Jeżeli przedłużenie, to z czym w ogóle wyjść do ludzi, którzy żyją w przedłużeniu tego przedłużenia? I kim się jest samemu, jeżeli się taki krok podejmuje? Coś trzeba przyjąć za dobrą monetę.

EJ: Złotą monetę. Z żydowskiego złota. Żydek z pieniążkiem! Żydek z pieniążkiem z tych obrazków, które dzisiaj w Polsce można kupić dosłownie wszędzie i które dzisiejsi Polacy – przytłaczająca większość – wieszają sobie w domach, oczywiście w najlepszej wierze, na szczęście.

MCS: Sama widzisz. Dla ciebie kontynuacja jest tu niemal namacalna, mówisz nawet o możliwości logicznego i moralnego uzasadnienia Zagłady w kategoriach kultury dominującej teraz i wtedy.

EJ: I uważam, że z tego można wyjść. Nie jesteśmy skazani na to błędne koło. Owszem, jakoś chyba wyobrażam sobie, co czują ci, którzy tego nie widzą czy też odmawiają zobaczenia. Należysz do tych drugich, prawda? Pytam jednak o konsekwencje takiej postawy. Pytam o konsekwencje, a jednocześnie uważam, że powinno się stale pamiętać i starać mówić o uczuciu, które towarzyszy tej odmowie.

MCS: Bo mnie jest bliskie podejście, które Zagładę uznaje za rzecz niewyobrażalną, za zerwanie historii nie tylko polsko-żydowskiej, ale w ogóle ludzkiej.

EJ: Jednocześnie w Gratz College kierujesz programem *Holocaust and Genocide Studies*, siłą rzeczy komparatystycznym, bo dyscyplina *Holocaust and Genocide Studies* powstała w związku z refleksją nad Zagładą.

MCS: Tak, bo z drugiej strony mówię: „Holocaust happened in history”. Chcąc zrozumieć Holokaust, musisz badać historię. Tak. A jednocześnie w tym badaniu dochodzisz do momentu, w którym musisz przestać rozumieć. Tak twierdzi również Friedländer w swoich kluczowych pracach (Friedländer, 1997, 2007). Dochodzisz i musisz dojść do punktu, w którym już nie znajdujesz słów, ani jednego słowa. Ja uważam, że Zagłada stanowi elementarne zerwanie całej historii ludzkiej.

EJ: Ludzie to zrobili.

MCS: Właśnie tego nie można zrozumieć, że – jak mówi wasza pisarka Zofia Nałkowska – zrobili to ludzie ludziom.

53 „And my ending is despair” to słowa wypowiedane przez Prospera w epilogu *Burzy* Williama Szekspira (wers 15).

EJ: A może ludzie ludziom by tego właśnie nie zrobili? Henryk Grynberg i Marek Zaleski dyskutowali, czy zrobili to ludzie ludziom, czy może ludzie Żydom. Kinga Dunin natomiast doszła do wniosku, że jeśli chodzi o sytuację w okupowanej Polsce na obrzeżach Zagłady przemysłowej, to jednak prawdopodobnie zrobili to Polacy Żydom, jeśli nie Polacy ludziom (Grynberg, 1984b, s. 133)⁵⁴.

MCS: Ale to nie było nieuniknione!

EJ: Nie było nieuniknione. Nie było też jednak przypadkowe. Rozegrało się we wnętrzu jakiejś tkanki społecznej, a zrobili to ludzie, którzy nie pochodzili z Marsa, lecz z wnętrza jakiejś kultury. Takie postawienie sprawy pozwala rewidować tę kulturę. Przede wszystkim zaś nakazuje nie powtarzać gestów o zbrodniczym potencjale, ale do tego w Polsce – na poziomie polityki tożsamości, polityki historycznej, tak w debacie publicznej, jak w edukacji – jeszcześmy nie doszli, a nawet mamy znaczny regres w tym zakresie. Rewizja kultury ruszyła, ale jak dotąd pozostaje bez wpływu na nurt większościowy.

MCS: Polska ogromnie się zmieniła przez tych trzydzieści lat. Na lepsze. Tak to wygląda w odczuciu amerykańskiego Żyda, który kocha Warszawę. Fascynacja kulturą żydowską jest powszechna i widoczna gołym okiem.

EJ: Kulturą żydowską czy tym, co grupa większościowa wyobraża sobie jako kulturę żydowską?

MCS: Już sama fascynacja jest istotna. Trzeba nią tylko umiejętnie pokierować. Czymkolwiek by to było, zmiana jest ogromna w stosunku do sytuacji, którą pamiętam z lat osiemdziesiątych, kiedy nie było nic. Lepsze coś niż nic. I nawet nie chodzi o to, że „jak na Polskę to nieźle”. Polskie festiwale kultury żydowskiej są największe ze wszystkich.

EJ: A jakość tej propozycji?

MCS: Poziom festiwalu w Krakowie jest akurat bardzo wysoki. Jakość muzycznych i kulturowych kompetencji Janusza Makucha oraz jego ekipy jest nieskazitelna.

EJ: Mnie nie chodzi o ilość i jakość mierzone kwalifikacjami wykonawców, liczbą sprzedanych biletów i metrami bieżącymi kablami potrzebnymi do nagłośnienia.

MCS: To nie wiem. Nie wiem też, jak to badać. Prawdopodobnie oddziaływanie tych imprez nie jest zbyt głębokie, ale energia, którą wytwarzają, jest jednoznacznie pozytywna. Do mnie przemawia sam fakt istnienia tylu festiwali kultury żydowskiej w Polsce i to, że ich odbiór jest tak entuzjastyczny. Aż czerpię entuzjazm z tego entuzjazmu.

EJ: Czy to nie jest forma uzależnienia od zewnętrznego oka i zewnętrznej energii? I czy to nie jest ryzykowne? Ten entuzjazm jest przecież warunkowy.

MCS: Posłuchaj, ja to rozumiem jako kontynuację i jako zwycięstwo tego, co nieśmiało kiełkowało w latach osiemdziesiątych i czego przez moment byłem częścią.

⁵⁴ Por. także w tym samym zbiorze: Grynberg, 1984a. Ponadto zaś: Zaleski, 2000; Dunin, 2004.

EJ: Yechiel Weizman, doktorant Zakładu Historii Żydowskiej Uniwersytetu w Hajfie, widział, jak tańczył na placu Wolnica w Krakowie pod płaskorzeźbą przedstawiającą Żydów przypadających do rąk anioła w koronie króla Kazimierza Wielkiego. Chodzi o dzieło Henryka Hochmana z 1907 roku zatytułowane *Przyjęcie Żydów do Polski w średniowieczu*. Tej płaskorzeźby po wojnie nie było, ale przywrócono ją w 1996 roku.

MCS: I nie spodobało mu się, że tańczyłem?

EJ: Powiedział, że świetnie tańczysz. Nie mógł oderwać oczu.

MCS: To bardzo mu się nie spodobało, ja widzę. Jego ironiczne podejście sprawia, że zaczynam lepiej rozumieć, o co chodzi. Lata temu podstawową lekturą był dla mnie *Człowiek jednowymiarowy* Herberta Marcusego (por. Marcuse, 1964; wydanie polskie: Marcuse, 1991). Czytając łącznie Marksa i Freuda, Marcuse rozwija w tej książce pojęcie *repressive desublimation*, aby zrozumieć nowy etap powojennego kapitalizmu. Klasyczny kapitalizm wymagał represji przyjemności, szczególnie seksualnej. W nowej fazie jest wręcz odwrotnie. Ale ta erupcja nie pozwala zobaczyć sytuacji realnego, trwającego nadal zniewolenia. Wszystko zatem, co ja uważam za postęp w tej nowej Polsce, ty uważasz za dalszy ciąg zwycięstwa i dominacji większości nad mniejszością, czyli dalszy ciąg represji. Ale ja – mogąc być jedną nogą w Polsce, drugą w Ameryce – postrzegam na przykład ten taniec bardzo prosto i bezpośrednio, nieironicznie. Być może dobrze jest mieć w kieszeni amerykański paszport nie tylko w komunizmie...

EJ: Musiałabym przeczytać *Człowieka jednowymiarowego* raz jeszcze, bo teorię krytyczną czytaliśmy z Katarzyną Rosner niemal całą na raz, gdy w Polsce nastąpił wysyp przekładów szkoły frankfurckiej. Nie do wszystkich lektur udało mi się później wrócić. Ale twój opis sytuacji jest mi w dużej mierze bliski. Dodałabym jeszcze brak wsparcia dla prób rewizji kultury, czyli usiłowań emancypacyjnych. Zwolenniczkę i zwolenników rewizji i emancypacji ośmiesza się i marginalizuje. Ale co tam rewizja i emancypacja! Dostatecznie osamotnieni są ci, którzy ograniczają się do postulatu podejścia rozumiejącego. Wystarczy, że zajmują się żydowską historią i kulturą dla nich samych, bez okazywania troski i współczucia chrześcijańskiej publiczności. Centrum Kultury Jidysz, prowadzone przez zespół świetnych badaczek, ledwo dyszy. Ich kwartalnik „Cwiszn” właśnie został zawieszony. Dwumiesięcznik „Midrasz” nie jest pewien dnia ani godziny. Spójrz na ŻIH miażdżony przez MHŻP, także jeśli chodzi o dostęp do publicznych pieniędzy. A wracając do tego, co nazywasz zainteresowaniem kulturą żydowską: jak w tym kontekście rozumieć procesy, które zachodzą w przestrzeni publicznej miast i miasteczek? Mam na myśli symboliczne zagospodarowanie terenu – na przykład tego, co w odniesieniu do Warszawy Jacek Leociak nazwał miejscem-po-getcie.

MCS: Wiesz, nie śledzę tego z bliska. Nie wiem, jak to rozumieć. Faktycznie byłem teraz na Okopowej i widziałem ten plakat na murze.



Reklama filmu Jana Komasy *Powstanie warszawskie* (2014): „Pierwszy na świecie dramat wojenny non fiction *Powstanie warszawskie* – zobacz prawdziwy obraz powstania”. Na plakacie logotypy Muzeum Powstania Warszawskiego, spółki dystrybucyjnej Next Film i Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej – wejście na Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej w Warszawie, 1 lipca 2014 (fot. Elżbieta Janicka)

EJ: Przy bramie cmentarza żydowskiego wisi plakat z kotwicą Polski Walczącej reklamujący film *Powstanie warszawskie*⁵⁵. Jak zawisł w kwietniu, tak wisi czwarty miesiąc, co niespotykane w branży reklamowej⁵⁶.

MCS: Zauważyłem to, ale nie wiem, co to znaczy.

EJ: Na tym murze nie wisił nigdy żaden plakat. Ani komunistyczny, kiedy władza była u władzy, ani antykomunistyczny, kiedy traciła i straciła władzę.

MCS: Dziwne.

EJ: To jest mur cmentarny, a nie powierzchnia reklamowa.

MCS: Szczęśliwie w środku już nie musisz na to patrzeć.

EJ: Wyobrażasz sobie taką sytuację w układzie odwrotnym?

MCS: Że reklama filmu o powstaniu w getcie zawisa na murze katolickich Powązek? Wykluczone! Ale może Szpilman wyraził zgodę⁵⁷?

EJ: Bardzo możliwe. A mógł nie wyrazić?

MCS: Chyba mógł. Chociaż to by mogło zostać źle zrozumiane. Ale, powtarzam, w czym ten plakat przeszkadza? Ostatecznie wisi od zewnętrznej strony.

EJ: Od czegoś trzeba zacząć. Doczekamy jeszcze chorągwi Polski Walczącej na cmentarzu, w środku, bądź spokojny.

MCS: Przesadzasz.

EJ: Cyganka prawdę ci powie.

MCS: Jak ludzie idą na cmentarz, to ich interesuje, co jest wewnątrz, a nie na zewnątrz. Byłem tam z moimi studentami, wszyscy widzieli ten plakat i nikt jakoś nic nie mówił. A z Polakami o tym nie rozmawiałem. To mi wygląda na wewnętrzną polską sprawę. Wiesz, na tym cmentarzu leżą cztery pokolenia Sztajnlauków. I pewnie tyle samo pokoleń Waldów. Przynależę do tego miejsca, przynależę do tej ziemi. Kocham Warszawę i przynależę do Warszawy. Ale Warszawa nie przynależy do mnie!

EJ: Kącik mniejszości wybitnie rymuje się z sublokatorstwem. Takie oplakatowanie czy oflagowanie jest jak dodatkowe przywołanie do porządku. Kącik mniejszości robi się od tego jeszcze bardziej duszny i klaustrofobiczny.

MCS: Ale ja, jako polski Żyd – cokolwiek to dzisiaj oznacza, ale oznacza coś dla mnie – nie odczuwam żadnej klaustrofobii. Ty na to odpowiesz, że przemawia przeze mnie fałszywa, zmistyfikowana świadomość, że sam się okłamuję, że powoduje mną zła wola.

55 Por. film *Powstanie warszawskie* (2014) w reżyserii Jana Komasy.

56 Dziękuję Michałowi Wejrochowi, który o tym naruszeniu poinformował mnie jako pierwszy i którego spostrzeżenia oraz intuicje interpretacyjne pomagają mi nie ustawać w pracy. Dziękuję także Annie Zawadzkiej za metodyczną obserwację terenu dawnego getta.

57 Chodzi o Przemysława Isroela Szpilmana, który od 2002 roku pełni funkcję dyrektora warszawskiego cmentarza żydowskiego przy ulicy Okopowej.



Gettowe pole, czyli masowy grób tysięcy anonimowych ofiar getta warszawskiego z lat 1941–1943: jedna z macew stanowiących część założenia pomnikowego autorstwa Hanny Szmalenberg i Władysława Klamerusa z 1990 roku – Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej w Warszawie, 30 lipca 2015 (fot. Elżbieta Janicka)

„Dotychczasowa bierna śmierć mas żydowskich nie stwarzała nowych wartości – była bezużyteczna” (*Ostatni akt wielkiej tragedii*, „Biuletyn Informacyjny” Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej, 29 kwietnia 1943, nr 17[172] – cyt. za: Szapiro, 1992, s. 69).

„[P]rzy całej swojej wzorcowej demokratycznej strukturze i akcentowanej misji narodowej, a może raczej z tego właśnie powodu «państwo podziemne» przeznaczone było zasadniczo wyłącznie dla Polaków. [...] Silna więź ze społecznością, której broniło, oparta była na wspólnocie kulturowej i więzach krwi, nie na obywatelstwie. Więzy ta sprawiała, że było ono wyrazicielem potocznych postaw, również wobec Żydów” (Steinlauf, 2001, s. 50).

Ale to by oznaczało, że zapominasz, że nie mieszkam w Polsce i nie obowiązują mnie podporządkowanie się waszemu dyskursowi dominującemu. I dlatego czuję się wolny, i działam na podstawie tej wolności. I mam inną perspektywę niż ty.

Ale też przecież widzę, że ten plakat na Okopowej nie został powieszony w dobrej intencji. Gdyby intencja była dobra, to by on tam nie wisiał. Nie odbieram tego może tak dojmująco, ale to jest temat na rozmowę ze Szpilmanem. I z tym, który ten plakat powiesił.

EJ: Jedno uściślenie: ani przez chwilę nie zakładam, że mógłbyś myśleć i działać w złej wierze. Wtedy zresztą sprawa byłaby prosta i jasna, a rozmowa bez sensu, przewidywalna i jałowa.

Chciałabym jeszcze wrócić do kwestii lojalności i obowiązków wobec własnej grupy – w tym grupy uznanej za własną na mocy wolnego wyboru. Czytając twoją książkę, zastanawiałam się, czy w kilku kluczowych momentach nie desolidaryzujesz się z mordowanymi Żydami. Może tak będziemy o nich mówić, bo oni nie wzięli i nie zniknęli, nie przestali istnieć na mocy bliżej nieokreślonej dematerializacji, tylko zostali

wymordowani i teraz rozpościerają się wszędzie wokół. Czy twoja opowieść nie sprzeniewierza się ich doświadczeniu – na tyle, na ile oni to doświadczenie wyrazili, bo jednak wyrazili je w ogromnym stopniu? Sam mówisz, że z tym milczeniem ofiar nie było tak, jak przyjęto się sądzić.

MCS: Chodzi ci o to, że usiłuję wyciągnąć rękę do Polaków?

EJ: Chodzi mi o to, na jakich warunkach usiłujesz wyciągnąć rękę do Polaków.

MCS: Wydaje ci się, że płacę za to zbyt wysoką cenę?

EJ: To mało powiedziane. Może i denuncjowano Żydów – piszesz – ale Stefan „Grot” Rowecki też został zadenuncjowany.

MCS: A nie został? Może Polacy nie cierpieli?

EJ: Ustanawiasz symetrię między zjawiskami, które są nieporównywalne. A raczej powielasz symetrię ustanowioną przez dominujący – wtedy i teraz – polski dyskurs większościowy.

MCS: Jednak wcale nie unieważniam tego, co Gutman i Krakowski nazywają *unequal victims...* (por. Gutman & Krakowski, 1986)

EJ: Na poziomie deklaracji nie unieważniasz, zgoda. Czym jednak skutkuje ustanowienie symetrii losów, a wraz z nią symetrii dyskursów, z których jeden jest przecież wtórny i rywalizacyjny? Znika z pola widzenia niesymetryczność losów, to po pierwsze. Po drugie, znika z pola widzenia wtórność i rywalizacyjność jednego z tych dyskursów. Po trzecie, w polskim kontekście odbiorczym zbliżamy się do punktu, w którym fakty ulegają przekształceniu w opinie.

MCS: Zaraz, zaraz, o co ci chodzi?

EJ: Chodzi mi o to, że opowieść – nazwijmy ją: Gutmana i Krakowskiego – owszem, przedstawiasz. Tyle że na skutek wpisania w symetrię staje się ona niezobowiązująca. Ot, jedni sądzą tak, drudzy inaczej. Jej istnienie przestaje pociągać za sobą konieczność rewizji założeń innych opowieści. Można ją wstawić do kącika mniejszości i sprawa załatwiona. Pozornie dokonuje się zmiana, ale *de facto* wszystko zostaje po starciu.

MCS: Uznałem, że nie można mieć wszystkiego. Na coś trzeba było się zdecydować.

EJ: Gdy pracę emocjonalną wykonuje zawsze tylko jedna strona, nie świadczy to dobrze o relacji. Strona podporządkowana, owszem, musi dbać o samopoczucie strony dominującej, bo jest od niej zależna. Stąd osławiona intuicja. Kobiet i niewolników. Tak było kiedyś. Teraz już nie ma powodu.

MCS: Ale zapominasz, że dla mnie istnieje jeszcze drugi kontekst odbiorczy i drugi odbiorca, mianowicie czytelnicy amerykańscy. Ty byś chciała wszystko od razu, a tu trzeba stopniowo.

EJ: Albo stwierdzenie, że zdemoralizowani Polacy mordowali zdemoralizowanych Żydów – na jednym oddechu. Już pomijam, że mordercy wcale niekoniecznie byli uważani za zdemoralizowanych. Po wojnie broniły ich całe wioski. W dużych zakładach pracy wybuchły strajki w obronie sprawców pogromu kieleckiego. I skąd wiemy, że mordowani Żydzi byli zdemoralizowani? A jeżeli byli, co to zmienia?

MCS: To objaśnia jakos działania Polaków.

EJ: W ogóle czy w ich własnym rozumieniu?

MCS: Niektórzy taką konstrukcją stosują nawet do Niemców, ale w odniesieniu do Niemców to już gruba przesada. A też nie jest łatwo powiedzieć, że istnieli zdemoralizowani Polacy. Polska straszne rzeczy jednak wycierpiąta.

EJ: Ale co z tymi zdemoralizowanymi Żydami?

MCS: Posłuchaj, w Ameryce nikt nic nie wie. Nie wiedzą, co to „Trzynastka”, Judenraty, *Ordnungsdienst*⁵⁸.

EJ: Akurat „Trzynastkę”, Judenraty i *Ordnungsdienst* wymordowali Niemcy. I żebyśmy się czasem nie zdziwili, badając *Ordnungsdienst* i Judenraty. Gutman na przykład zupełnie co innego mówi na ten temat w zależności od tego, czy zabiera głos w kontekście syjonistycznej poprawności politycznej, czy też opowiada o własnym doświadczeniu pracy w warszawskim Judenracie i to gdzie – w Zakładzie Zaopatrzenia (por. Engelking & Gutman, 2013, s. 219)! Nieustępliwy Hilberg ustąpił po lekturze dziennika Czerniakowa⁵⁹. *Ordnungsdienst* warszawski – i nie tylko warszawski – też niespecjalnie przypomina to,

58 „Trzynastka”, Judenraty, *Ordnungsdienst* – w imaginariu większościowym oraz w dominującym dyskursie syjonistycznym niezróżnicowane figury tzw. żydowskiej kolaboracji.

„Trzynastka” – agentura gestapo działająca w warszawskim getcie jako Urząd do Walki z Lichwą i Spekulacją. Mieściła się przy Leszno 13, stąd nazwa.

Judenraty (właśc. *Judenraten*) – niemiecka nazwa tworzonych przez Niemców Rad Żydowskich, czyli organów administracji, które „[p]o utworzeniu gett pełniły funkcje osobnych, w zasadzie nie kontaktujących się ze sobą, zarządów. [...] Zwierzchnictwo nad nimi sprawowały niemieckie władze administracji cywilnej, w większych miastach specjalnie utworzone urzędy; bezpośrednie rozkazy wychodziły też od SS i Gestapo. [...] Uważano, że praca dla Judenratu gwarantuje bezpieczeństwo, nie dotyczyło to na pewno radnych: 80 procent z nich – jako odpowiedzialnych za zachowanie ludności żydowskiej – nie dożyło likwidacji gett” (Szapiro, 2000).

Ordnungsdienst (właśc. *Jüdische Ordnungsdienst*) – Żydowska Służba Porządkowa podległa kolaboracyjnej, polskiej policji, tzw. granatowej. Pod niemiecką komendę przechodziła w danym miejscu w momencie akcji likwidacyjnej. Jej funkcjonariusze z rodzinami ginęli ostatni.

59 Judenraty potocznie postrzegane są przez pryzmat opinii Hanny Arendt, która ich kondycję „odmalowała w jaskrawych barwach jako uwiedzenie mirażem władzy, egoistyczne skorumpowanie i – ostatecznie – zdradę, krótko mówiąc, było to bezwzględne oskarżenie o klęskę moralną” (Browning, 2013, s. 664). Hilberg początkowo również reprezentował punkt widzenia charakterystyczny dla większościowego systemu wartości. Pomijając antysemityzm nieżydowskiego otoczenia i jego rolę w Zagładzie, pisał o ograniczonej skali i efektach żydowskiego oporu. „Biorąc pod uwagę spory dotyczące Judenratów [...], na ironię zakrawa fakt, że to właśnie sam Hilberg był jedyną osobą, która doprowadziła do wydania anglojęzycznej edycji *Adama Czerniakowa dziennika getta warszawskiego* [*The Warsaw diary of Adam Czerniakow: Prelude to doom*, red. Raul Hilberg, Stanisław Staron, Joseph Kermish, Stein and Day, New York 1979; *Adama Czerniakowa dziennik getta warszawskiego 6 IX 1939 – 23 VII 1942*, oprac. Marian Fuks, PWN, Warszawa 1983]. [...] Za pośrednictwem dziennika przewodniczącego warszawskiego Judenratu czytelnik anglojęzyczny zyskał możliwość poznania całkowicie innego [całkowicie różnego od stereotypu – E.J.] człowieka – postać tragiczną, kogoś, kto codziennie toczył pod górę swój głaz Syzyfa, zdając sobie doskonale sprawę, że co noc będzie on spadał w dół. Trawiony poczuciem obowiązku i wolny od megalomanii, Czerniaków trwał w swym beznadziejnym potożeniu, dopóki nie dotarł do granicy, której przekroczyć nie mógł. Gdy zażądano odeń zgody na deportację dzieci żydowskich [w rzeczywistości chodziło o złożenie podpisu na obwieszczeniu o wywózce więźniów getta bez różnicy wieku, płci czy pozycji społecznej – E.J.], postanowił zażyć truciznę. Mamy tu t r a g i c z n e, nie oskarżycielskie, ujęcie «wyboru bez wyboru», przed jakim stanęli przywódcy żydowscy w czasie Zagłady” (Browning, 2013, s. 666).

co o nim wiemy z konspiracyjnych gazetek wydawanych w getcie i z dominującej polskiej narracji. A weź Perechodnika⁶⁰. Ale zostawmy to w tej chwili. We fragmencie o mordowaniu zdemoralizowanych Żydów nie piszesz nic na temat „Trzynastki”, Judenratów i *Ordnungsdienst*. Zdemoralizowani mordują zdemoralizowanych. Zrównanie w demoralizacji zakrywa brak symetrii położenia jednych i drugich na długo przed jakąkolwiek wojną. Nie mówiąc o tym, że w trzeciej fazie Zagłady jedni mieli nad drugimi władzę absolutną. Status tych grup był tak krańcowo nierównoprawny, że bardziej już nie można.

MCS: Tu jesteś raczej przekonująca. Należy jednak dodać, że trzecia faza Zagłady to jest nowa sprawa w historiografii. Zapoznajemy się z nią dopiero ostatnio.

EJ: Coś Ci przeczytam: „[N]ie powinna nas dziwić powszechność donosów, szantaży, rabunków wszelkiego rodzaju oraz przypadków bezpośredniego mordowania Żydów. Ulice w «dzielnicach aryjskich» stały się terenem działania specjalnych gangów szantażystów (tak zwanych szmalcowników), którzy przyglądali się uważnie fizjonomiom i zachowaniom przechodniów w poszukiwaniu potencjalnej ofiary. W lasach chłopci pod eskortą Niemców lub z własnej inicjatywy polowali na Żydów, których zabijali na miejscu lub oddawali w ręce Niemców” (Steinlauf, 2001, s. 53). To napisał w roku 1997 Michael C. Steinlauf. Tak więc zapoznajemy się z tą całkiem nową sprawą dopiero ostatnio na mocy i w ramach „rytuału totalnego zaskoczenia inteligencji polskiej” (por. Janicka, 2008, ss. 246–247). O ile badań wcześniej faktycznie w Polsce nie prowadzono, o tyle prowadzono je gdzie indziej, a w Polsce wiedza na ten temat była powszechna i szeroko utrwalona zarówno na poziomie wieści gminnej, jak i kultury wysokiej. Kolosalna energia szła na rozpraszanie i wszelkiego typu przeciwdziałanie tej wiedzy. A wiedział Wróblewski. Wiedział Halvorsen, gdy rozmawiał z Wróblewskim. Ty sam wiedziałeś, pisząc książkę. Halvorsen wiedział z kultury i społeczeństwa. Wróblewski z własnego doświadczenia. Ty z pierwszej ręki.

MCS: Myślisz o tym, co mama usłyszała wtedy na dachu? Tak, ale znowu muszę ci przypomnieć, że jednemu z uczestników tamtej rozmowy żal było jednak dzieci ginących w getcie.

EJ: „Jednak”. Ale jakoś dał się uciszyć „racjonalnym” argumentem, że z żydowskich dzieci wyrośliby dorośli Żydzi.

MCS: Tak to mama przekazała. Zasadnicza różnica między nami jest taka, że ja mojego rozumowania nie doprowadzam do ostatecznych konsekwencji, jak ty w tej chwili. Bo ty to doprowadzasz do skrajności. Jesteś skrajnie skrajna.

EJ: A ty jesteś skrajnie umiarkowany.

MCS: Chciałem, żeby ludzie tę książkę przeczytali. Żeby przeczytali ją w Polsce i żeby ją przeczytali w Ameryce.

60 Calek Perechodnik (1916–1944) – inżynier agronom, przed wojną właściciel składu materiałów budowlanych, w czasie okupacji funkcjonariusz Żydowskiej Służby Porządkowej w Otwocku. Autor jednej z najbardziej przenikliwych analiz indywidualnych i zbiorowych mechanizmów psychologicznych oraz procesów społeczno-ekonomicznych w okupowanej Polsce w okresie Zagłady (por. Perechodnik, 2011).

EJ: I pisząc książkę, myślałeś, co powiedzą ludzie tu i tam, a nie, jak się rzeczy miały i żeby opis przedmiotu korespondował z przedmiotem opisu?

MCS: Nie pisałem tej książki dla siebie, tylko dla czytelników.

EJ: Mordowanie to jest dno dna. Taki rodzaj dna, gdzie sprawy przestają być skomplikowane. Obowiązkiem każdego jest w tym momencie solidarność z mordowanym, nie wiem... Obowiązkiem jest nierelatywizowanie tego faktu. Bez względu na to, kto do jakiej grupy przynależy i z kim się identyfikuje.

MCS: Tak mówił Edelman. I zgoda.

EJ: Wracam do pytania, które nie może mi przejść przez gardło. Mówiliśmy o zobowiązaniach i lojalności. Mówiłeś, że zobowiązania ma się wobec wszystkich, a w stosunku do własnej grupy odniesienia w szczególności. Potem powiedziłeś, że twoją grupą odniesienia są wymordowani Żydzi. To tak mają wyglądać te szczególne zobowiązania i szczególna lojalność? Nic już nie rozumiem w tym momencie.

MCS: Miałem wątpliwości, pisząc to zdanie. Dlatego o demoralizacji Żydów jest w nawiasie. Teraz napisałbym to inaczej. A może w ogóle bym tego nie napisał? W każdym razie w sytuacji, jaka była, cud, że w ogóle ktokolwiek Żydów ratował. Ci nieliczni tych nielicznych. To jest po prostu cud.

EJ: To jest cud. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

MCS: Ta konstrukcja mogłaby być lepiej pomyślana, ale w końcu jednak nie przepraszam tych, którzy mordowali Żydów. Niedoczekanie. Ale mam pytanie do ciebie. Skoro tak wiele z tego jest dla ciebie nie do przyjęcia, dlaczego tyle czasu i energii poświęcasz mojej książce... no i mnie samemu?

EJ: Po pierwsze, to jest książka paradygmatyczna. Humanistyka w Polsce wykonała następujący manewr: paradygmat traumatyczny wypracowany poza Polską w odniesieniu do ofiar Zagłady przyjęła za swój i odniosła go do grupy zewnętrznej wobec ofiar – dokładnie tak, jak ty to robisz. Ale popularność tej koncepcji nie ogranicza się do gabinetów uczonych płci obojga. Poszły za nią utwory literackie, dzieła sztuk wizualnych, w teatrze *Dybuk* Warlikowskiego chociażby. Kultura popularna nie pozostaje w tyle. „Polska trauma Zagłady” weszła do słownika potocznego. Nie twierdzę, że nie stałoby się tak bez twojego udziału, tylko że twój gest ma walor legitymizacji całego tego przedsięwzięcia. Twoja książka nie dawała mi spokoju, odkąd ukazała się po polsku. Od 2010 roku czytałam ją właściwie w kółko, na wszystkie strony, rozmontowując na czynniki pierwsze, składając na powrót i przyglądając się, jak działa ten mechanizm dyskursywny, z czego się składa i do czego służy. Jakbym wkraczała do laboratorium, a w tym laboratorium do wnętrza maszyny do produkcji nie wiem czego – ozonowanej mgły wywołującej dobre samopoczucie u ludzi pełnych najlepszych intencji?⁶¹ Tylko że tu chodzi o nasze

61 Nawiązanie do projektu *Dotleniacz* Joanny Rajkowskiej (2007). Było to oczko wodne na placu Grzybowski, wyposażone w urządzenie do rozpylania ozonowanej mgły. Por. na ten temat: Matyjaszek, 2013.

życie. O to, jakiego świata chcemy i jaki już tworzymy. Chodzi o to, co się stało, i o to, co z tym zrobiliśmy, robimy i będziemy robić. To po pierwsze. Po drugie, fascynuje mnie poznawczo, jak jest możliwe wyprodukowanie takiej opowieści bez żadnego przymusu, poza uwikłaniem w sieć zależności, z dala od kultury i społeczeństwa, które takiego aktu hołdowniczego wymagają na dzień dobry? Po trzecie, wiosna 2014 roku, dobrze po północy, wbijam ostatnie szpileczki w laleczkę *voodoo* symbolizującą koncepcję polskiego doświadczenia Zagłady jako traumy, dzwoni telefon, w słuchawce odzywa się postać literacka: Michał Sztajnlaufer, bo tak się przedstawił. Jesteś historykiem literatury, więc możesz sobie wyobrazić. Ale co tam literatura! Poczulałam nieprzeparłą chęć dowiedzenia się, kim jesteś, dosłownie wilczy apetyt na rozmowę. Po czwarte, fajnie się z tobą rozmawia, nie trzeba nic udawać. Można mówić o takich rzeczach, co to się o nich zazwyczaj nie mówi, żeby nie robić afrontu w towarzystwie – nieraz nawet naukowym. Po piąte, poświęciłeś mi wiele czasu i energii. Podjąłeś wysiłek rozmowy, która jest wyczerpująca fizycznie i psychicznie. Też mogłabym zapytać, dlaczego.

MCS: Tak, wniknąłem w tę rozmowę głęboko, co należy podkreślić wobec słabości mojej polszczyzny, której nigdy nie używałem w analitycznych rozprawach i którą ty mi następnie poprawiasz. Sprawa szczególnie problematyczna, gdy wdajemy się w polemikę.

EJ: Chodzi o to, żeby tekst odpowiadał twoim standardom językowym, a w tej dziedzinie nie uznajesz kompromisów. Żeby nie zostało ci przypisane nic wbrew tobie, skrupulatnie przestrzegamy zasad autoryzacji. Zależy mi, żeby nie nadużyć twojego zaufania. I pracujemy w reżimie *slow science*. Bez terminów w stylu „dzisiaj do obiadu”⁶². Mamy tyle czasu, ile rzeczywiście nam potrzeba.

MCS: Odpowiadając na pytanie... Po pierwsze, rozmowy z tobą ogromnie pomagają mi w przemyśleniu mojej książki piętnaście lat po ukazaniu się jej polskiego wydania. Są okazją do sporządzenia bilansu tego, co się zmieniło w polskiej historiografii, co się zmieniło w moim myśleniu i co się zmieniło we mnie samym. Zadaję sobie pytanie, jak zsyntetyzować te przemiany w ewentualnej kolejnej edycji. I to się łączy z drugą zaletą naszych rozmów. Bo dyskutujemy tu nie tylko o książce, ale również o moim życiu. Opowiadać własną historię to nie tyle wypowiadać jakąś treść na poziomie faktów, ile poszukiwać jej znaczenia i może nawet celu. To sprawa istotna o tyle, że polegająca na próbie zbliżenia się do istoty rzeczy. I przyznaję, że te rozmowy pomagają mi w poszukiwaniu kształtu własnej opowieści, który mógłbym uznać za odpowiedni. Pomagają mi w nadaniu sensu własnej historii.

⁶² Cytat z filmu *Rejs* (1970) Marka Piwowskiego. Dialog oryginalnie dotyczy wymierzania sprawiedliwości w trybie doraźnym, oddaje wszakże również współczesne realia *fast science*: „Prokurator emeryt: Dobrze. Dobrze. Znaczy... Znaczy, że ja muszę mieć czas, żeby tę sprawę rozpracować [...]. / Gapowicz kaowiec: Dzisiaj do obiadu... Znaczy, do obiadu... No, niech pan się tym zajmie, no. Panie kolego, my nie mamy czasu, no. Nam się to wszystko wymyka z ręki” (scena 17).

Nowy Jork, 17 kwietnia 2015 roku

Mojsze, Michał, Maryś, Michael po raz pierwszy

EJ: Skąd wiedziałeś, że to on?

MCS: [Długa cisza]. Wiedziałem.

EJ: Pamiętasz, kiedy się pojawił po raz pierwszy?

MCS: Logicznie byłoby powiedzieć, że po raz pierwszy pojawił się po śmierci ojca, ale to nie było tak. To sięga dzieciństwa, kiedy się nad tym głębiej zastanawiam. Wszystko to kłębiło się we mnie od samego początku. Z czasem stworzyłem na ten temat, na jego temat, linearną historię – całość, wiesz, z początkiem, środkiem i końcem. Człowiek robi takie rzeczy, kiedy chce jakoś opanować swoje życie. Ułożyłem jego losy w kolejności od urodzenia do śmierci, kiedy miał dwa, może trzy lata.

Wyobrażam sobie, że tamtego dnia ojciec był jak co dzień na placówce, a matka z dzieckiem siedzieli w kryjówce. Nie wiem, co tam się wydarzyło. Wyobrażam sobie, że siedzą w tej kryjówce, pewnie z innymi Żydami, ścisk, gorąco, nieprzytomni ze strachu, akcja szaleje, jest blokada, nastuchują i nagle dziecko zaczyna płakać. I pewnie wyrzucają to dziecko z kryjówki, a ono dalej płacze i woła: „Mamo!”. Po polsku woła, bo mogło wołać tylko po polsku. Czy tak było, nie wiem, ale ta historia wydaje mi się prawdopodobna. Ojciec z tą żoną nie chciał mieć potem nic wspólnego. Uważał ją za winną śmierci dziecka. Mama tak mi mówiła. Ona zresztą, ta żona, przeżyła wojnę i chyba wyjechała do Izraela. A ja długo, długo, bardzo długo uważałem, że noszę w sobie dybuka tego dziecka. Hanna Krall napisała opowiadanie *Dybuk* na podstawie rozmów ze mną, w Warszawie, lata temu, tylko dużo pozmieniała, czasem zupełnie nie do poznania (Krall, 1995; także: Krall, 2009, ss. 92–93)⁶³. Występuję tam jako typowy Amerykanin bez poczucia ironii, co przypomina mi trochę twoje podejście do mnie.

EJ: Znając mnie, mogło być znacznie gorzej. A o utworze Hanny Krall na pewno warto dyskutować, tylko należałoby mieć tekst w ręku.

MCS: Potem była sztuka teatralna *Dybuk* Warlikowskiego na podstawie *Dybuka* An-skiego i *Dybuka* Krall. Nie widziałem tego przedstawienia.

EJ: A ja wolalabym go była nie oglądać. Pomysł ujęcia polskiego doświadczenia zagłady Żydów jako zbiorowej traumy zdecydowanie nie jest dla mnie⁶⁴. Opowiadana przez innych, twoja historia żyje własnym życiem. Trudno ją odzyskać. Fantazmat czy topos dybuka znajduje się obecnie w Polsce pod tak troskliwą opieką, że mysz się nie prześliznie. Nasze zainteresowanie mogłoby mu tylko zaszkodzić. Wróćmy do twojej sprawy z tobą, z ojcem, z Michałem. Czy rzeczywiście chciałeś się od niego uwolnić, a potem – w momencie, gdy miałeś możliwość się z nim rozstać – postanowiłeś go zatrzymać?

⁶³ W obu tekstach Michael C. Steinlauf występuje jako Adam S.

⁶⁴ Por. ujęcie polsko-traumatyczne w recepcji *Dybuka* Krzysztofa Warlikowskiego oraz w tekście: Legutko, 2014 – na podstawie pracy doktorskiej: Legutko, 2012.

MCS: Tak. Tak było. W opowiadaniu Hanny Krall wiele rzeczy się nie zgadza, ale mnich buddyjski, który jest Żydem, akurat tak. I zgadza się, że ów mnich znalazł sposób na mnie czy może na niego, na dybuka, czy może na mnie i na niego, na nas obu. I wtedy postanowiłem okazać mu solidarność. Znaczy się: dybukowi.

EJ: A może w ten sposób okazałeś solidarność samemu sobie? Zasadniczo bardzo w porządku manewr w sytuacji wyboru. Bo to była sytuacja wyboru. Wcześniej nikt cię nie pytał o zdanie w sprawie wyposażenia twojego wnętrza. Tylko czy można przyjąć coś, co jest tak radykalnie nie do przyjęcia? Wybrać narzucone, zintegrować i tym sposobem uzyskać elementarną integralność, której się było pozbawionym właśnie przez owo narzucenie i owo narzucone?

MCS: Może można to opisać w ten sposób. Zwłaszcza, że jestem racjonalistą, materialistą, więc czuję się nieswojo, rozmawiając o jakichś dybukach. Nie, nie o jakichś dybukach. O moim dybuku, o moim bracie, który nie jest żywy, ale jest prawdziwy i nosi – nosił? – moje imię i nazwisko, czy raczej ja noszę jego. Kiedyś to było dla mnie nie do zniesienia. Teraz już się z nim tak nie szarpię o to imię i nazwisko, choć jednocześnie nie wiem, czy tak zupełnie odpuściłem całą sprawę. To zresztą nie jest pretensja do niego, tylko do ojca. Ojciec nigdy mi nie powiedział, dlaczego to zrobił. Nie powiedział nawet, że to zrobił. Żyłem w przekonaniu, że mam imię po dziadku. I faktycznie mam, ale zamiast kogo innego, w miejsce innej osoby, która nosiła je wcześniej, więc to już nie jest imię po dziadku. Co on sobie myślał? Znaczy się: ojciec. Mam żal do niego. Jestem na niego wściekły. Po jaką cholere dałeś mi imię po zamordowanym synu?! Jak można coś takiego zrobić własnemu dziecku?! Tak się nie robi! To nie jest w porządku! Nie jest i nie będzie! Ale mimo wszystko w tej chwili jest już lepiej. Już mnie tak nie rozszarpuje od środka. Bo to było dosłownie, jak gdyby ktoś dodatkowy tkwił i miotał się w moim wnętrzu, i nie mógł się wydostać. Tak mówię, ale też słucham tego, co mówię, i widzę, że to jest rozmowa z wariatem, a nie z poważnym badaczem, specjalistą od historycznej syntezy.

EJ: Co ludzie powiedzą!

MCS: Co ludzie powiedzą – przede wszystkim, właśnie!

EJ: Wyrażasz słuszny gniew z powodu wydrążenia twojej osoby z twojej osoby i wydrążenia twojego życia z twojego życia. Z powodu unieważnienia ciebie jako ciebie. W relacji z ojcem od razu na starcie zostałeś ustawiony – przez ojca – w pozycji niemożliwej: nie byłeś tamtym dzieckiem. Byłeś sobą. Cokolwiek byś zrobił, kimkolwiek byś był, jakkolwiek byś chciał, nie mogłeś spełnić oczekiwania, które nie dawało mu żyć. Ojciec zadał ci niedopuszczalną przemoc, a zrobił to, bo własne cierpienie go przerosło i ubezwłasnowolniło, i wraz z twoim pojawieniem się – i twoim cierpieniem – tylko ogromniało. Twój gniew już nie ma adresata. Rodzice nie żyją.

MCS: Wracamy od nich z cmentarza. I powiem ci, że surrealistycznie wygląda w tym kontekście cały ten Manhattan.



Michael C. Steinlauf przy grobie rodziców – Beth David Cemetery (Reinfeld Circle), Elmont NY, 17 kwietnia 2015 (fot. Elżbieta Janicka)

Częściowo zastąpiony napis hebrajski pod menorą głosi: „Tu spoczywa Dwojra / córka pana Jeszajahu / zmarła 3 dnia miesiąca tewet 5742”. Pod spodem dodano po angielsku: „Doris / beloved wife / devoted mother / February 2 1913 / December 29 1981”. Częściowo zastąpiony napis hebrajski pod gwiazdą Dawida brzmi: „Tu spoczywa Zew / syn pana Mojszego / zmarły 5 dnia miesiąca adar 5727”. Pod spodem dodano po angielsku: „William / beloved husband / devoted father / May 4 1908 / February 15 1967”.

Na drugim planie grób Heleny (*de domo* Wilner) i Eryka Steinlaufów. Napisy hebrajskie głoszą (od prawej): „Tu spoczywa Chaja Bracha, córka pana Jankiewa Awnera”, „Tu spoczywa Arie Jehuda Lejb, syn pana Mojszego”.



Michael C. Steinlauf – Beth David Cemetery (Reinfeld Circle), Elmont NY, 17 kwietnia 2015 (fot. Elżbieta Janicka)

EJ: Rozmowa z rodzicami niekoniecznie musiałyby coś dać. Ojciec był działającym podmiotem, ale widzimy, że nie panował nad sytuacją. Poza tym nie wiemy, co się wydarzyło w tej kryjówce wtedy, w 1942 roku, ani czy on tam był. Nie wiemy, co przeżywał wtedy i później. Nie chcę go usprawiedliwiać, próbuję opisać sytuację.

MCS: Byłem zupełnie sam z tą historią, a właściwie z tą pustką, z tym brakiem historii. Pomyśl, o co chodzi w tym dybuku. To nie jest zwykły dybuk. To jest dybuk dziecka prawdopodobnie wydanego na śmierć. Dziecka, które prawdopodobnie krzychało: „Mamo!” i do którego prawdopodobnie nie przyszedł nikt prócz Niemca. Dziecka, które – sądząc po fotografii – nie było tak bardzo podobne do Żyda, ale dostało kulę w łeb. Albo któremu Niemiec roztrzaskała głowę o ścianę, o schody, o cokolwiek. No nie, chyba go jednak zastrzelili. Na 99% zastrzelili go. To możliwe do wyobrażenia. Albo zabrali na jakąś inną, niewiadomą śmierć. Albo może przeżył, ale wtedy nie byłby dybukiem.

EJ: Jedną ewentualność pominąłeś. I niech tak zostanie. Nie znam się zanadto na dybukach, ale czy nie jest tak, że dybuk klasyczny to taki, który za życia złamał jakiś nakaz albo zakaz? I potem się go używa do dyscyplinowania zbiorowości.

MCS: Właśnie o to chodzi. A tu mówimy o dwuletnim lub trzyletnim dziecku! To o czym my w ogóle mówimy? An-ski przerobił topos dybuka na słodko. Wyszła mu z tego cliwa opowieść. Jego dybuk to romantyczny kochanek. Nie ma w nim tej potworności i przemocy, która stanowi o specyfice dybuków. Bo prawdziwy dybuk jest przerażający. I mój

dybuk jest przerażający. Jeden z moich byłych studentów wydał studium, w którym analizuje korzenie zjawiska sięgające XVI wieku (por. Chajes, 2011; także: Elijah, 2009, 2014; Goldish, 2003; Steinlauf, 2014). Wtedy to w różnych tekstach pojawiają się różne dybuki. Dają o sobie znać w wielu miejscach i są bacznie obserwowane. Mnóstwo roboty mieli ci rabini od egzorcyzmów. Jednego dybuka, pamiętam, pytają, dlaczego stał się po śmierci dybukiem. Na co on, że za życia spał z chłopcami.

EJ: No jasne. Ugodził w podstawową klasyfikację leżącą u podstaw porządku społecznego.

MCS: *Jesziwa bocher. Yeshiva boy.* Ugodził. Wiemy, co myśleć o tej klasyfikacji, ale przynajmniej w cokolwiek ugodził, cokolwiek zrobił. A mały Mojsze, Michał Steinlauf w co takiego ugodził, co takiego zrobił?

EJ: Ugodził w inną klasyfikację.

MCS: Niemiecką.

EJ: Żeby tylko niemiecką.

MCS: Samym swoim istnieniem. To nie jest do pojęcia ani do przyjęcia. Ani to, jak się nami rozporządził ojciec.

EJ: No bo tu chyba w ojcu rzecz. W sam rdzeń twojego istnienia wszczepił przemoc oraz cierpienie, których doznał, a które nie są na ludzką wytrzymałość. Ratunku mogłeś szukać u mamy, wypełnionej rozpaczą i inną tego typu otchłanią. *Survivors* rzadko kiedy są *survivors*. I weź to teraz odwlecz od duszy.

MCS: Na tyle się w tym połapałem, że jednak postanowiłem spróbować wziąć to na siebie i jakoś ogarnąć rozumem. Powiedziałem mu, żeby został. Ale nie wiem, czy tak dobrze dają sobie radę z tą sytuacją.

EJ: Lepiej niż gdybyś go wtedy odesłał?

MCS: Może tak, a może nie. Nie umiem powiedzieć.

EJ: An-ski uczynił z dybuka i kulturowej konwencji opętania medium buntu przeciwko opresyjnemu porządkowi społecznemu. Trochę może szkoda, że główna emancypantka nie uchodzi z życiem z tej emancypacji. To jednak w końcu drobiazg. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. To takie kobiece. To jej dodaje tylko wdzięku. Natomiast nie mogłam uwierzyć, że – niby idąc tropem An-skiego – dybuki pozagładowe próbuje się przeobrazić na źródło pozytywnej energii, moc terapeutyczną, instrument przezwyciężania czegokolwiek. Nie tylko w Ameryce. Także w Polsce. To jednak nie jest twój przypadek.

Na tym kończymy czy dajemy odrobinę jakiejś zbawczej narracji na finał?

MCS: Zaczynam wyglądać już ku starości, wiesz?

EJ: Obawiam się, że w starości też może nie być tak dobrze.

MCS: To może powiedzmy, że – niezależnie od wszystkiego – lepiej, że został.

Warszawa, 6 lipca 2015 roku

Mojsze, Michał, Maryś, Michael po raz drugi

EJ: Jutro minie rok od naszej pierwszej rozmowy. Znowu jest lipiec, upał, Warszawa. Znowu chodzimy boso.

MCS: Po polskiej ziemi.

EJ: Byłabym zapomniata. Sprawę polskości ziemi, tej ziemi, wpisujemy do protokołu rozbieżności. Tu jest zresztą Saska Kępa. Ulica Łotewska. Poprzednio była Litewska. Też ładnie. Chodzimy zatem boso rok później po drugiej stronie Wisły, z widokiem na Pałac Kultury. Wokół pachnie żywą, dziką rzeką. Rozmawiamy nad stertą fotografii i dokumentów, które wydobyleś z kartonu w domu w Pensylwanii. Skąd się u ciebie wzięły?

MCS: Uniwersyteckie papiery mamy pochodzą z Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego. Po raz pierwszy zobaczyłem je w 1983 roku. Ksero było wówczas na wagę złota. Trzeba było mieć pozwolenie na każdą odbitkę. Obawiałem się przyznać archiwistce, po co mi kopie tych dokumentów. W końcu powiedziałem, że Dwojra Wald to moja mama. Warknęła coś pod nosem. Była niezadowolona, że nie powiedziałem od razu. Spójrz, jak pięknie mi wszystko skserowali. Teraz to ksero jest już samo w sobie dokumentem historycznym. I zobacz, ile tu jest wszystkiego. Świadectwo urodzenia 14 lutego 1911 roku w Warszawie z ojca Szai Walda i matki Zysli Wajchenberg. „Akt urodzenia został spisany w księgach metrycznych dla wyznania mojżeszowego w 7 komisarjacie policji państwowej m. stoł. Warszawy”. Mieli osobne blankiety dla wyznania mojżeszowego. Dzisiaj nie opłacałoby się drukować osobnych. Dalej matura z Gimnazjum Żeńskiego Fanny Posnerowej w Warszawie przy Twardej 27. Co tam teraz jest?

EJ: Rondo ONZ. Stacja metra. Skrzyżowanie Jana Pawła II, Świętokrzyskiej i Prostej. Autobusy. Tramwaje. W życiorysie załączonym do podania z 1928 roku o przyjęcie na Wydział Humanistyczny UW Dwojra Waldówna – Grzybowska 17 m. 26 – pisze, że było to gimnazjum humanistyczne.

MCS: Na to wskazują przedmioty egzaminacyjne na świadectwie dojrzałości: religia (nie napisane, jaka), język polski, język niemiecki, historia wraz z nauką o Polsce współczesnej, matematyka. Pozostałe przedmioty: język łaciński, fizyka wraz z chemią, propedeutyka filozofii, rysunek, anatomia. Z religii i propedeutyki filozofii piątki. Trója z niemieckiego. Reszta czwórki. Widzisz, mówiłem. Żadnych żydowskich historii, żadnego hebrajskiego, żadnego jidysz tym bardziej.

EJ: Ale tu jest dokument zatytułowany *Druczek statystyczny*, który Dwojra Waldówna – miejsce zamieszkania rodziców: Nalewki 23 m. 134 – wypełniła w roku akademickim 1933/34. Przynależność państwowa polska. Wyznanie mojżeszowe. Język ojczysty żydowski.

MCS: Chodziło o oficjalne statystyki, na podstawie których państwo miało realizować zobowiązania wynikające z podpisanego w Wersalu traktatu o mniejszościach, bo z tą realizacją było bardzo źle.

EJ: W 1934 roku Polska ten traktat jednostronnie wypowiedziała.

MCS: Działo się coraz gorzej, więc o podawanie jidysz jako języka macierzystego [*sic!*] apelowały żydowskie gazety i organizacje. Stąd rozbieżność między stanem formalnym a faktycznym. Pisze o tym Ezra Mendelsohn⁶⁵. To była deklaracja tożsamości. Mama okazywała w ten sposób solidarność z Żydami. Jidysz nie znała z całą pewnością. Językowo była całkowicie zasymilowana, ale nigdy, przenigdy nie powiedziała o sobie, że jest Polką. Myślę, że mogła się definiować jako polska Żydówka.

EJ: Skąd rozbieżność dat na świadectwie urodzenia i w napisie nagrobnym? W jej polskich papierach jest 1911, na grobie 1913.

MCS: Mama mi kiedyś mówiła, że jej rodzice chcieli, aby przyjęto ją do szkoły wcześniej, niżby wynikało z metryki. Dlatego w papierach pojawił się rok 1911, podczas gdy właściwa data to 1913. Czy to prawda, nie wiem, ale to jedyne, co słyszałem na ten temat.

EJ: A skąd rozbieżność w adresie mamy i jej rodziców?

MCS: Nie mam pojęcia. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby rodzice mogli wypuścić z domu najmłodsze dziecko, nad którym trzęsła się cała rodzina.

EJ: Bo to ma znaczenie dla późniejszych losów rodziny Waldów. Nalewki to duże getto, a Grzybowska – małe.

MCS: Przy czym w chwili wybuchu wojny mama mieszkała na wsi. I chyba już nigdy nie zamieszkała w Warszawie oficjalnie. Jej papiery uniwersyteckie pokazują, że świetnie się uczyła. A w formularzach opłat za studia, wyciągniętych z kwestury, figurują nazwiska jej profesorów: Marceli Handelsman, Stanisław Arnold, Jan Kochanowski, Tadeusz Kotarbiński, Władysław Tatarkiewicz, Stefan Czarnowski, Oskar Sosnowski, Oskar Halecki,

⁶⁵ Pytanie o język ojczysty pojawiło się w spisie ludności z 1931 roku. W sytuacji, gdy język jidysz był – jak oceniano – w kryzysie, jeśli nie w odwrocie (por. wyżej przypis 39), „Ogółem wzięwszy 79,9% polskich Żydów zadeklarowało jidysz jako język ojczysty, a 7,8% postąpiło wezwania ruchu syjonistycznego i podało (niezgodnie z prawdą), że ich językiem ojczystym jest hebrajski. Ci, którzy określili się jako mówiący od urodzenia po polsku, należeli oczywiście do zasymilowanej kulturowo części społeczności żydowskiej w Polsce. [...] Można zauważyć, że nie ma pełnej korelacji pomiędzy wyborem przynależności narodowej i języka ojczystego. [...] Język, którym polski Żyd postugiwał się w domu, w zestawieniu z narodowością, którą zechciał wskazać w formularzu spisowym, oczywiście mówi nam coś o stopniu jego akulturacji i asymilacji. Ale odpowiedzi te nie pozwalają w pełni trafnie przewidzieć jego stosunku do swego żydowskiego pochodzenia i do dylematu bycia Żydem w Polsce” (Mendelsohn, 1992, s. 56).

Na temat danych ze spisu powszechnego 1931 roku Anna Landau-Czajka pisze: „Wobec braku pytania o narodowość wiele osób potraktowało odpowiedź na pytanie dotyczące języka jako możliwość demonstracji swej przynależności narodowej, a więc nie musiało to mieć żadnego odniesienia do rzeczywistości. Jak stwierdził Anatol Mühlstein, właściwie każde wnioskowanie z tych danych statystycznych jest nieuprawnione: «Kiedy w rocznikach statystycznych czytamy, iż w 1939 r. na 3 113 900 Żydów polskich jedynie 381 300 podało język polski jako ojczysty, odnosimy wrażenie, że jidysz utrzymało [*sic!*] swoje pozycje, a rozszerzanie się języka polskiego było nieznaczne. To wielki błąd. Żydzi, którzy wymieniają polski jako swój język ojczysty, przeważnie uznają to za deklarację narodowości. Chcą w ten sposób wskazać, że uważają się za Polaków, a nie za Żydów. Wśród Żydów, którzy wskazują na jidysz jako na swój język macierzysty, jest wielu, którzy w rzeczywistości posługują się polskim, a deklaracje te czynią tylko dla zaznaczenia, że w sferze narodowości uważają się za Żydów» [Anatol Mühlstein, *Dziennik, wrzesień 1939 – listopad 1940*, przekład Dorota Zamojska, redakcja naukowa, uwagi wstępne, indeks biogr. Jan Eugeniusz Zamojski, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999, s. 193]” (Landau-Czajka, 2006, s. 207 oraz cały rozdział trzeci *Język – Jidysz – Imiona*, ss. 206–236). Por. także: Cohen, 2014, ss. 269–275.

6 +

Świadectwo urodzenia

Pobrano cztery złote opłaty kancelaryjnej sądowej.

Księga wpływów № 639

Warszawa, dn. 7 lutego 1928 r.
Zarządzający Archiwum

wydane na zasadzie ksiąg metrycznych
i użytek spisu wojskowego i ksiąg ludności.

Archiwum Akt Stanu Cywilnego przy Sądzie Okręgowym
w m. stoł. Warszawie niniejszem zaświadcza,

że Dwojra Wald

urodziła się w m. st. Warszawie, w domu pod Nr. 286

dnia siódmego lutego n. st.

tysiąc dwieście jedenastego (1911) roku

z ojca Szai Walda

z matki Kysli

urodzonej Wajchenberg

Akt urodzenia został spisany w księgach metrycznych dla wyznania mojżeszowego

w 4 komisariacie policji państwowej m. stoł. Warszawy

dnia 28 lutego roku 1912 pod Nr. 102

№ 639

Wydając niniejsze świadectwo, za zgodność takowego świadczę.

m. st. Warszawa, dnia 7 lutego 1928 r.

Zarządzający Archiwum
Akt Stanu Cywilnego m. st. Warszawy.



[Handwritten signature]

„K A” Warszawa, Marszałkowska Nr. 81a.

639

Świadectwo urodzenia – dokument z teczki studenckiej Dwojry Wald (nr albumu 29425, sygnatura RP 29425)
(© Copyright by Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego)

UNIwersytet warszawski 3 +
Immatrykulowan adn. 24x 1928
jako student ka Wydz. hum.
F. AlB. 29425.

KURATORJUM OKRĘGU SZKOLNEGO WARSZAWSKIEGO
PAŃSTWOWA KOMISJA EGZAMINACYJNA

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI



WALD DWOJRA



urodzona dnia 14 miesiąca Lutego
roku 1911 w Warszawie
województwa Warszawskiego
wyznania mojżeszowego
po ukończeniu nauki w
GIMNAZJUM ŻEŃSKIM
F. Posnerowej
w Warszawie



do której była przyjęta
w lipcu roku 1927 zdawała w maju i czerwcu roku 1928
gimnazjalny zwyczajny egzamin dojrzałości typu humanistycznego wobec
Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, powołanej przez Kuratorjum Okręgu
Szkolnego Warszawskiego
pismem z dnia 30 kwietnia r. 1928 Nr. 3521/128 i otrzymała
następujące oceny ostateczne z przedmiotów egzaminacyjnych:

- z religii bardzo dobrą
- z języka polskiego dobrą
- z języka łacińskiego _____
- z języka niemieckiego dostateczną
- z historii wraz z nauką o Polsce współczesnej dobrą
- z fizyki wraz z chemią _____
- z matematyki dobrą

4

Poza tem uzyskała ostatnie oceny roczne w klasach VI — VIII
(lub odpowiednie oceny na egzaminie wstępnym do wymienionego gimnazjum)
z przedmiotów następujących:

z jęz. łacinskiego <i>dobrą</i>	ze śpiewu i muzyki _____
z fizyki wraz z chemią <i>dobrą</i>	z ćwiczeń cielesnych _____
z propedeutyki filozofji <i>bardzo dobrą</i>	z anatomji <i>dobrą</i>
z rysunku <i>dobrą</i>	z _____

Państwowa Komisja Egzaminacyjna uznała
WALD DWOJRE za dojrzałą do studjów
wyższych i wydaje jej niniejsze świadectwo.

Warszawa dnia *2 czerwca* roku *1928*

Nr. *13/86*



PRZEWODNICZĄCY
PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

Agimiera Franerowa

CZŁONKOWIE
PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

F. Raczkowski
Kierowniczka Gimnazjum

Prof. C. Cielecki
Dr. Budziszewski
St. Finckelhauser
P. Leibson
Dr. M. Kulminski
S. A. Kurlik



J. Centusiewicz

Świadectwo dojrzałości recto/verso – dokument z teczki studenckiej Dwojry Wald (nr albumu 29425, sygnatura RP 29425) (© Copyright by Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego)



MIE

iczb. Alb. Uniw. *29425/3604*

iczb. Alb. Wydz.

WYNIKI EGZAMINÓW I STUDJÓW *7+*

UNIwersYTET WARSZAWSKI

Rok 192*8* Trimestr *IV*

Imię i Nazwisko *Wald Dwojra*

Adres *Gajbowska 17*

Kandydat na Wydział **HUMANISTYCZNY**

Dokumenty złożono dn. *13-9* 192*8* pod L. *1759*

Orzeczenie Komisji Imatrykulacyjnej

Przyjęto dn. *15/IX* 192*8*

Wydział Humanistyczny

DZIEKAN *Marcel Handelsman*

Egzamin uzupełniający z

Imatrykulowan..... dnia 192...r.

Dowody Studenckie otrzymał..... dnia **24 PAZ. 1928** 192...r.

Podpis: *Dwojra Wald*

W dniu **1 0 PAZ 1928**,
przyznano dyplom
magisterski.

Dokument z teczki studenckiej Dwojry Wald (nr albumu 29425, sygnatura RP 29425) z podpisem dziekana Wydziału Humanistycznego Marceliego Handesmana (© Copyright by Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego)

OPŁATA AKADEMICKA

DRUCZEK STATYSTYCZNY

Wydział *humanistyczny Sekeja*

Przedmiot główny *historia*

Kurs *IV* Trymestr *j. 2. 4* rok akad. *1933/4*

Nr. alb. *29425*

Nazwisko *Wald*

Imię *Dwojra*

Rok urodzenia *1911*

Data imatrikulacji *24 października 1933 r.*

Zajęcie rodziców *K. p. i. c.*

Miejsce zamieszkania rodziców (wymienić miasto, wieś i woj.)

Warszawa

Adres *Walewki 1: 23 / 134*

Zwyczajny słuchacz

Wolny słuchacz

1.	Płeć	{	Mężczyzna	
		Kobieta	1	
2.	Miejsce urodzenia	{	Warszawa	1
			Kongresówka	
			Wielkopolska	
			Małopolska	
			Kresy Wschodnie	
	Zagranica			
3.	Język ojczysty	{	Polski	
			Rosyjski	
			Niemiecki	
			Żydowski	1
			Inny (wymienić jaki)	
4.	Wyznanie	{	Rzymsko-Katolickie	
			Grecko-Katolickie	
			Ew.-Augsburskie	
			Ew.-Reformowane	
			Prawosławne	
			Mojżeszowe	1
	Inne (wymienić jakie)			
5.	Przynależność państwowa	{	Polska	1
			Rosyjska	
			Ukraińska	
			Niemiecka	
			Inna (wymienić jaka)	
6.	Matura	{	Szkola Średnia humanistyczna	1
			" " klasyczna	
			" " matemat. przyrod.	
			" " handlowa	
7.	Z jakiej uczelni otrzymano świadectwo wystąpienia w r. b.	{	Szkoły Akadem. Krajowe (wymienić z jakiej uczelni)	
			Szkoły Akadem. Zagraniczne (wymienić z jakiej uczelni)	

Podpis: *D. Waldowicz*

Data: *2 XI 1933 r.*

Druczek statystyczny – dokument z teczki studenckiej Dwojry Wald (nr albumu 29425, sygnatura RP 29425) (© Copyright by Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego)

Stefan Baley, Władysław Sterling, Hanna Pohoska. Pracę magisterską pisała u Arnolda: *Położenie włościan w ekonomji Brwillno i Borowe w latach 1815–1830 (w województwie Mazowieckiem)*. Imatrykulowana 24 października 1928, dyplom magistra filozofii otrzymała 30 czerwca 1933 roku. Na dyplomie podpisani są rektor Józef Ujejski, dziekan Marceli Handelsman, przewodniczący komisji egzaminacyjnej Stanisław Szober. W Ameryce nie mogła tego w żaden sposób wykorzystać. Zresztą ojciec nie chciał, żeby pracowała. Uważał ją za królewnę i tak też traktował. Więc opiekowała się mną i czytała książki.

EJ: Czym zajmował się ojciec?

MCS: Założył własny interes. Nawiązał kontakty ze szwalniami, które składały u niego zamówienia na różne rzeczy: igły, paski klinowe do maszyn do szycia czy płyny do odplamiania ubrań. Powoli zaczął się specjalizować w tych odplamiaczach. Gdyby nie umarł tak młodo, odłożyłby w końcu na emeryturę na Florydzie jak inni.

EJ: W akcie ślubu mama występuje jako Dorota. W Ameryce zdecydowała się na imię Doris. Dlaczego, skoro Dwojra to Debora?

MCS: W latach pięćdziesiątych w Ameryce nikt nie nazywał się Debora, a imię Doris było powszechne. Popularnością cieszyła się wówczas Doris Day. To się dobrze kojarzyło.

EJ: Dlaczego tata przybrał imię William?

MCS: William to przecież Wolf. Chciał nazywać się jak najbardziej po amerykańsku, więc dodał sobie jeszcze drugie imię Robert. Interes nazwał Stason Industries, od Steinlauf and son. W Nowym Jorku używał kopert z adresem zwrotnym William R. Steinlauf Co., a na użytek międzymiastowy miał papier firmowy z tym Stason Industries.

EJ: Jakim imieniem czy słowem zwracali się do ciebie rodzice?

MCS: Michael. Pamiętam, jak mama wołała: „Maj-kuł!”. A jak byłem mały, to jeszcze: „Misiu”. Ale nie wołała. Szeptęła.

EJ: A jak mówili do siebie nawzajem?

MCS: Władek i Dorka. I do końca chodzili za rękę. Tyle lat po ślubie!

EJ: Powiedz jeszcze coś o domu.

MCS: W naszym mieszkanku była tylko jedna sypialnia, którą rodzice, naturalnie, oddali mnie. Sami spali w salonie na łóżku typu *Murphy bed*, które na dzień chowało się pionowo w specjalnej szafie. Teraz już takich nie ma. Co jeszcze? Czy to dlatego, że w domu Waldów była służąca, czy z innego powodu mama nie była jakąś szczególną gospodynią. Owszem, robiła roladę w sosie słodko-kwaśnym, czyli kapustę nadziewaną rodzynkami i cytryną, którą ubóstwiałem. Ale poza tym na ogół nie za bardzo. Na święta robiła też szarlotkę: na spodzie ciasto, na wierzchu jabłka, wszystko razem raczej suche. Za tą szarlotką nie przepadałem, przyznam szczerze. Święta – mam na myśli Pesach – nie były u nas ani wystawne, ani huczne. Pierwszy seder spędzaliśmy w domu, tylko w trójkę. Za to na drugim sederze u Helen i Eryka na Queensie było sporo ludzi. Byliśmy

17

UNIwersYTET WARSZAWSKI

WYDZIAŁ HUMANISTYCZNY

Nr 1224/2684/33.

DYPLOM MAGISTRA FILOZOFJI

PANI DWOJRA WALD

URODZONA DNIA 14 LUTEGO 1911 ROKU W WARSZAWIE

odbyła przepisane studia w Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Humanistycznym w zakresie historii i zdała następujące egzaminy:

- z zasad metody badań historycznych, podstawowych wiadomości z nauk pomocniczych oraz źródeł historycznych w zakresie historii Polski z wynikiem **bardzo dobrym**
- z dziejów starożytnych z wynikiem **bardzo dobrym**
- z dziejów średniowiecznych (polskich i powszechnych) z wynikiem **bardzo dobrym**
- z dziejów nowożytnych i nowoczesnych (polskich i powszechnych) z wynikiem **dostatecznym**
- z głównych zasad nauk filozoficznych z wynikiem **bardzo dobrym**
- z pogłębionej znajomości dziejów społecznych polskich w latach 1815 — 1830 z wynikiem **dostatecznym**

Sig. F. 2.

Drukarnia Państwowa Nr 69640. 6.IV.34.

oraz przedstawiła z wynikiem dobrym pracę magisterską na temat:

„Polożenie włościan w ekonomji Brwillno i Borowe w latach (1815—1830)”.

Wobec tego, Rada Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego
na wniosek Komisji Egzaminacyjnej nadaje

Pani Dwojrze Wald

STOPIEŃ

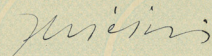
MAGISTRA FILOZOFJI,

JAKO DOWÓD ZAKOŃCZENIA STUDJÓW WYŻSZYCH W ZAKRESIE

HISTORJI.

Warszawa, dnia 30 czerwca 1933 r.

REKTOR



DZIEKAN



PRZEWODNICZĄCY KOMISJI EGZAMINACYJNEJ



M. P.

Dyplom magisterski *recto/verso* z podpisami rektora Józefa Ujejskiego, dziekana Marcelgo Handelsmana i przewodniczącego komisji egzaminacyjnej Stanisława Szobera – dokument z teczki dyplomowej Dwojrzy Wald (nr albumu 29425, sygnatura KEM [Komisja Egzaminów Magisterskich] 2684) (© Copyright by Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego)



Dwojra Wald w 1944 roku (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

my. Była rodzina męża Myry, Żydzi z Belgii. Był Henryk Wilner, czyli brat Helen uratowany przez nią wraz z Erykiem i Myrą. Henryk lubił zjeść i wypić. Miał mocną głowę. To ten, co w Polsce pił wódkę z Polakami. Nie cieszył się wśród krewnych szczególnym poważaniem i chyba nie bardzo się tym przejmował.

Mama z całą swoją kulturą była trochę jakby osobna. I taka pozostała. Delikatna i wrażliwa. Z innego świata. Inna niż mieszkańcy Church Avenue, bo z trzecim mężem przeprowadziła się z Brighton Beach do innej części Brooklynu. Kiedy umarła, sąsiedzi mówili: „Your mother was a lady”.

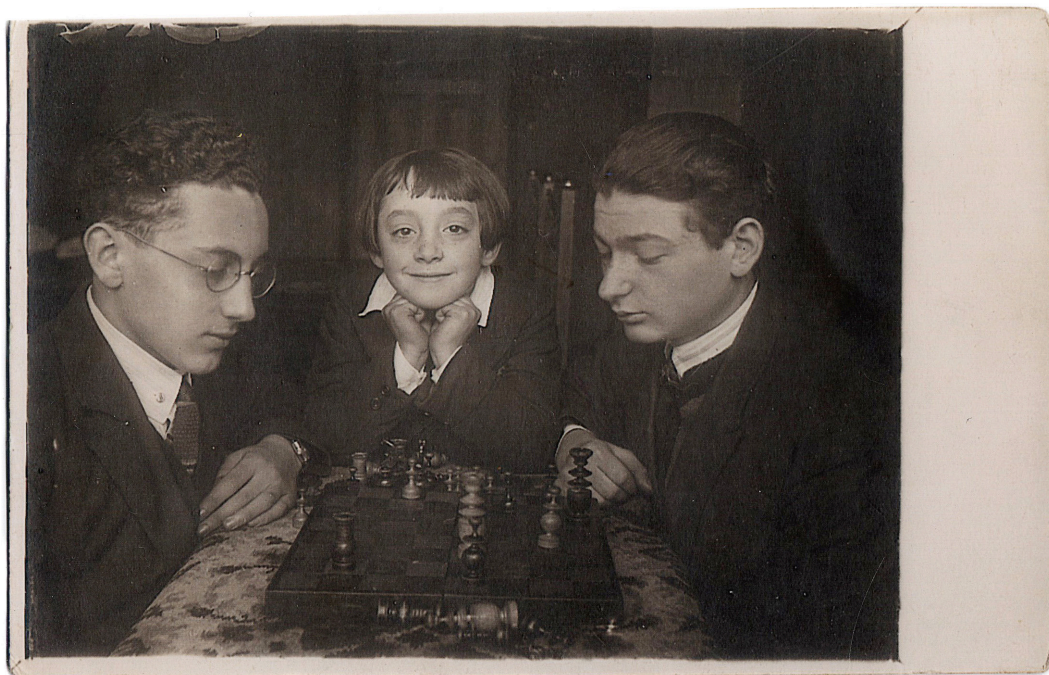
EJ: W jaki sposób wszedłeś w posiadanie fotografii rodziny ze strony ojca?

MCS: Kilka lat po śmierci ciotki Helen, żony stryja Eryka, przysłała mi je Myra. Pojęcia nie mam, skąd Eryk i Helen mieli te fotografie. W każdym razie za nic w świecie nie chcieli mi ich pokazać. Nie wiem, czy mama kiedykolwiek je widziała. Stryj zmarł w 1989 roku. Ciotka w 2001. Zdjęcia dostałem jakoś potem i na wszelki wypadek zaraz zgubiłem. To znaczy zapodziałem, bo potem się znalazły, ale w międzyczasie – w 2008 roku – Myra posłała mi kopie drugi raz.

EJ: „Dear Mike – pisze Myra w pierwszym liście. – Enjoy the photographs, stay well, love”.

MCS: Aż się wierzyć nie chce. Z drugiej strony Myra za każdym razem dokładnie opisuje, kto jest kto. Wie to wszystko, pamięta, a jakby nie zdawała sobie sprawy.

To jest najwcześniejsze zachowane zdjęcie ojca: nad szachownicą z kuzynami, czyli synami brata mojego dziadka. Obaj kuzyni – Murray (z grzywką) i Harry – wyjechali przed wojną do Ameryki i skrócili nazwisko ze Sztajnlaufer (Steinlauf) do Stein. Tu ojciec w Otwocku chyba. W garniturze, pod krawatem, niebywale elegancki. Szykowny – to



Wolf Sztajnlaufer z kuzynami Murray'em (z grzywką) i Harrym Sztajnlauferami, lata dwudzieste XX wieku
(© Copyright by Michael C. Steinlauf)



Wolf Sztajnlaufer przy lekturze „Naszego Przeglądu”,
lata trzydzieste XX wieku (© Copyright by Michael C.
Steinlauf)



Runia Sztajnlauf, siostra Wolfa i Eryka – Otwock 1920
(© Copyright by Michael C. Steinlauf)



Runia i Wolf, lata trzydzieste XX wieku (© Copyright by
Michael C. Steinlauf)



Pierwszy rząd od prawej: Mojsze i Nechuma z domu Parnes Sztajnlaufowie (rodzice Runi, Eryka, Wolfa oraz zmarłego w dzieciństwie Szmuela Cwiego), teściowa Runi lub siostra Nechumy. Drugi rząd od prawej: Eryk, Runia, Bolek, mąż Runi – według Myry Steinlauf-Fischer około roku 1926 (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

jest to słowo. Zwróciłaś mi uwagę, że czyta „Nasz Przegląd”⁶⁶. To też pewnie była rodzina, gdzie rodzice czytali „Hajnt”⁶⁷, a dzieci „Nasz Przegląd”. Jak u Waldów. I wszyscy ich znajomi tacy byli. Zdjęcie nadawałoby się na reklamę „Naszego Przeglądu”. Ojciec miał styl. Jakoś się odznaczał, wyróżniał. W getcie proponowali mu wstąpienie do policji żydowskiej. Odmówił. A tu jedyna siostra ojca i Eryka, Runia. Otwock 1920.

66 „Wielki dziennik «Nasz Przegląd» (zresztą nie przyznający się oficjalnie do syjonizmu, choć gorąco go propagujący) był organem informacyjnym. [...] [C]zytelnicy «Naszego Przeglądu» otrzymywali informacje dotyczące wszystkich dziedzin – polityki polskiej, zagranicznej, syjonizmu i Palestyny, ale także recenzje książkowe i teatralne, wiadomości z dziedziny sportu, artykuły na temat zdrowia i urody. Abramow stwierdzał, że dziennik «zbliżony był do umiarkowanej frakcji Organizacji Syjonistycznej Et Liwnot [...], wspierającej dążenia Żydów, nie tylko reprezentujących zorganizowany ruch syjonistyczny, do stworzenia siedziby narodowej w Palestynie, w krajach diaspory zaś – ich autonomię narodową i kulturalną, ale w powiązaniu z kulturą i życiem społecznym 'państwa pobytu'» [cyt. za: Marta Kopczyńska-Ciesielska, *Jerzy Abramow – redaktor „Małego Przeglądu”*, Biblioteka Narodowa, Warszawa 2003, s. 3]. Oznaczało to zatem, że «Nasz Przegląd», jak większość zresztą syjonistycznych czasopism, przeznaczony był dla czytelników mieszkających w Polsce i raczej z Polską wiążących swoje plany” (Landau-Czajka, 2015, s. 56). „Nasz Przegląd” wychodził w latach 1923-1939 przez siedem dni w tygodniu. Był polskojęzycznym czasopismem żydowskim jednocześnie największym i o najszerszym zasięgu. Między innymi popularyzował osiągnięcia literatury jidysz oraz (nowoczesnej) hebrajskiej w tłumaczeniu na język polski. W latach 1926-1939 z inicjatywy Janusza Korczaka (Henryka/Hersza Goldszmidta) wydawał bezpłatny piątkowy dodatek dla dzieci „Mały Przegląd”, do 1930 roku redagowany przez Korczaka, a po tej dacie – przez Jerzego Abramowa.

67 „Hajnt” – wiodący dziennik w języku jidysz, reprezentujący orientację syjonistyczną i adresowany do żydowskiej klasy średniej, wydawany w Warszawie w latach 1908-1939. Ostatni numer „Hajntu” ukazał się 22 września 1939 roku. Por. Fuks, 1979.



Seria letniskowa 1 (od prawej): Wolf, Nechuma, Mietek, Runia, Izio, Bolek – według Myry Steinlauf-Fischer około roku 1937 (© Copyright by Michael C. Steinlauf)



Seria letniskowa 2: Wolf i Runia z Nechumą – według Myry Steinlauf-Fischer około roku 1937 (© Copyright by Michael C. Steinlauf)



Seria letniskowa 3: Nechuma Parnes-Sztajnlauf – według Myry Steinlauf-Fischer około roku 1937 (© Copyright by Michael C. Steinlauf)



Wolf Sztajnlau z Lziem, starszym synem
Runi – 23 sierpnia 1930 (© Copyright
by Michael C. Steinlauf)



Runia z młodszym synem Mietkiem – Warszawa, wrzesień
1934 (© Copyright by Michael C. Steinlauf)



Runia – według Myry Steinlauf-Fischer około roku 1940. Na odwrocie pieczętka: FOTO „MIMOZA” / Warszawa, Twarda [numer nieczytelny, być może 32] / front I piętro (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

EJ: „At resort” – pisze Myra.

MCS: Tu prawie cała rodzina. W pierwszym rządzie mój dziadek Mojsze, ojciec ojca, chasyd z Góry Kalwarii, Gerer chasyd, nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Jak na tradycjonalistę był nad wyraz nowoczesny. Wybrał się do Palestyny. Handlował tam ziemią. Nazwał syna nietradycyjnym imieniem Zew. Obok jego żona, babcia Nechuma. Obok Nechumy albo jej siostra, albo teściowa Runi, matka Bolka. Za nią Bolek. Za Nechumą Runia. Za dziadkiem stryj Eryk. Dziadek zmarł w 1930 roku, więc to będą lata 20. Jeszcze nie urodziły się dzieci Runi i Bolka. Ojciec jeszcze się nie ożenił. Myra pisze: okolice 1926 roku. Prawdopodobne. Dalej wspólne zdjęcia już bez dziadka. Nechuma jest na nich znacznie starsza.

Runia miała dwóch synów. Starszy syn nazywał się Izio, młodszy – Mietek. Widać po nich dostatek. To była zamożna klasa średnia, burżuazja. Wszyscy zginęli. Tu jest mój ojciec z Izio na ramionach. W tle rzadki las sosnowy. Na odwrocie data zapisana wiecznym piórem: „23 sierpnia 1930 r.”. Po polsku. To znaczy, że Izio i Mietek byli nastolatkami, kiedy umierali.

EJ: Runia 1940. Zdjęcie legitymacyjne.

MCS: Bardzo piękna. Bardzo zmieniona. Aż niepodobna. Tego roku w Warszawie Niemcy utworzyli i zamknęli getto.

EJ: Michał Sztajnlaufer. Dlaczego Myra pisze: „This photo was taken a short while before the Gestapo took him away to his death”? Coś wie na ten temat?

MCS: Nic nie wie. Napisała tak, jak to sobie wyobraża. „Gestapo” to takie słowo, które potocznie kojarzy się z wojną i Niemcami. [Cisza]. Na zdjęciach mamy idyllę rodzinną. Żadnych opasek, głodu, strachu. Żadnej epidemii tyfusu. Żadnego jedzenia zwłok⁶⁸.

⁶⁸ „Jak wynika ze źródeł, w getcie warszawskim wydarzyły się co najmniej dwa takie przypadki: 15 grudnia 1941 r. przy ulicy Śliskiej 53 i 19 lutego 1942 r. przy ulicy Krochmalnej 18 m. 20” (Engelking & Grabowski, 2010, s. 189). W obu wypadkach chodziło o umierające z głodu kobiety i zwłoki ich zmarłych z głodu dzieci.



Więźniowie getta zwani placówkarzami wywożeni do pracy po aryjskiej stronie. W lewej części fotografii Wolf Sztajnlaufer (z wąsami, w okularach) – Warszawa, północna pierzeja ulicy Grzybowskiej, po prawej stronie widoczny budynek Judenratu przy Grzybowskiej 24, maj 1941. Fot. Ludwig Knobloch, Propagandakompanien der Wehrmacht – Heer und Luftwaffe (© Bundesarchiv Koblenz, Republika Federalna Niemiec – cena 200 Euro)

Dostatek, bezpieczeństwo. Piękni, młodzi, dobrze ubrani, dobrze odżywieni ludzie. Getto warszawskie 1941. Aż trudno wyobrazić sobie wysiłek włożony w to, żeby te zdjęcia najpierw zaistniały, a potem ocalały. I żeby wszystko na nich wyglądało tak zupełnie bez wysiłku. [Cisza]. Nie znałem tych zdjęć. Nie wiedziałem, że istnieją. Doznałem wstrząsu, kiedy je zobaczyłem.

EJ: Na jednym ze zdjęć niemieckich widać rewers tej sytuacji. Getto warszawskie. Maj 1941. Młodzi mężczyźni w opaskach wpędzani na otwartą platformę ciężarówki, a potem stłoczeni na tej platformie. Ciepło ubrani, z torbami przewieszonymi przez tułów. Ręce trzymają przeważnie w kieszeniach. Placówkarze. W którymś momencie wyraźnie nakazano im spojrzeć w obiektyw, bo ci, którzy stali tyłem, aż się odwracają. Wykonują rozkaz. Każdy na swój sposób. Wiedzą, że są upokarzani, w pozycji nieładzi. To, jak patrzą, cała ich postawa i fakt, że patrzą z góry, lokuje ich po stronie metaświadomości. Ich spojrzenia nie konstruują tej sytuacji, lecz ją dekonstruują. Komunikat, który nadają, brzmi: „Fotografowano nas jak przedpotopowe zwierzęta” (Wiernik, 2003, s. 13). Tak o tym pisał Jankiel Wiernik. Podobne słowa powtarzają się w różnych wariantach w relacjach ofiar Zagłady.

MCS: Ojciec stoi blisko krawędzi zdjęcia z lewej strony. Łatwo go poznać. Jako jedyny nosi wąsy i okulary.

EJ: Zdjęcie znajduje się w zbiorach Bundesarchiv w Koblencji, które handluje dzisiaj trofeami z tego safari.

MCS: Niesamowite.

EJ: Przyjemne z pożytecznym. Coś z niczego. Prawa do reprodukcji kosztują tyle, że na ich opłacenie nie stać instytucji naukowej takiej jak Instytut Sławistyki PAN, gdzie pracuję. Ale dyrektorka Anna Engelking zapoznała się z naszą rozmową – jeszcze na etapie surowej transkrypcji – i podjęła decyzję o zakupie. Mówię o tym, ponieważ profesor Anna Engelking pragnie serdecznie pozdrowić Bundesarchiv Koblenz, a nie ma innej drogi, którą można by to uczynić. W formularzach na stronie internetowej brak odpowiedniej rubryki. Natomiast wysłanie supliki w sprawie ewentualnego obniżenia opłaty okazało się niemożliwe z innych względów. Bo przygotowałam taką unізoną prośbę. Że ojciec. Że syn. Że ślad. A w ogóle *non profit* i cel naukowy. Padało nawet słowo „Holocaust”.

MCS: A to mogłoby kogoś niepotrzebnie urazić.

EJ: O to chodzi. Dlatego Instytut Sławistyki nabył fotografię drogą kupna. *Merci, l'Allemagne!* Nie mówiąc o tym, że gdyby nie Trzecia Rzesza, nie mielibyśmy tej skromnej – acz kosztownej – pamiątki.

MCS: Janek Jagielski z Działu Dokumentacji Zabytków Żydowskiego Instytutu Historycznego zlokalizował miejsce wykonania zdjęcia. Ciężarówka stoi na Grzybowskiej, na wysokości posesji numer 24, czyli przy pierzei północnej, zaraz pod Judenratem. Oto, co jest pod spodem, pod podszewką rodzinnego albumu.

Tutaj półleży. Styczeń 1941. Dwunastego stycznia. Jest w bucikach, ma gołe nóżki. Widać pokój musi być dobrze ogrzany. A tutaj już siedzi w łóżeczku. Maj 1941. Drugiego maja. To będzie miał dobrze pół roku. Pół roku z okładem.

EJ: Może mieć nawet rok. Na oko ma buzię rocznego dziecka. Tak samo włosy. Na zdjęciu ze stycznia widać ślady na bucikach, jakby próbował już chodzić albo przynajmniej stać, trzymając się czegoś. Chyba że miał te buciki po innym dziecku. Wygląda jednak na to, że już w styczniu 1941 miał siedem-osiem miesięcy. Tak próbowałam to rekonstruować do wczoraj. Tymczasem mam wiadomość z ostatniej chwili. Sprzed dwudziestu sześciu lat dokładnie. Dziś nad ranem zajrzałam do bazy danych Yad Vashem. I nie uwierzysz, ale on tam jest. Maryś Sztajnlaufer-Rajbenbach. Ortografia imienia z polskim znakiem diakrytycznym. Syn Wolfa Sztajnlaufera i Reginy, Reni Rajbenbach, którą znamy jako Rywkę. Urodzony w Warszawie 2 maja 1940 roku (por. „Maryś Sztajnlaufer”, b.d.).

MCS: Rzeczywiście. To on.

EJ: Jego śmierć zgłosiła Stefania Walewska zamieszkała w Tel Awiwie przy ulicy Brodzkiego 7. Mówi ci to coś?



Renia (Regina, Rywka) Rajbenbach-Sztajnlaufer z synem Michałem (Marysiem, Mojszem) – Warszawa (getto), 12 stycznia 1941 (© Copyright by Michael C. Steinlauf)

MCS: Nic zupełnie. Personalia jak z aryjskich papierów, przy których mogła oczywiście pozostać, ale wygląda raczej, jak gdyby wołała nie podawać ani żydowskiej, ani izraelskiej tożsamości. W rubryce „stopień pokrewieństwa” figuruje jako *doda*, czyli ciocia.

EJ: Ciocia, czyli ktoś z rodziny matki. Może sama matka.

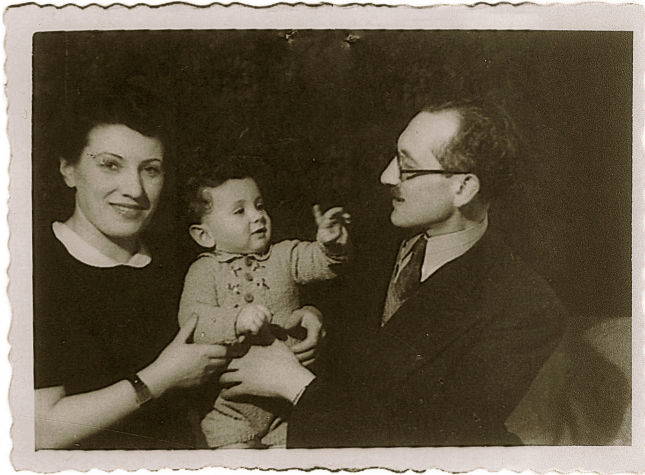
MCS: Ale matka znała datę śmierci, więc pewnie by podała.

EJ: Zgłoszenie zostało zarejestrowane 11 marca 1989 roku. Jest też fotografia. Zdjęcie należy do serii wykonanej 2 maja 1941 roku, a więc w dniu pierwszych urodzin Mojszego-Michała-Marysia. To dlatego jego mama nosi odświętną sukienkę, ojciec – krawat, a on sam w ślicznych śpioszkiach haftowanych w kwiatki fotografowany jest z kolejnymi zabawkami. To są jego prezenty urodzinowe.

MCS: Czyli 22 lipca 1942 roku, kiedy się zaczęło wysiedlenie, miał dwa lata, dwa miesiące i trzy tygodnie. Na pewno umiał chodzić i zaczynał mówić. Zobacz, oni są w to dziecko wpatrzeni. A dziecko w nich. Światło ich oczu. Pierworodny. Ptasiego mleka mu nie brak. Nie daje się na to patrzeć. I teraz my to wprowadzamy w pole widzialności.

EJ: Nie wiesz przypadkiem, gdzie mieszkali? Bo na tej podstawie można by określić z dużym prawdopodobieństwem, kiedy został zamordowany. Wiadomo przecież, kiedy wysiedlali które ulice.

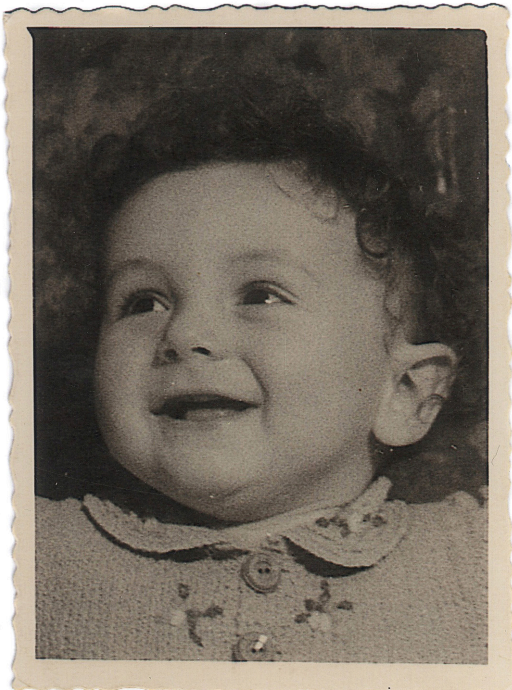
MCS: Nie wiem. Nie wiem nawet, czy mieszkali w małym, czy w dużym getcie. Będzie już ze dwadzieścia lat, jak się nie manifestował. A od czasu naszej rozmowy w Nowym Jorku zaszły nowe okoliczności, więc musimy dopisać nowe zakończenie. Mówiliśmy,



Michał (Maryś, Mojsze) Sztajnlauf
w dniu pierwszych urodzin (z rodzicami) –
Warszawa (getto), 2 maja 1941
(© Copyright by Michael C. Steinlauf)



Michał (Maryś, Mojsze) Sztajnlauf
w dniu pierwszych urodzin (w łóżeczku) –
Warszawa (getto), 2 maja 1941
(© Copyright by Michael C. Steinlauf)



Michał (Maryś, Mojsze) Sztajnlauf w dniu pierwszych
urodzin (portret) – Warszawa (getto), 2 maja 1941
(© Copyright by Michael C. Steinlauf)

że zwracałem się z tą sprawą do różnych lekarzy. Ostatnio ktoś polecił mi osobę, która zajmuje się duszą i ciałem na sposób żydowski. Na wizytówce ma napisane między innymi: szamanka. Trzy lata starsza ode mnie. *A jidysze bobbe*. Taka żydowska babcia. Nie jest rabinką, choć wywodzi się z Jewish Renewal Movement, w którym kobiety bez problemu zostają rabinkami. Ich cadyk to reb Zalman Schachter-Shalomi, który zmarł w zeszłym roku. Urodzony w Żółkwi, wychowany w Wiedniu, przedostał się z Europy do Ameryki w 1941 roku, przystąpił do Chabad Lubawicz, aż napisał *Fragments of a future scroll: Hassidism for the Aquarian Age*. Jego myślenie o judaizmie nie wykluczało inspiracji buddyzmem i zainteresowania mistycyzmem chrześcijańskim. I moja szamanka nie tak dawno mówi mi: „Słuchaj, jeśli chcesz, on odejdzie tam, dokąd przynależy. Możemy to zrobić z łatwością”. Bo kiedy buddyjski mnich wywołał go na zewnątrz i chciał odejść nie wiadomo dokąd, zawołałem go z powrotem. Nie mogłem inaczej. Nie byłem w stanie. On chciał go wypędzić. Natomiast ona powiedziała mu, żeby poszedł do rodziny, która czeka na niego z otwartymi ramionami. Śpiewała żydowskie modlitwy. Leżałem może dziesięć minut. W końcu powiedziała: „Generations have been waiting for him. There was great rejoicing as they received him”. Rozumiesz, nie tylko ojciec, ale wszyscy, cała rodzina. Jakoś czuję, że to jest w porządku, że tak właśnie ma być. Czas nie ma znaczenia. Łączymy się ponad czy poza czasem.

Zwróciłaś uwagę, w jakim miejscu zostawiłem dla ciebie te zdjęcia?

EJ: Na nazwisko bliskiej nam obojgu osoby, u której mieszkasz i z którą widuję się na co dzień.

MCS: Zostawiłem, bo nie miałem z tobą kontaktu.

EJ: No jasne. Zrozumiałam, że chcesz mnie nauczyć moresu. Pokazać mi, gdzie raki zimują. Musiałam pójść do MHŻP i grzecznie poprosić. Chciałeś mnie przeczłogać.

MCS: To nie tak. Zostawiłem je naprzeciwko pomnika, gdzie spotyka się tyle wątków.

EJ: Ciekawe, w jakim duchu.

MCS: Nawet nie w duchu ironii, że oto Żyd wozi drzewo do lasu. To poważniejsze niż ironia. Odbierasz fotografie mojego brata, mojej rodziny w tym właśnie miejscu. Tu, gdzie zginęli. A MHŻP to jest pomnik żydowskiego życia.

EJ: Polin. *Paradisus Iudaeorum*.

MCS: O żadnym Polin na początku w ogóle nie było mowy, a przy *Paradisus Iudaeorum* miał być znak zapytania.

EJ: Tymczasem Polin jest, a znaku zapytania przy *Paradisus Iudaeorum* nie ma.

MCS: Czy warto robić koniec świata o jeden nieistniejący znak zapytania?

EJ: Chodzi o optykę, którą MHŻP dekretuje jako obowiązującą. Skoro *Paradisus Iudaeorum* pochodzi z antysemitckiego pamfletu i jest antysemitycznym mitem nadal żywym w postaci mitu Judeopolonii, to może lepiej nie używać go jako kategorii opisu rzeczywistości. No,

wyjdę z siebie i stanę obok! Czy ta przemoc nigdy się nie skończy?! Czy koniecznie trzeba zadawać gwałt trupom i gruzom?!

MCS: Gruzy na wystawie miały być prawdziwe, z Muranowa, a nie z *papier mâché*. Tak, wiem. Barbara to urządziła⁶⁹. Jej pytaj.

EJ: Nie muszę. „We have to overcome the power of the ground”... Widzę, co się dzieje, ale nie potrafię tego zrozumieć. Nie chodzi tylko o Warszawę. Czym wyjaśnić na przykład przemówienie Janusza Makucha, dyrektora Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie, wygłoszone tego roku podczas finałowego koncertu *Szalom na Szerokiej?* Słyszałeś to na własne uszy: „No more antisemitism! No more antipolonism! No more antinazism! Good, positive feelings only!”. To się działo przedwczoraj, czwartego lipca, w rocznicę pogromu kieleckiego na dodatek.

MCS: Tobie to jest idealnie na rękę, więc ja też odpowiem w charakterystyczny sposób: „Wybaczam mu. To było o drugiej w nocy po siedmiu godzinach koncertu”.

EJ: Tylko czy to nam pomaga w zrozumieniu procesów, które zachodzą na naszych oczach i w których uczestniczymy – czy to protestując, czy to afirmując, czy to patrząc z boku? Tymczasem zaś dokumenty i fotografie, które przywiozłeś, zostają teraz u mnie w szafie w przedpokoju. Czuję się z tym jak prawdziwa Polka.

MCS: Odbiorę je we wrześniu, gdy przyjadę na konferencję z okazji stulecia urodzin Perreca. Chciałbym spędzać w Polsce więcej czasu. Dzieje się tu tyle ciekawych i ważnych rzeczy. Brakuje mi tylko ludzi innych niż biali. I chciałbym, żeby była ze mną rodzina, bo tęsknię za nimi. Zev i Benjamin mają już wprowadzić własne życie.

EJ: Ale Deborah i Gabriel na pewno będą zachwyceni.

MCS: Możesz ironizować, ale Deborze tu się bardzo podoba. Problem w tym, że Gabrielowi należy się wychowanie w społeczeństwie, które współtworzą ludzie tacy jak on. Czarni.

⁶⁹ Chodzi o Barbarę Kirshenblatt-Gimblett.



Rodzinne wakacje Sacków i Steinlaufów: klęczy Zev, za nim stoją Deborah i Michael, obok Benjamin z Gabrielem na barana – Jamaica, 29 listopada 2014 (© Copyright by Deborah Sack & Michael C. Steinlauf)

Rozmówcy dziękują Helenie Datner i Agacie Patalas za pomoc w realizacji rozmów prowadzonych w Polsce. Podziękowania kierują także do Natalii Judzińskiej za transkrypcję i Anny Engelking za superwizję redakcyjną, do Michaela Sobelmana i Yechiela Weizmana za tłumaczenia epitafiów, do Łukasza Kosa za udostępnienie rodzinnej fotografii oraz do Doroty Leśniewskiej, Beaty Jankowskiej i Doroty Świąćickiej za bezkompromisowość i etos edytorski.

Opracowanie merytoryczne i redakcyjne: Elżbieta Janicka

Bibliografia

- Adelson, A.** (1972). *SDS*. New York: Scribner.
- Auster, P.** (2014). *Excursions dans la zone intérieure*. (P. Furlan, Tłum.). Arles: Actes Sud. (Tytuł oryginału: *Report from the interior*).
- Benjamin, W.** (1996). O pojęciu historii (Über den Begriff Geschichte, 1940). (K. Krzemieniowa, Tłum.). W W. Benjamin, *Anioł historii. Eseje, szkice, fragmenty* (ss. 413–425). (H. Orłowski, Wybór & Oprac.). Poznań: Wydawnictwo Poznańskie.
- Beylin, M.** (2014, czerwiec 21–22). Tak mówią dysydenci. *Gazeta Wyborcza*, s. 25.
- Brodkin, K.** (1998). *How Jews became white folks and what that says about race in America*. New Brunswick, N.J.: Rutgers University Press.
- Browning, C. R.** (2013). Raul Hilberg. (J. Giebułtowski, Tłum.). *Zagłada Żydów*, (9), 661–672.
- Burton-Rose, D.** (Red.). (2010a). *Creating a movement with teeth. A documentary history of the George Jackson Brigade*. Oakland: PM Press.
- Burton-Rose, D.** (2010b). *Guerrilla USA: The George Jackson Brigade and the anticapitalist underground of the 1970s*. Berkeley, Los Angeles, London: University of California Press.
- Chajes, J. H.** (2011). *Between worlds: Dybbuks, exorcists, and early modern Judaism*. Philadelphia: University of Pennsylvania Press.
- Cohen, N.** (2014). Zapominanie języka. Polszczyzna i jidysz wśród młodzieży żydowskiej w międzywojennej Polsce. (I. Suchojad, Tłum.). W E. Prokop-Janiec & M. Tuszewicki (Red.), *Polskie tematy i konteksty literatury żydowskiej* (ss. 269–275). Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Datner, H.** (2007). *Ta i tamta strona. Żydowska inteligencja Warszawy drugiej połowy XIX wieku*. Warszawa: Żydowski Instytut Historyczny.
- Dąbrowska, J., & Kuroń, J.** (2014, marzec 8–9). Jacek. Dlaczego jestem taki, jaki jestem. Z Jackiem Kuroniem rozmawiała 30 lat temu Justyna Dąbrowska. *Gazeta Wyborcza*.
- Dla uchodźców żydowskich. (1938, grudzień 6). *Nasz Przegląd*, s. 5.
- Dla uchodźców żydowskich. (1938, grudzień 13). *Nasz Przegląd*, s. 9.
- Draitser, E.** (2008). *Wesele w Brighton Beach i inne opowiadania*. (B. Szwarcman-Czarnota, Tłum.). Warszawa: Biblioteka „Midrasza”.
- Dunin, K.** (2004). Polacy ludziom. W K. Dunin, *Czytając Polskę* (ss. 72–78). Warszawa: W.A.B.
- Elior, R.** (2009). *Mistyczne źródła chasydyzmu*. (M. Tomal, Tłum.). Budapeszt, Kraków: Austeria Klezmerhojs.
- Elior, R.** (2014). *Dybuki i kobiety żydowskie w historii społecznej, myśli mistycznej i folklorze*. (K. Kornacka, Wstęp & Tłum.). Poznań, Gniezno: Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk & Instytut Kultury Europejskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.
- Engel, D.** (1983). An early account of Polish Jewry under Nazi and Soviet occupation presented to the Polish government-in-exile, February 1940. *Jewish Social Studies*, 45(1).
- Engel, D.** (1987). *In the shadow of Auschwitz: The Polish government-in-exile and the Jews 1939–1942*. Chapel Hill: University of North Carolina Press.
- Engelking, B., & Grabowski, J.** (2010). „Żydów łamiących prawo należy karać śmiercią!”. „Przestępczość” Żydów w Warszawie 1939–1942. Warszawa: Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów.
- Engelking, B., & Gutman, I.** (2013). Z profesorem Izraelem Gutmanem rozmawia Barbara Engelking. *Zagłada Żydów*, (9), 207–242.
- Ficowski, J.** (1975). *Regiony wielkiej herezji. Szkice o życiu i twórczości Brunona Schulza* (2. wyd.). Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Friedländer, S.** (1997). *Nazi Germany and the Jews: The years of persecution, 1933–1939*. New York: HarperCollins.

- Friedländer, S.** (2007). *The years of extermination: Nazi Germany and the Jews, 1939–1945*. New York: HarperCollins.
- Fuks, M.** (1979). *Prasa żydowska w Warszawie 1823–1939*. Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Ger Tsedek.** (b.d.). W *YIVO Encyclopedia of Jews in Eastern Europe*. Pobrano 18 stycznia 2016, z http://www.yivoencyclopedia.org/article.aspx/Ger_Tsedek
- Gitlin, T.** (1987). *The sixties: Years of hope, days of rage*. Toronto, New York: Bantam Books.
- Goldish, M.** (Red.). (2003). *Spirit possession in Judaism: Cases and contexts from the Middle Ages to the present*. (E. Bourguignon, Przedm., J. Dan, Wstęp). Detroit: Wayne State University Press.
- Grabowski, J.** (2004). „Ja tego Żyda znam!” Szantażowanie Żydów w Warszawie, 1939–1943. Warszawa: Wydawnictwo IFiS PAN.
- Grochowska, M.** (2015, sierpień 22–23). Przyjaciółka rozumu. *Gazeta Wyborcza*, ss. 32–34.
- Gross, J. T.** (1986). Ten jest z ojczyzny mojej..., ale go nie lubię. *Aneks*, (41–42), 13–36.
- Gross, J. T.** (1992). Raport Jana Karskiego o stosunkach polsko-żydowskich w czasie wojny. *Mówią Wieki*, (4(202)), 2.
- Grynberg, H.** (1984a). Ludzie Żydom zgotowali ten los. W H. Grynberg, *Prawda nieartystyczna* (ss. 65–88). West Berlin: Archipelag.
- Grynberg, H.** (1984b). Obsesyjny temat. W H. Grynberg, *Prawda nieartystyczna* (ss. 131–144). West Berlin: Archipelag.
- Gutman, Y., & Krakowski, S.** (1986). *Unequal victims: Poles and Jews during World War Two*. (T. Gorelick & W. Jedlicki, Tłum.). New York: Holocaust Library.
- Janicka, E.** (2008). Mord rytualny z aryjskiego paragrafu. O książce Jana Tomasza Grossa „Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści”. *Kultura i Społeczeństwo*, (2), 229–252.
- Janicka, E.** (2012). O nowe kategorie opisu. W odpowiedzi Janowi Grabowskiemu. *Zagłada Żydów*, (8), 468–474.
- Janicka, E.** (2014/2015). Pamięć przyswojona. Koncepcja polskiego doświadczenia zagłady Żydów jako traumy zbiorowej w świetle rewizji kategorii świadka. *Studia Litteraria et Historica*, (3/4), 148–227. <http://dx.doi.org/10.11649/slh.2015.009>
- Karski, J.** (1992). Zagadnienie żydowskie w Polsce pod okupacjami. *Mówią Wieki*, (4(202)), 3–8.
- Keff, B.** (2008). Lara Croft. W B. Keff, *Utwór o Matce i Ojczyźnie*. Kraków: Korporacja Ha!art.
- Kondrat, A.** (2010). Nikt nie mówi dzisiaj w jidysz? *Cwiszn*, (1–2), 62–64.
- Kopciowski, A.** (1998). *Żydzi w Lublinie 1944–1949* (Nieopublikowana praca magisterska). Zakład Historii Najnowszej UMCS, Lublin.
- Kowalski, S.** (1990). *Krytyka solidarnościowego rozumu. Studium z socjologii myślenia potocznego*. Warszawa: PEN.
- Krajewska, M.** (1982). *Czas kamieni*. (A. Kamieńska, Wstęp). Warszawa: Interpress.
- Krall, H.** (1995). Dybuk. W H. Krall, *Dowody na istnienie* (ss. 5–17). Poznań: Wydawnictwo a5.
- Krall, H.** (2009). *Różowe strusie pióra*. Warszawa: Świat Książki.
- Krall, H.** (2010). Wyjątkowo długa linia. W H. Krall, *Wyjątkowo długa linia. Spokojne niedzielne popołudnie* (ss. 5–99). Warszawa: Świat Książki.
- Landau-Czajka, A.** (2006). *Syn będzie Lech... Asymilacja Żydów w Polsce międzywojennej*. Warszawa: Wydawnictwo Neriton & Instytut Historii PAN.
- Landau-Czajka, A.** (2015). *Polska to nie oni. Polska i Polacy w polskojęzycznej prasie żydowskiej II Rzeczypospolitej*. Warszawa: Żydowski Instytut Historyczny.
- Legutko, A.** (2012). *Possessed by the Other. Dybuk possession and modern Jewish identity in twentieth-century Jewish literature and beyond* (Nieopublikowana praca doktorska). Columbia University.
- Legutko, A.** (2014). Dybuk jako klucz do tożsamości. *Cwiszn*, 1–2, 31–42.
- Lifton, R. J.** (1979). *The broken connection: On death and the continuity of life*. New York: Simon and Schuster.

- Liptizin, S., & Kuznitz, C. E.** (2007). YIVO. W F. Skolnik & M. Berenbaum (Red.), *Encyclopaedia Judaica* (2. wyd., T. 21, ss. 375–377). Farmington Hills, Jerusalem: Macmillan Reference YSA & Keter Publishing House LTD.
- Lisek, J.** (2005). *Jung Wilne – żydowska grupa artystyczna*. Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego.
- Magocsi, R. P.** (2010). *History of Ukraine: The land and its peoples* (2. wyd. popr.). Toronto: University of Toronto Press.
- Marcuse, H.** (1964). *One-dimensional man: Studies in the ideology of advanced industrial society*. Boston: Beacon Press.
- Marcuse, H.** (1991). *Człowiek jednowymiarowy. Badania nad ideologią rozwiniętego społeczeństwa przemysłowego*. (W. Gromczyński, Oprac. & Wstęp, S. Konopacki et al., Tłum.). Warszawa: PWN.
- Marys Sztajnlaufer**. (b.d.). The Central Database of Shoah Victims' Names. Pobrano 18 stycznia 2016, z <http://db.yadvashem.org/names/nameDetails.html?itemId=1779394&language=en>
- Matyjaszek, K.** (2013). Przestrzeń pożydowska. *Studia Litteraria et Historica*, (2), 130–147. <http://dx.doi.org/10.11649/slh.2013.006>
- Mazower, M. A.** (2004). *Salonica: City of ghosts. Christians, Muslims and Jews, 1430–1950*. London: HarperCollins.
- Melchior, M.** (2000). Michael C. Steinlauf, „Bondage to the Dead: Poland and the Memory of the Holocaust”, Syracuse University Press, Syracuse 1997. *Przegląd Socjologiczny*, (2), 232–235.
- Melchior, M.** (2013). Socjologiczne pojęcia i kategorie do opisu stosunków polsko-żydowskich w czasie okupacji. W Katedra Socjologii i Antropologii Obyczajów i Prawa ISNS UW (Oprac.), *O społeczeństwie, prawie i obyczajach. Księga pamiątkowa ofiarowana profesorowi Jackowi Kurczewskiemu* (ss. 386–396). Gdańsk: słowo/obraz terytoria.
- Mendelsohn, E.** (1992). *Żydzi Europy Środkowo-Wschodniej w okresie międzywojennym*. (J. Tomaszewski, Red., A. Tomaszewska, Tłum.). Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Michael Kasman**. (b.d.). The Central Database of Shoah Victims' Names. Pobrano 18 stycznia 2016, z <http://db.yadvashem.org/names/nameDetails.html?itemId=1164837&language=en>
- Miłosz, C.** (2008). *Rodzina Europa*. Warszawa: Polityka Spółdzielnia Pracy.
- Mirele Efros**. (b.d.). Pobrano 18 stycznia 2016, z http://www.adante.nazwa.pl/zbroiowisko/pkinop.php?x=1&id_art_12=1207#fotka12
- Molotsky, I.** (2000, styczeń 4). Jeshajahu Weinberg, 81; Led Jewish Museums. *The New York Times*. Pobrano 18 stycznia 2016, z <http://www.nytimes.com/2000/01/04/us/jeshajahu-weinberg-81-led-jewish-museums.html>
- Niziołek, G.** (2013). *Polski teatr Zagłady*. Warszawa: Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego & Wydawnictwo Krytyki Politycznej.
- Perechodnik, C.** (2011). *Spowiedź*. (D. Engel, Oprac.). Warszawa: Ośrodek KARTA, Dom Spotkań z Historią.
- Prokop-Janiec, E., & Tuszewicki, M.** (Red.). (2014). *Polskie tematy i konteksty literatury żydowskiej*. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Rappak, W.** (2014). „Raport Karskiego” – kontrowersje i interpretacje. *Zagłada Żydów*, (10), 96–130.
- Sandauer, A.** (1982). *O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku. Rzecz, którą nie ja powinienem być napisać...* Warszawa: Czytelnik.
- Santa Maria di Leuca**. (b.d.). Pobrano 18 stycznia 2016, z <http://www.ushmm.org/exhibition/displaced-persons/camp6b.htm>
- Shmeruk, C.** (2000). *Legenda o Esterce w literaturze jidysz i polskiej. Studium z dziedziny wzajemnych stosunków dwóch kultur i tradycji*. (M. Adamczyk-Garbowska, Tłum.). Warszawa: Oficyna Naukowa.
- Steinlauf, M. C.** (1988). *Polish-Jewish theater: The case of Mark Arnshteyn; A study of the interplay among Yiddish, Polish and Polish-language Jewish culture in the modern period*. (Nieopublikowana praca doktorska). Brandeis University, Department of Near Eastern and Judaic Studies.
- Steinlauf, M. C.** (1989). Mark Arnshteyn and Polish-Jewish theater. W Y. Gutman, E. Mendelsohn, J. Reinharz, & C. Shmeruk (Red.), *The Jews of Poland between two world wars* (ss. 399–411). Hanover, N.H.: Univ. Press of New England.
- Steinlauf, M. C.** (1996). Poland. W D. S. Wyman & C. H. Rosenzweig (Red.), *The world reacts to the Holocaust* (ss. 81–155). Baltimore: Johns Hopkins University Press.

- Steinlauf, M. C.** (1997). *Bondage to the dead: Poland and the memory of the Holocaust*. Syracuse: Syracuse University Press.
- Steinlauf, M. C.** (1998, lipiec 4–5). Rany pamięci 1944–1948. (M. Lipszyc, Tłum.). *Gazeta Wyborcza*, ss. 22–25.
- Steinlauf, M. C.** (2001). *Pamięć nieprzyswojona. Polska pamięć Zagłady*. (A. Tomaszewska, Tłum.). Warszawa: Wydawnictwo Cyklady.
- Steinlauf, M. C.** (2014). „Fardibekt!”. Polskie dziedzictwo An-skiego. (M. Tuszewicki, Tłum.). W E. Prokop-Janiec & M. Tuszewicki (Red.), *Polskie tematy i konteksty literatury żydowskiej* (ss. 231–248). Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Steinlauf, M. C.** (b.d.). Arnshteyn, Mark. W *YIVO Encyclopedia of Jews in Eastern Europe*. Pobrano 18 stycznia 2016, z http://www.yivoencyclopedia.org/article.aspx/Arnshteyn_Mark
- Stola, D.** (1997). Bondage to the dead. Poland and the memory of the Holocaust. *Holocaust and Genocide Studies*, 11(3), 426–431. <http://dx.doi.org/10.1093/hgs/11.3.426>
- Szaniawska, K., & Datner, H.** (2015). Datner: Żydowski punkt widzenia. Pyta Kacha Szaniawska. *Krytyka Polityczna*. Pobrano 18 stycznia 2016, z <http://www.krytykapolityczna.pl/artykuly/historia/20150529/datner-zydowski-punkt-widzenia-rozmowa>
- Szapiro, P.** (Wybór & Opr.) (1992). Wojna żydowsko-niemiecka. Polska prasa konspiracyjna 1943–1944 o powstaniu w getcie warszawskim. Londyn: Aneks.
- Szapiro, P.** (2000). Judenrat. W A. Grupińska, *Ciągle po kole. Rozmowy z żołnierzami getta warszawskiego* (ss. 340–341). (P. Szapiro, Przedmowa & Przypisy). Warszawa: Wydawnictwo Książkowe Twój Styl.
- Szlengel, W.** (1977). Nowe święto. W W. Szlengel, *Co czytałem umarłym. Wiersze z getta warszawskiego* (ss. 90–91). (I. Maciejewska, Wybór & Oprac.). Warszawa: PIW.
- Tomaszewski, J.** (1998). *Preludium Zagłady. Wygnanie Żydów polskich z Niemiec w 1938 r.* Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Touraine, A. (z Strzelecki, J., Dubet, F., & Wieviorka, M.).** (1989). „Solidarność”. *Analiza ruchu społecznego 1980–1981*. (P. Kuczyński, Postowie, A. Krasieński, Tłum., G. Gęsicka, T. Chabiera, A. Kruczkowska, I. Krzemiński, P. Kuczyński, A. Matuchniak, M. Melchior, K. Nowak, W. Pańków, & D. Reczek, Współpraca badawcza). Warszawa: Wydawnictwo Europa.
- Tych, F.** (1999). *Długi cień Zagłady. Szkice historyczne*. Warszawa: ŻIH IN-B.
- Wiernik, J.** (2003). *Rok w Treblince*. (W. Bartoszewski, Przedmowa). Warszawa: Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.
- Wóycicka, Z.** (2002). Polacy na kozetce, czyli rozważania nad książką Michaela C. Steinlaufa „Pamięć nieprzyswojona”. *Kultura i Społeczeństwo*, (3), 175–180.
- Wright, W.** (2010). Pages in the life of Bruce Seidel. Two sides of a revolutionary. W D. Burton-Rose (Red.), *Creating a movement with teeth: A documentary history of the George Jackson Brigade* (ss. 51–53). Oakland: PM Press. (Pierwodruk: „Seattle Post-Intelligencer”, 22 kwietnia 1976).
- Wróblewski, A.** (1992). *Być Żydem... Rozmowa z Dagiem Halvorsenem o Żydach i antysemityzmie Polaków*. Warszawa: Niezależna Oficyna Wydawnicza.
- Zaleski, M.** (2000). „Ludzie ludziom”...? „Ludzie Żydom”...? Świadectwo literatury? W A. Brodzka-Wald, D. Krawczyńska, & J. Leociak (Red.), *Literatura polska wobec Zagłady* (ss. 89–103). Warszawa: ŻIH IN-B.
- Żeleński (Boy), T.** (1964a). Flirt z Melpomeną. Wieczór siódmy i ósmy. W T. Żeleński (Boy), *Pisma* (T. 22). (J. Kott, Oprac. tomu, R. Górski & K. Najderowa, Objąśnienia). Warszawa: PIW.
- Żeleński (Boy), T.** (1964b). W teatrze żydowskim. W T. Żeleński (Boy), *Pisma* (T. 22). (J. Kott, Oprac. tomu, R. Górski & K. Najderowa, Objąśnienia). Warszawa: PIW.

„This was not America.”
Michael Charles Steinlauf in conversation with Elżbieta Janicka
(Warsaw – New York – Warsaw, 2014–2015)

Abstract: Born in Paris in 1947, Michael Charles Steinlauf talks about his childhood in New York City, in the south of Brooklyn (Brighton Beach), in a milieu of Polish Jewish Holocaust survivors. His later experiences were largely associated with American counterculture, the New Left, an anti-war and antiracist student movement of the 1960s (Students for a Democratic Society, SDS) as well as the anticapitalist underground of the 1970s („Sunfighter”, „No Separate Peace”). In the 1980s, having undertaken Judaic Studies at Brandeis University, Steinlauf arrived in Poland, where he became part of the democratic opposition circles centred around the Jewish Flying University (Żydowski Uniwersytet Latający, ŻUL). In the independent Third Republic of Poland, he contributed to the creation of the Museum of the History of Polish Jews in Warsaw.

Michael C. Steinlauf’s research interests focus on the work of Mark Arnshteyn (Andrzej Marek) and of Yitskhok Leybush Peretz, Yiddish theatre as well as Polish narratives of the Holocaust. The latter were the subject of his monograph *Bondage to the dead: Poland and the memory of the Holocaust* (1997, Polish edition 2001 as *Pamięć nieprzyswojona. Polska pamięć Zagłady*). An important topic of the conversation is the dispute concerning the categories used to describe the Holocaust, including the conceptualisation of Polish majority experience of the Holocaust as a collective trauma. Controversies also arise in connection with the contemporary phenomena popularly conceptualised as the “revival of Jewish culture in Poland” and “Polish–Jewish dialogue.”

Another subject of the conversation is Michał Sztajnlau (1940–1942), Michael C. Steinlauf’s stepbrother. The fate of the brothers was introduced into the canon of Polish culture by Hanna Krall’s short story *Dybuk* (1995, English edition 2005 as *The Dybbuk*) and its eponymous stage adaptation by Krzysztof Warlikowski (2003). Looking beyond artistic convention, the interlocutors try to learn more about Michał himself. This is the first time the readers have an opportunity to see his photographs from the Warsaw Ghetto.

The conversation is illustrated with numerous archival materials from periods before and after World War Two as well as from German-occupied Poland.

Keywords: dybbuk; New Left; American anticapitalist underground of the 1970s; Warsaw Ghetto; narratives of the Holocaust; Polish antisemitism; Polish democratic opposition of the 1980s; Jewish Flying University; Polish–Jewish dialogue (concept revision); Okopowa Street (Warsaw Jewish Cemetery)



This is an Open Access article distributed under the terms of the Creative Commons Attribution 3.0 PL License, which permits redistribution, commercial and non-commercial, provided that the article is properly cited.
www.creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl

© The Author(s) 2014/2015

Publisher: Institute of Slavic Studies PAS [Wydawca: Instytut Sławistyki PAN]

DOI: 10.11649/slh.2015.021

Author: Elżbieta Janicka, Instytut Sławistyki PAN, Warsaw

Correspondence: sekretariat@ispan.waw.pl

The work has been prepared at author’s own expense.

Competing interests: No competing interests have been declared.